



*EMILY GRAYSON*



*Konstelacja uczuć*

## Rozdział 1

Choć byłyśmy bliźniaczkami, nikt nas ze sobą nie mylił. Jedna nie przypominała drugiej pod żadnym względem. I nie chodziło tylko o długość włosów, czy sposób ubierania się, chociaż w tej mierze także się różniłyśmy. Ciemnorude loki mojej siostry były długie i zmierzwione, podczas gdy ja nosiłam nijaką fryzurkę do ramion. Ona lubiła powłóczyste tkaniny, owijała sobie sznury koralu wokół szyi i nadgarstków, ja zaś wkładałam zazwyczaj tylko staromodny srebrny łańcuszek, który matka podarowała mi przed śmiercią.

Jednak dostrzegano także inną różnicę: Harper wyrosła na kobietę, która przyciąga mężczyzn jak magnes. Na mnie, natomiast, zazwyczaj nie zwracali uwagi. Od czasu do czasu miewałam romanse, ale w żadnym chłopaku nie wzbudziłam takiego pożądanego, jakie większość adoratorów odczuwała wobec mojej siostry. Udawałam, że to nie ma znaczenia, ale po prawdzie nie tak się rzeczy miały. Inne myśli nachodziły mnie w środku nocy, kiedy budziłam się ze snu, w którym spoczywałam w ramionach nieznajomego kochanka. Sen odchodził, a ja leżałam w łóżku przez całą noc, rozbudzona i samotna.

Nagle, pewnego popołudnia, w samym środku mroźnej, straszliwej zimy, na wąskim skrawku nie ośnieżonej ziemi spotkałam Davida Fieldsa. Przyglądał mi się długo i trwało to przez co najmniej kilka następnych miesięcy. A zatem przez jakiś czas wzbudzał we mnie uczucia, które, jak sądzę, mężczyźni często musieli wniecać w Harper.

Choć prawdę mówiąc, nie bardzo wiedziałam, co kłębi się w głowie mojej siostry. W dzieciństwie nigdy nie byłyśmy ze sobą blisko, a gdy dorosłyśmy, obojętność przerodziła się w lodowaty chłód - i to właściwie bez żadnego wyraźnego powodu. Nigdy nie doszło między nami do kłótni, po prostu przez wiele ambarasujących lat nie darzyłyśmy się sympatią, aż wreszcie zrozumia-

łyśmy, że nie ma sensu zmuszać się do udawania siostrzanych uczuć. Pewnego dnia uświadomiłam sobie, że nie pamiętam, kiedy ostatni raz rozmawiałam z Harper, i że wcale za nią nie tęsknię.

Aż tu nagle Harper wróciła.

Znalazła się ponownie w moim życiu w dzień po Nowym Roku. Padał śnieg, a ja właśnie wróciłam do domu z miejscowego baru „Pod Młynem Wodnym”, gdzie spotkałam się z przyjaciółmi z biblioteki w Longwood Falls, której byłam kierowniczką. Minał dopiero drugi dzień nowego roku, a już zapowiadało się, że będzie podobny do poprzedniego. Ci z nas, na których w domach nie czekali małżonkowie ani dzieci, zebrali się przy jednym z czarnych stołów. Cieszyliśmy się, że możemy po prostu pobyć razem i wesoło spędzić czas, że jeszcze przez chwilę nie musimy wracać do naszych cichych, zimnych domostw. Wciąż czułam rozgrzewające działanie szklanki czerwonego wina, a do palców lepiła mi się sól z kilkakrotnie opróżnianej miseczki orzeszków. Teraz, tak jak prawie każdej nocy, tkwiłam samotnie w sypialni, zakładając właśnie starą różową nocną koszulę. Gdzieś z głębi domu dobiegały przytłumione odgłosy dziennika, gdy nagle zabrzmiał dzwonek u drzwi.

Ten dźwięk zupełnie mnie zaskoczył. Nie przywykłam do nie zapowiedzianych nocnych wizyt, toteż czym prędzej narzuciłam szlafrok, przewiązałam go paskiem i pospieszyłam na dół. Poprzez podługowate, żółte i zielone szkła witrażyka we frontowych drzwiach zobaczyłam starą ciotkę Leatrice, stojącą na ganku. Gdy otworzyłam, ujrzałam jej zalaną łzami twarz. Wpadła do środka, objęła mnie, a płatki śniegu migotały w jej włosach.

- Ciociu Leatrice - spytałam poważnie zaniepokojona - co się stało?

Moja ukochana ciotka - siostra zmarłej matki, malutka, podobna do ptaszka siedemdziesięcioletnia staruszka, mieszkająca kilka ulic dalej - uwolniła się z ucisku i spojrzała na mnie badawczo.

- Och, Liz - rzekła nieswoim, zdławionym głosem - coś się wydarzyło.

Potrząsając głową, odeszła ode mnie i ruszyła do salonu. Usiadła przy kominku, w zielonym fotelu, a ja przycupnęłam nerwowo na brzeżku drugiego, czekając, aż ciotka uspokoi się i wyjaśni, o co chodzi. Złęklam się, że coś złego przydarzyło się Harper. Natychmiast wyobraziłam sobie siostrę, jak ginie w czołowym zderzeniu na autostradzie, albo w katastrofie prywatnego samolotu gdzieś w Europie. Zaczerpnęłam powietrza i przygotowałam się na najgorsze. Choć było to dla mnie dziwaczne i wstrętne, wcale nie miałam pewności, czy się rozpłaczę.

Ciotka oznajmiła jednak:

- Chodzi o Doe.

Doe - moja siostrzenica. Córka Harper. Rudowłosa ośmiolatka.

- Miała wypadek na sankach - ciągnęła Leatrice. - Dziś rano w Stone Point. Zjeżdżała z górki. Nie wiedzą, jak do tego doszło, dzieci zawsze chodzą tam na sanki. Musiała trafić na jakąś przeszkodę, może kawałek lodu na drodze, w każdym razie płoza się zaczepiła, Doe wpadła na drzewo i nie żyje.

- O mój Boże - usłyszałam własny głos.

Ciotka znów zaczęła płakać. Pomogłam jej ściągnąć mokry płaszcz, nalałam brandy do jednego z dużych, pękatych kieliszków, z których zwykł popijać mój ojciec, i rozпалиłam mały, niekształtny ogienek. Płomienie posykiwały i trzaskały na palenisku, a staruszka chlipała, pociągając trunek. Wreszcie ogień wygasł, a Leatrice, wyczerpana płaczem, zasnęła w fotelu, z głową odchyłoną do tyłu, z otwartymi ustami, pochrapując cicho, w typowy dla jej wieku sposób. Pusty kieliszek po brandy wypadł jej z ręki i nie uszkodzony potoczył się po dywanie. Podniosłam go i okryłam ciotkę wełnianym kocem, który robiłam na drutach pewnej nużącej zimy, żeby czymś zająć ręce. Potem zgasłam światło, po raz ostatni przerzuciłam popiół i poszłam na górę do łóżka.

Rzecz w tym, że w ogóle nie znałam Doe. Widziałam ją raz, w tydzień po narodzinach, na przyjęciu, które Harper wydała w swoim domu w Stone Point. Stone Point to zamożne miasteczko położone nad cieśniną Long Island, gdzie domy są ogromne, stoją tuż nad wodą i mają własne nazwy. Posiadłość mojej siostry nosiła miano „Strzechy”. Do Stone Point, zabytkowej miejscowości o bogatej historii, przybywali na wakacje prezydenci; co roku w sierpniu odbywały się tu słynne regaty jachtowe, a w latach sześćdziesiątych śliczna pływaczka, olimpijka Maggie Thorpe, zanurkowała do wody koło Point i nigdy więcej jej nie widziano. W mieście, w którym mieszkała moja siostra, panowała atmosfera przepychu i salonowych tragedii; gdy przyjechałam tam na przyjęcie z okazji narodzin jej córki, czułam się wyjątkowo nie na miejscu.

Owego dnia goście tłoczyli się na pierwszym piętrze domu Harper, pijąc szampana ze smukłych kieliszków i pogryzając malutkie grzaneczki z wędzonym łososiem. Rozmawiali, śmiali się głośno i zażarcie dyskutowali o sprawach, o których nie miałam pojęcia - jak łowienie ryb pod lodem albo lecznicze kąpiele błotne we Włoszech. Niemowlę dostało ekstrawaganckie podarki: pluszowego misia wielkiego jak lodówka czy miniaturowego fiata z prawdziwym silnikiem i profilowanymi skórzanymi siedzeniami. Żywa rockowa muzyka dobiegała z głośników rozwieszonych w rogach wszystkich pokoiów.

W pewnym momencie z odległego pokoju na drugim piętrze przyniesiono nowo narodzoną Domenicę, którą od razu zaczęto nazywać Doe. Opiekunka, nadęta Irlandka w białym uniformie, uniosła dziecko wysoko w górę i ogłuszający gwar przyjęcia osłabł na chwilę. Pamiętam, że spojrzałam w oczy maleństwa o kosmykach rudych jak włosy Harper i moje. Wzruszenie chwyciło mnie wtedy za gardło, ale po oklaskach i pochwałach opiekunka i dziecko zniknęły, a goście mogli wrócić do drinków i hałaśliwych pogaduszek.

Zacząłam się zastanawiać, czy nie zabrać prezentu - zwyczajnej laleczki w sukience w czerwoną kratkę - który zaraz po przyjeździe położyłam na stoliku w holu, i nie przysłać później czegoś bardziej wyrafinowanego. Jednak po chwili wahania zrezygnowałam z tego pomysłu i w tydzień później otrzymałam serdeczne, ale bezosobowe podziękowania od siostry i jej męża - Włocha, Carla Brico, znacznie starszego od Harper przedsiębiorcy i kolekcjonera sztuki. W ogóle go nie znałam, nawet nie otrzymałam zaproszenia na ślub, opisany w gazecie jako „kameralny”, który najwyraźniej odbył się na barce na weneckim kanale. Kiedy rok po urodzeniu Doe przyszło zaproszenie na przyjęcie z okazji narodzin drugiego dziecka Harper, synka Nicka - odmówiłam.

Ciotka Leatrice natomiast znała dzieci od maleńkości i przez lata donosiła mi o ich postępach: o miłości Doe do koni, lodów i lekcji baletu, o dziwactwach, których dziewczynka miała równie wiele jak matka, o Nicku, pełnym powagi, cichym i inteligentnym jak Carlo, ale czasem także marudnym i apatycznym. Od czasu do czasu ciotka wspominała mi o ważnych dla siostry wydarzeniach, a z kolei Harper zapewne w podobny sposób dowiadywała się o moich przeżyciach. Co prawda, w moim przypadku nie było wiele do opowiadania - życie kierowniczkii małomiasteczkowej biblioteki raczej nie mogło przyciągnąć uwagi bliźniaczej siostry.

To ciotka Leatrice niestrudzenie pisała listy do Harper, telefonowała, prosiła o fotografie ciotecznych wnucząt, które potem pieczołowicie wklejała do albumu i kazała mi podziwiać. Zawsze kiedy oglądałam zdjęcia dzieci, uświadamiałam sobie, co tracę, ale nie potrafiłam nic na to poradzić. To ciotka Leatrice - nie ja - cieszyła się względami Harper, zaznajomiła się z jej dziećmi i przez te wszystkie lata zdążyła bardzo je pokochać. Toteż kiedy wreszcie złożyłam głowę na poduszce i zamknęłam oczy, sama nie bardzo wiem, dlaczego zaczęłam płakać.

Gdy następnego ranka wzeszło słońce, było mi tak ciężko na sercu, że z trudem zmusiłam się, by wstać z łóżka i rozpocząć codzienną krzątanie. Kiedyś dzieliłam ten pokój z Harper, ale wspólnie spędzałyśmy w zasadzie tu tylko noce. Dziś niewiele przypominał już naszą dawną, dziewczęcą sypialnię. Zniknęła tapeta w różowe paski, a także podwójne łóżka, przykryte kordonkowymi narzutami.

Kiedy po śmierci rodziców na powrót wprowadziłam się do rodzinnego domu, nie chciałam spać w ich sypialni - czułabym się jakoś niezręcznie. Urządziłam tam natomiast duży, piękny gabinet ze starym sekretarzykiem i mnóstwem książek. Dla siebie przeznaczyłam nasz dawny wspólny pokój, który całkowicie odnowiłam, wstawiając spore mosiężne łóżko i meble z jasnego drewna.

Z domu już dawno zniknęły prawie wszystkie ślady bytności Harper. Jedynie, co zostało, to stare znaki, kreślone ołówkiem na wewnętrznych drzwiach spiżarni, na których mama zaznaczała, ile urosłyśmy. Zawsze byłyśmy równe, ja i Harper, niby bliźniaczki, a w istocie tak niepodobne.

Mówiono o nas „dziewczynki Mallorych”, a czasem „wiadomo, te dziewczynki Mallorych”. Od urodzenia mieszkaliśmy w Longwood Falls, małej miejscinie w stanie Nowy Jork. W takich miejscach ludzie wiedzą o sobie wszystko i przeważnie czują się w obowiązku, by dać temu wyraz. „Liz Mallory jest taka cicha - mawiali podobno - odpowiedzialna i grzeczna”. Potem rozglądając się ukradkiem, dodawali: „ale jej siostra to prawdziwa dziwaczka, całkiem postrzelona”.

Mieli rację. Harper miewała szalone pomysły, ale była także bardzo utalentowana. Tworzyła dzieła, o których innym się nawet nie śniło. Jej stroje odznaczały się oryginalnym stylem i elegancją. Przywabiała każdego mężczyznę w okolicy. Wykonywała kolaże z kawałków materiału, części maszyn i domo-

wych rupieci, znajdując dla nich niezwykle, zaskakujące dla mnie zastosowanie. Była artystką i buntowniczką, zarazem nieznośną i imponującą. Gdziekolwiek się pojawiała, od razu dawała odczuć swoją obecność.

Harper nigdy mi się nie zwierzała, nie interesowała się, jak mi idzie, co myślę ani czy może miałabym ochotę dołączyć do jej dystyngowanego towarzystwa, jakże różnego od moich nieśmiałych, niepewnych siebie znajomych. Jeździła z przyjaciółmi po Bridge Street w luksusowym kabriolecie Warrena Jetta, z głową odchylną do tyłu, powiewającymi włosami, popijając tequilę wprost z butelki i śpiewając stare piosenki Beatlesów.

Jeszcze przed ukończeniem liceum zdążyła się kilka razy zakochać, a każdy kolejny związek obfitował w nie kończące się rozmowy telefoniczne, kłótnie i dramatyczne rozstania. Nasze przyszłe losy po maturze nie budziły wątpliwości. Wszyscy wiedzieli, że Harper pojedzie do Nowego Jorku, będzie studiować sztukę i zostanie sławną malarką, a ja z pewnością osiadę tutaj, żeby wieść przeciętny, bezbarwny żywot.

Nie chcę przez to powiedzieć, że zawsze siałam rutkę. Budziłam czasem zainteresowanie chłopców, a potem mężczyzn i z kilkoma miałam nawet romanse, ale przez te wszystkie lata nie potrafiłam czerpać z nich radości ani tym bardziej wierzyć, że któryś z tych związków przetrwa dłużej. Kilka razy umawiałam się z odrzuconymi adoratorami Harper, którzy po namyśle uznali mnie za rozsądną alternatywę dla mojej podniecającej, lecz zarazem nieznośnej siostry. Jednak nawet kiedy spotykałam się z młodzieńcami, którzy wcale nie chodzili z Harper, nie obywało się bez rozmowy na jej temat. W przeciwieństwie do mnie, intrygowała wszystkich. Przybrałam zatem postawę obronną, nie pozwalałam, by ktoś bardziej się do mnie zbliżył, poznał mnie lepiej, bo bałam się, że go rozczaruję. Nigdy nie przeżyłam rozkoszy.



Uznałam, że przyjemność została zastrzeżona dla innych. Dla Harper. A z tego, co mogłam się zorientować, Harper czerpała z życia pełnymi garściami. Gdy w miarę upływu lat z młodziutkiej, rozchwytywanej, wschodzącej gwiazdy artystycznego rozkwitu lat osiemdziesiątych stawała się osobistością © ugruntowanej renomie - o jej poczynaniach opowiadali mi dumni, chociaż trochę zdezorientowani rodzice. Po ich śmierci dowiadywałam się o losach Harper od ciotki Leatrice i z brukowych gazet, które kupowałam w kiosku w centrum miasta. W kronice towarzyskiej pisano o niej: „Kim był ubrany w garnitur od Armaniego, ciemnowłosa towarzysz malarki HARPER MALLORY, z którym zeszłego wieczoru jadła *mahimahi* w klubie Ozone?”. Natykałam się też czasem w „New York Timesie” na zapowiedź którejś z jej wystaw. „Harper Mallory: najnowsze prace” - głosiły tytuły, ale nigdy nie dostałam zaproszenia na żaden wernisaż.

Ona była bogata i sławna, a ja żyłam skromnie, na małą skalę, tak jak większość ludzi. Praca kierowniczką biblioteki w Longwood Falls wiązała się z dużą odpowiedzialnością i dawała mi powody do dumy. Biblioteki zostały już, oczywiście, w pełni zautomatyzowane i zwolniono wielu pracowników, ale przygotowanie rozmaitych programów wciąż wymagało wiele wysiłku. Czasem jednak, gdy szłam cichym drewnianym korytarzem, miałam ochotę wrzeszczeć. Kiedy mnie spotka coś cudownego?! Gdzie jest mój ciemnowłosa mąż, moja oszałamiająca kariera, moje śliczne dzieci?! Kiedy ja zacznę żyć?!

Gdy rodzice umarli - najpierw matka po ciężkich zmaganiach z rakiem, rok później, wskutek nagłego ataku serca, pogrążony w żałobie ojciec - postanowiłam wrócić do białego drewnianego domu, w którym dorastałam. Harper nie oponowała. Jej prawnicy nie interesowali się potencjalnym zyskiem ze sprzedaży posesji, gdyż każdy z jej obrazów, dużych płócien ukazujących natchnione, nieco surrealistyczne twarze kobiet i mężczyzn, wart był przynajm-

niej tyle co dom. Spotkałyśmy się na pogrzebach rodziców, ale po stypie i kilku kłopotliwych chwilach wymuszonej konwersacji Harper odjeżdżała błyszczącą czarną limuzyną, która ją tam przywoziła.

Od tamtej pory minęła co najmniej dekada. Miałyśmy już po trzydzieści sześć lat. Harper otaczały bogactwo i sława, którymi miała się cieszyć do końca życia. Trzy lata wcześniej małżeństwo mojej siostry rozpadło się, a Carlo, roztargniony, starszy pan, który nigdy nie poświęcał dzieciom zbyt wiele swego cennego czasu, wrócił do Mediolanu, gdzie ożenił się ponownie i dochował kolejnego potomka. Czas płynął nieubłaganie, Nick miał już siedem lat, a Doe osiem. Dziewczynka, jak twierdziła ciotka, wrodziła się w matkę i była jej oczkiem w głowie.

Tego ranka, po śmierci siostrzenicy, roztrzęsiona podniosłam słuchawkę i zadzwoniłam do domu w Stone Point. Numer miałam zapisany w notesie, ale wykręcałam go pierwszy raz w życiu. Po tylu latach nie bardzo potrafiłam zaplanować sobie zwyczajną rozmowę z Harper, a w tych okolicznościach już zupełnie nie wiedziałam, co powiedzieć. Słuchałam więc po prostu ciągłego odgłosu dzwonka i wyobrażałam sobie, jak jego echo roznosi się po domu czy raczej dworku, z labiryntem pokojów i weneckimi oknami wychodzącymi na zamgloną cieśninę Long Island, gdzie w oddali majaczyło Connecticut. Wreszcie ktoś odebrał telefon.

- Rezydencja Mallorych - odezwał się cichy męski głos. - Czym mogę służyć?

Siostra po ślubie z Carlem nie zrezygnowała z panińskiego nazwiska, pod którym zdobyła sławę. Zresztą Harper zapewne i tak nie wyrzekłaby się równie ważnej części swej osobowości.

- Czy mogę mówić z panią Mallory? - odezwałam się.

- Przykro mi - odrzekł mężczyzna - ale z nikim nie rozmawia.

- Jestem jej siostrą - nie poddawałam się, co jednak nie zrobiło na nim wrażenia.

- Jak powiedziałem, nie rozmawia z nikim. - Głos stał się bardziej stanowczy.

Ten chwyt z pewnością opanował po rozpoczęciu pracy u Harper.

- Chciałabym dowiedzieć się o pogrzeb - wykrztusiłam. - Oczywiście, przyjadę... - Urwałam i zaraz rzuciłam bezsensownie: - Pragnęłabym też jakoś jej pomóc. Jeśli mogę coś zrobić...

Zapadła kłopotliwa cisza, aż wreszcie mężczyzna przemówił:

- Ceremonia jest jutro. W starym kościele w Point Stone o dwunastej.

- Dziękuję - odpowiedziałam i impulsywnie dodałam: - Jak ona się czuje?

- Co za idiotyczne pytanie. A jak mogła się czuć? Służący nawet nie próbował odpowiedzieć i całkiem zignorował tę kwestię.

- Jak powiedziałem, o dwunastej - powtórzył i pożegnał się cicho.

Droga do Stone Point okazała się fatalna i mimo zimowych opon przez całe sześć godzin musiałam jechać bardzo powoli, przy akompaniamencie szumu wycieraczek, zsuwających mokry śnieg z przedniej szyby. Ciotka Letrice siedziała obok mnie, ale żadna z nas nie miała ochoty na pogaduszki. Gdy dotarliśmy na miejsce, tak jak się spodziewałam, w pięknym kościele panował już tłok, ale mimo że nie brakowało znanych osobistości ze świata sztuki, ludzie nie zbijali się w grupki, nie dźwięczały telefony komórkowe. Atmosfera była na to zbyt ponura, ta straszliwa tragedia przytłoczyła żałobników.

Ogarnełam wzrokiem kościół w poszukiwaniu Harper, ale nigdzie nie mogłam jej dostrzec. Może stała z przodu pośród kobiet w ogromnych czarnych kapeluszach, które przysłaniały im twarze, albo ukryła się w jednej z bocznych naw, zbyt zrozpaczona, by pokazać się publicznie. W każdym razie,

nie zdążyłam wytropić siostry, gdyż przyjechałyśmy tuż przed rozpoczęciem nabożeństwa i należało szybko znaleźć wolną ławkę z tyłu.

Nagle, gdy rozglądałam się, gdzie by tu usiąść, ujrzałam wstającego mężczyznę, który gestem zaprosił nas do zajęcia jego miejsca. Nie zamieniliśmy ani słowa, więc trudno uznać, że zawarliśmy wtedy znajomość. Zauważyłam tylko, że jest przystojny, świeżo ogolony i chyba niezbyt nawykły do noszenia garnituru. Nazywał się David Fields, ale o tym miałam dowiedzieć się później. Nie miałam też oczywiście pojęcia, że wkrótce bardzo go pokocham. Jakże to się dziwnie toczy: człowiek spotyka nieznanego i w ogóle nie uzmysławia sobie, że kiedyś ta osoba będzie dla niego wszystkim.

Pomogłam usadowić się ciotce Leatrice i wcisnęłam się obok niej, kiwnąwszy głową w podziękowaniu mężczyźnie, który ustąpił nam miejsca. Potem się od niego odwróciłam. Niewielki kościół z ciosanego kamienia był nie dogrzany, więc wkrótce zaczęłam dygotać z zimna. Kiedy wniesiono trumienkę z polerowanego drewna różanego o barwie zbliżonej do koloru włosów Doe i jej matki - wszyscy zebrani schylili głowy i unisono zapłakali. Łzy nie przestały płynąć podczas psalmów, które odmawiał pastor i mów wygłaszanych między innymi przez nauczycielkę Doe ze szkoły w Craighead, oszałamiająco piękną, młodą kobietę, a także małą Caitlin, najlepszą przyjaciółkę zmarłej.

Caitlin, zarumieniona ze zdenerwowania ośmioletnia blondyneczka, stała z przodu, przyciskając do piersi małą lalkę.

- Widzicie tę laleczkę? - powiedziała do mikrofonu drżącym, ochrypłym szeptem. - Dostałam ją od Doe.

Rzuciłam okiem na lalkę, starą, wypłowiałą, w postrzępionej sukieneczce w czerwoną kratkę. Zabawka wydała mi się znajoma i przeszedł mnie dreszcz, gdy uświadomiłam sobie, że podarowałam ją siostrzenicy po narodzinach.

- Powiedziała, że jestem jej najlepszą przyjaciółką - ciągnęła Caitlin. - Miała tę lalkę całe życie, ale oddała mi ją. - Urwała, spoglądając w bok na trumnę, odwróciła wzrok i jeszcze raz zerknęła w tamtą stronę. - Zachowam ją na zawsze, Doe - rzekła. - I obiecuję, że będę się nią opiekować.

Ciotka przytuliła się do mnie, a ja odpowiedziałam uściskiem. Jeśli mnie ogarniało tak wielkie przygnębienie, mimo że w ogóle nie znałam siostrzenicy, co musiała przeżywać Harper? Pod koniec mszy, gdy wszyscy wstali, ponownie próbowałam odnaleźć siostrę, ale wciąż nie mogłam jej nigdzie dojrzeć. Liczyłam, że spotkamy się w rezydencji, gdzie urządzono stypę, parlałam więc w stronę rozwartych drzwi kościoła, prowadząc ostrożnie ciotkę.

Kiedy znalazłyśmy się już przy wyjściu, mój wzrok przyciągnął niezwykle widok - przede mną szła kobieta o krótkiej, chłopięcej fryzurze. Jej rude włosy przycięto niedbale, jakby w wielkim pośpiechu, tępyimi nożyczkami. Linia ramion i smukła szyja wydały mi się znajome, w pierwszej chwili pomyślałam, że to któraś z krewnych, może daleka kuzynka, przyleciała z Des Moines w Iowa, gdzie mieszkali jacyś Mallory'owie. I wtedy kobieta odwróciła głowę, a nasze spojrzenia się spotkały. Patrzyłyśmy na siebie przez chwilę i nagle zrozumiałam.

To była moja siostra. Obcięła swoje wspaniałe włosy. Odmieniona nie do poznania, z okropną fryzurą, właściwie całkiem mi obca, stała w zimnym, ponurym kościele, a jej oczy wydawały się martwe i zlodowaciałe jak drzewa wzdłuż drogi, którą jechałam tu wiele godzin.

Podobno bliźnięta zachowują wspomnienia z okresu, kiedy pływały się razem w bezpiecznej, ciepłej ciszy. Jeśli tragedia spotka jedno z nich, drugie też musi ją odczuć, nawet gdy są już dorosłe i każde prowadzi własne, odrębne życie. Harper przeżywała niewyobrażalny koszmar, a ja nagle dojrzałam bezmiar jej rozpacz. Jakby odeszła, zniknęła, a w jej miejsce pojawił się ktoś zu-

pełnie inny, nieznany. Naraz ja także poczułam się odmieniona, jakbyśmy stały splecione w uścisku, którego siła przytłaczała mnie i wywoływała panikę. Mimo że Harper pozwoliła mi się ucałować i odwzajemniła uścisk, uprzejmie przyjmując moje niezręczne kondolencje, przeczuwałam najgorsze.

## *Rozdział 2*

Dom wypełniały szepty. Przez cały długi dzień goście na stypie zbijali się w grupki, rozmawiając półgłosem. Harper była w pobliżu i obawiali się, że mogliby zasmucić ją jeszcze bardziej jakimś nieostrożnym słowem. Kiedy popatrywałam na siostrę z drugiego końca ogromnego salonu, widziałam, że ich głosy do niej nie docierają - była kompletnie pijana.

Ostatni raz widziałam ją w takim stanie w liceum, kiedy wróciła o trzeciej nad ranem z koleżeńskiej imprezy. Pamiętam, jak obudziła mnie jej krzątania na dole - cmokały otwierane i zamykane drzwi lodówki, w oszołomieniu obijała się o meble. Niechcący zahaczyła o stół w salonie, poruszając małe szklane figurynki firmy Steuben, które kolekcjonowała matka. Laleczki zadźwięczały jak dzwoneczki na wietrze, ale żadna się nie stłukła. Harper zdołała wdrapać się na górę i weszła do naszej wspólnej sypialni, roztaczając aromat bourbona zmieszany z migdałowym zapachem indyjskich perfum, których wtedy używała. Zasnęła w ubraniu, leżąc na wznak, a mimo że była wstawiona, jej twarz wyglądała bardzo pięknie wśród włosów rozrzuconych na poduszce.

Od tego czasu minęły całe wieki. Teraz trudno było dopatrzeć się urody w kruchej, pijanej kobiecie o wystrzyżonych rudych włosach, siedzącej na białej kanapie w salonie. Trzymała w ręce szklanekę bourbona, regularnie napeł-

nianą przez lokaja, który nie miał odwagi się jej przeciwstawić, gdy żądała następnej kolejki. Tkwiła tam samotnie, odwracając się, gdy tylko ktoś podszedł. Nie ulegało wątpliwości, że nie życzy sobie słów pocieszenia ani uścisków. Gdy spojrzałam na nią ponownie, odstawiła właśnie szklanekę, na podręczny stolik i kierowała się do wyjścia. Odprowadzałam ją wzrokiem, lecz gdy poczułam chłodny dotyk ręki na ramieniu, podniosłam głowę. Przede mną stał Carlo, były mąż Harper. Bankier, dwadzieścia lat starszy od nas, o dużej, przystojnej twarzy i dłoniach jak bochny. Znał pięć języków i w każdym mówił w sposób bardzo przekonujący. Kruczą czuprynę zaczesywał do tyłu z pomocą jakiegoś drogiego włoskiego żelu do włosów, a za swój ciemny, dwurzędowy garnitur musiał zapłacić miliony lirów w jakimś ekskluzywnym męskim butikum na mediolańskim bulwarze. W dzień śmierci Doe podróżował z żoną i malutkim synkiem przez Pireneje i nie można się było z nim skontaktować, toteż przyleciał z Europy dopiero rankiem, tuż przed pogrzebem. Nie był zżyty z dziećmi, a od rozwodu widywał Nicka i Doe tylko raz do roku, jednak śmierć córeczki zupełnie go załamała.

- Carlo - powiedziałam, wstając i lekko ściskając rękę byłego szwagra, którego spotkałam tylko kilka razy. W pierwszej chwili zdziwiłam się, że po tylu latach w ogóle mnie rozpoznał, ale uprzytomniłam sobie oczywiste podobieństwo pomiędzy mną a jego byłą żoną. - Brak mi słów - zaczęłam nieporadnie. - Jest mi bardzo przykro.

Machnął tylko ręką.

- Marny był ze mnie ojciec - powiedział łamiącym się głosem o silnym obcym akcencie. - Nigdy nie czułem się tutaj u siebie. Twoja siostra Harper nie może mnie ścierpieć. Nasz rozwód nie należał do przyjemnych, delikatnie mówiąc - zaśmiał się gorzko. - Teraz umarła moja mała Doe - ciągnął - a Harper nie chce ze mną rozmawiać. - Zamilkł, wolno pokręcił głową, wycierając

oczy lnianą chusteczką. - Podobno ona w ogóle się nie odzywa - dodał. -  
Wypowiada co najwyżej kilka słów. Całkiem zamknęła się w sobie.

- Zauważyłam.

- Tylko sobie zaszkodzi. Powinna się wyzalić, wypłakać, bo inaczej całkiem się załamie. - Nagle oczy Carla rozbłysły na moment. - Może - rzucił - otworzy się przed tobą.

- Przede mną? Wątpię - odparłam. - Nigdy mi się nie zwierzała. Dlaczego nagle miałyby to zrobić?

- Jesteś jej najbliższą krewną - rzekł Carlo. - To się chyba liczy. Doskonale zdaję sobie sprawę, że Harper jest trudna we współżyciu. Zresztą widać to na pierwszy rzut oka, ale - dodał - zaklinam cię, żebyś chociaż spróbowała. Bardzo mi na tym zależy, Liz.

Liz. Osłupiałam. Moje imię w ustach owego przystojnego, światowego Włocha wzbudziło we mnie osobliwe uczucie, przypominając, ile to już czasu minęło, odkąd mężczyzna przemawiał do mnie tak ponaglącym tonem. Ile to już czasu minęło, odkąd miałam kochankę. Moja siostra natomiast romansowała nieustannie. Przystojni wielbiciele otaczali ją zarówno przed, jak i po zamążpójściu. Harper lekko traktowała sprawy sercowe, a przynajmniej tak mi się zdawało.

Poczułam się zażenowana nieoczekiwanym przyływem tego rodzaju uczuć w tak nieodpowiednim momencie. Wystarczyło, że atrakcyjny mężczyzna głośno i żarliwie wymówił moje imię. Zarumieniłam się ze wstydu, przypominając sobie, że nie tylko Harper odgrodziła się od świata.

Zerknęłam na Carla. Jutro, najdalej pojutrze pożegna się z byłą żoną i synkiem, by odlecieć prywatnym odrzutowcem do nowej rodziny w Mediolanie. Nie mieściło mi się w głowie, że miał zamiar wyjechać tak szybko, ale wczuwanie się w cudze motywy postępowania nie było moją mocną stroną.



Impulsywnie skinęłam głową, zapewniając Carla, że pomówię z Harper, ale nie ma co liczyć na zbyt wiele.

Wchodząc po szerokich marmurowych schodach, którymi przed chwilą wstępowała moja siostra, czułam się jak dublerka, która naśladuje filmową gwiazdę. Co powiedzieć Harper? Zmarnowałam sposobność, która nadarzyła się podczas spotkania w kościele. Niezręcznością było posuwać się dalej, ale nie wycofałam się ze względu na obietnicę daną Carlowi.

Od wyłożonego puszystym dywanem korytarza na drugim piętrze odchodziło wiele pokoi. Przez uchylone drzwi widać było antyczne zegary i lustra, a w którymś z pomieszczeń dostrzegłam niewielką brązową figurkę tancerki autorstwa Degasa. Jedna z sypialni była zamknięta, ale od razu domyśliłam się, że to pokój Harper. Zapukałam głośno, jednak nikt nie odpowiedział. Zastukałam ponownie, ale znowu nie doczekałam się żadnej reakcji. Przekręciłam zatem dużą kryształową gałkę i weszłam. Wewnątrz nie paliła się żadna lampa, ale przez okna wpadało naturalne światło, wypełniając pomieszczenie błękitną poświatą.

Moja siostra, w ubraniu, leżała na wznak z zamkniętymi oczami, tak samo jak w liceum, w tę noc, gdy wróciła pijana do domu.

Stałam tuż przy łóżku i głośno się odezwałam. Po chwili Harper, otwierając oczy powiedziała:

- Idź sobie, Liz. - Ponownie opuściła powieki.

- Nigdzie nie pójdę - oświadczyłam. - Nie po to przebyłyśmy z ciotką Leatrice taki szmat drogi, żeby skosztować przystawek - nalegałam.

- Cóż, jeśli liczyłaś na plotki, to muszę cię rozczarować. Nie mam nastroju do pogaduszek.

- Harper, proszę. - Nie mogłam wymyślić nic lepszego, a i tak nie byłam pewna, o co mi właściwie chodzi.

- O co prosisz? - rzekła oschle, nieswoim, zgorzkniałym głosem. - Wybaczysz mi, mam nadzieję, że nie stanęłam na wysokości zadania, ale ani myślę spełniać towarzyskich obowiązków. - Z każdym słowem przybierała coraz bardziej zgryźliwy i napastliwy ton. - Dziękuję, że przejechałaś taki kawał. Podziękuj ode mnie ciotce Leatrice. Podziękuj wszystkim, którzy na dole piją moje trunki, mają fantastyczną wyżerkę, plotkują o najnowszych wystawach, próbują poznać odpowiedniego właściciela galerii i już planują następne posunięcie, by wylądować jak najlepiej. Doskonale mogą sobie poradzić beze mnie. - Przerwała, dodając zaraz: - I na pewno sobie poradzą.

Jej słowa zabrzmiały niepokojąco, jakby sugerowała, że chce popełnić samobójstwo.

- O co ci chodzi? - spytałam przestraszona.

Znów otworzyła oczy, spoglądając na mnie pytająco. Wtem zrozumiała.

- Nie miałam na myśli tego - odparła, a jej głos złagodniał. - Oczywiście, rozważałam takie wyjście, wierz mi, ale nie mogłabym skrzywdzić Nicka. Muszę jakoś przetrwać. - Zamilkła, by po chwili ciągnąć: - Chcę wyjechać na jakiś czas. Mam dom na wyspie u wybrzeży Florydy. W bardzo odludnym miejscu. Przyjeżdżam tam niekiedy, by popracować. Teraz jednak muszę zupełnie zniknąć, przynajmniej na trochę. Jestem bliska obłędu, Liz. Nie wiem, co innego mogę zrobić.

- Myślisz, że odizolowanie się od ludzi ci pomoże?

- Nie - odrzekła stanowczo. - Nie sędzę, ale czy masz jakiś lepszy pomysł?

Potrząsnęłam głową. Harper miała rację, nigdy nie doświadczyłam tak wielkiej tragedii, więc nie mogłam pojąć bezmiaru jej cierpienia. Przyglądałam się w milczeniu przyciętym włosom, twarzy, całej w plamach od płaczu i alkoholu, a sens jej słów powoli zaczynał do mnie docierać. Moja bliźniacza sio-

stra, która zawsze otaczała się ludźmi, prowadziła bardzo aktywne życie, teraz rozpaczliwie zapragnęła spokoju.

- Cóż - dalej drążyłam ten temat - jeśli będziesz czegoś potrzebowała...

- Och, Liz. - Z jej ust wydobył się ledwo słyszalny szept. - Straciłyśmy naszą szansę. Nigdy nie byliśmy przyjaciółkami, nawet nie czułyśmy do siebie sympatii. - Urwała na moment. - Czy nie mam racji?

- Tak - odparłam cicho. - To prawda.

Bez wątpienia miała słuszność. Bezwiednie podeszłam do okna. Wyjrzałam na zaśnieżoną drogę, za którą rosła gęstwina drzew. „Strzechę” otaczała rozległa posiadłość, w pobliżu nie stały żadne inne domy, nie błyskały przyjazne światła w oknach, podnoszące na duchu strużki dymu nie ulatywały z sąsiedzkich kominów. Nad nieprzyjaznym, zimowym krajobrazem zapadał wczesny zmierzch.

Nagle, ku memu zupełnemu zaskoczeniu, dojrzałam figurkę dziecka, wędrującego wzdłuż drogi. Wzdrygnęłam się na myśl, że to przecież mój siostrzeniec, Nick. Pośród tych dramatycznych wydarzeń wszyscy o nim zapomnieli. Nie dostrzegł go żaden z gości, wszyscy siedzieli bowiem w salonie, którego okna wychodziły na cieśninę, Nick zaś maszerował aleją od frontowej strony budynku. Oddalał się od domu, zmierzając w sobie tylko znanym kierunku.

Raptem bardzo się o niego zaniepokoiłam. Lęk o chłopca położył mi się na piersi nie znanym wcześniej ciężarem. Tak musi czuć się matka, gdy jedno z jej dzieci odchodzi.

- Nick - odezwałam się - brnie przez śnieg.

Harper wyjrzała przez okno.

- Rzeczywiście - odrzekła z wyraźnym brakiem zainteresowania.

- Czy powinien tak spacerować zupełnie sam? - spytałam. - Kierowca przejeżdżającego samochodu może go nie zauważyć, a poza tym jest bardzo zimno.

Harper niepewnie machnęła ręką.

- To chłopak. Poradzi sobie.

- Ma tylko siedem lat - zaznaczyłam.

- Wróci, gdy będzie miał ochotę - zapewniła Harper. - Zawsze tak robi.

Obrzuciłam ją baczny spojrzeniem, uświadamiając sobie, że w jej stanie może myśleć tylko o sobie i nikim więcej.

- A jeśli nie wróci? - Nalegałam. - Co z nim będzie, gdy ty pojedziesz na tę wyspę na Florydzie? Gdzie się wtedy podzieje?

- Na wyspę Sanibel - sprecyzowała Harper. - Kucharka Jeannette zajmie się Nickiem. Świetnie jej to idzie. Poza tym - dodała - na wiele bym mu się tu nie zdała. Tylko by się przestraszył, widząc, jak cały dzień leżę w łóżku i płaczę.

Nie mogłam znieść myśli, że mój siostrzeniec zostanie pod opieką kucharki, bez względu na to, jak bardzo jest macierzyńska i miła.

- Harper - rzekłam tonem nieznoszącym sprzeciwu - to nie wystarczy. Chłopiec potrzebuje prawdziwej troski. - Zdecydowanie brzmiące w moim głosie trochę mnie zaskoczyło.

Najwidoczniej Harper też była zdumiona, gdyż zmarszczyła brwi ze słowami:

- Doprawdy, Liz, nie słyszałam jeszcze, żebyś przemawiała z takim... przekonaniem.

Poczułam, jak fala gorąca uderza mi do głowy.

- Harper - rzekłam - a twoi przyjaciele, którzy są tutaj, czy oni ci nie pomogą? A Carlo? Przynajmniej na razie mógłby cię wesprzeć.

- Nic go nie obchodzimy.

- Nieprawda - odparłam. - Rozmawiałam z nim, wyraźnie widać, że jest załamany.

- Prawie nie znał własnych dzieci - rzekła szorstkim głosem. - Co z niego za ojciec?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Mimo że Doe i Nick to dzieci mojej siostry, też właściwie byliśmy sobie obcy.

- Zejdę na dół - odezwałam się.

- Proszę bardzo - odpowiedziała Harper.

Odwróciłam się, by ponownie na nią spojrzeć. Opadła na stos ozdobnych poduszek, na powrót przymykając oczy.

- Życzysz sobie czegoś? - spytałam łagodnie.

- Tak. Powiedz lokajowi, żeby przyniósł mi podwójnego bourbona.

- Oczywiście - zapewniłam, nie mając zamiaru spełnić jej prośby.

Gdy wyszłam na dwór, sypał gęsty śnieg. Moje skórzane buty nie nadały się na taką pogodę. Mimo że były grube i ocieplane filcem, podeszwa nie miała bieżnika, zaraz więc poślizgnęłam się, upadając w głęboką, oblodzoną zaspę. Jednak nie przestałam przedzierać się przez skrzypiący biały puch, wzdłuż śliskiej alei, próbując dogonić siostrzeńca.

Kilkakrotnie wykrzyknęłam jego imię, ale nie usłyszał lub nie chciał usłyszeć moich nawoływań.

Dokąd Nick zamierza pójść? - zastanawiałam się, gdy zimne płatki wpały mi do ust, a na rzesach osiadły kryształki lodu. Droga ostro skręciła w prawo, prowadząc na strome zbocze. Podążałam za Nickiem, modląc się, by buty wytrzymały wspinaczkę i żebym nie Sturlała się z górki. Wreszcie obydwoje dotarliśmy na szczyt wzgórza. Nick odwrócił się tyłem, spoglądając w dół stoku. Podeszłam do niego ostrożnie, jakby był dzikim zwierzątkiem.

Przede mną stał mały chłopiec, ubrany w o wiele za duży szary płaszcz. Dostrzegłam, że Nick zapomniał rękawiczek, a jego palce wyglądały na całkiem przemarznięte. Nie włożył czapki, toteż jego włosy pobiełały od śniegu. Miał tylko siedem lat, ale przypominał trochę skurczonego staruszka.

- Nick? - zagadnęłam ponownie, podchodząc i dotykając jego ramienia. Wzdrygnął się i pospiesznie odwrócił w moją stronę, widocznie nie zdając sobie sprawy, że za nim poszłam. Zaskoczony wbił we mnie podejrzliwy wzrok. - To ja, twoja ciocia Liz! - Staralam się przekrzyczeć wiatr.

Wyraźnie zdumiony przyglądał mi się przez chwilę. Potem dostrzegł chyba, jak bardzo jestem podobna do jego matki, gdyż szybko skinął głową.

- Wracajmy do domu - zaproponowałam.

Potrząsnął głową i trochę się odsunął. Gdy instynktownie podążyłam za jego spojrzeniem, dotarło do mnie, że wpatruje się w miejsce, gdzie zginęła jego siostra. Patrzyłam na stromiznę poniżej, ale śnieg, padający od dwóch dni, zasypał wszelkie ślady wypadku. Widziałam tylko zwykły pobielony puchem pagórek, obramowany z dwóch stron drzewami, z jakiego dzieci często jeżdżą na sankach. Ja i Harper chodziłyśmy na sanki na podobne wzgórze w Longwood Falls. Pamiętam, że zawsze siedziałam sztywno wyprostowana, ściskając sznurek, by nie pędzić zbyt szybko, natomiast Harper kładła się płasko na brzuchu i, zaciskając powieki, napawała się rozkoszą sanny.

Oczy zaczęły mnie piec od wiatru i łez nie tylko z powodu nieżyjącej siostrzeniczki, ale także, samolubnie, z żalu za małą dziewczynką, którą kiedyś byłam, a która, jako dorosła, ma tak ubogie życie. Harper i ja zjeżdżałyśmy z naszej własnej górki, nabierając pędu i tworząc dwie, zupełnie odrębne trasy. Ona szusowała we wspaniały świat, gdzie czekała na nią wielka kariera, dzieci, kochankowie, a ja zsuwałam się zupełnie sama. Gdy zerknęłam na siostrzeńca w za dużym palcie, poczułam gwałtowny przyływ czułości.

- To nie twoja wina - odezwałam się impulsywnie, a potem dodałam: - Mam na myśli wypadek.

Spojrzał na mnie, wstrząśnięty, więc w pierwszej chwili uznałam, że czuje się urażony podejrzeniem o takie myśli. Jednak, gdy wyraz jego twarzyczki zmienił się nieco, zrozumiałam, że miałam rację.

- Właśnie, że to moja wina! - rzucił gwałtownie. - To ja chciałem iść na sanki. Ona wolala lepić anioły ze śniegu, ale powiedziałem, że jej śnieżne anioły są głupie i nudne.

- Nie mogłeś przewidzieć, co się stanie - zapewniłam. - To po prostu niemożliwe. Zrządzenia losu są wielką niewiadomą. Musisz mi uwierzyć, że nie odpowiadasz za śmierć Doe.

Nikommu nie przyszło do głowy, by mu to powiedzieć. Nikt nawet nie pomyślał, że chłopiec w cichości ducha może długo żywić poczucie winy, które powoli zacznie w nim narastać.

- Czy to moja mama przysłała cię po mnie? - spytał, a ja potrząsnęłam przecząco głową.

- Nikt mnie nie przysłał - odpowiedziałam. - Sama chciałam do ciebie przyjść.

- Idź sobie. Nie mam ochoty na twoje towarzystwo. Zabieraj się stąd. - Mówił tonem nadąsanego dzieciaka, któremu wszystko wolno, ale w jego głosie pobrzmiwał także przeogromny smutek, toteż pozwoliłam mu się wygadać. Słuchałam spokojnie, gdy powtarzał, że bym sobie poszła, że nikomu nie jestem tu do szczęścia potrzebna, i mam wrócić tam, skąd przyszłam.

Zamilkł wreszcie. Staliśmy, przyglądając się sobie z uwagą, aż odezwałam się wypranym z emocji głosem.

- Sama nie wiem, może zwariowałam, ale coś mi mówi, że chcesz, że bym sobie poszła.

Nieco zakłopotany Nick zapytał po chwili:

- To miał być żart? Skinęłam głową.

- Staram się, chociaż chyba mi nie wychodzi.

- To prawda - przyznał - zupełnie ci nie wychodzi. - Najwyraźniej czerpał pewną satysfakcję z mego braku poczucia humoru.

Zrobiłam głęboki wydech, patrząc, jak powietrze z płuc zamienia się w kłęb pary.

- Chodź - powiedziałam. - Wracamy do domu. - Tym razem Nick nie oponował.

Wracaliśmy więc razem do domu, a choć Nick nadal był smutny i zamyślony, czułam, jak w tej mroźnej ciszy pomiędzy nami - małym chłopcem i zupełnie mu obcą, dojrzałą kobietą - rodzi się coś niewysłowionego, jakaś szczególna więź.

Po powrocie usiadłam z Nickiem przy stole kuchennym, a służba kręciła się wokół, przygotowując trójkątne kanapeczki z miększu chleba, które starannie układano na srebrnych tacach. Nick bez trudu pochłonął sześć takich trójkącików z serem, popił je ogromną szklanką mleka i dopełnił kawałem czekoladowego tortu wielkości mniej więcej buciora.

- Kiedy ostatni raz coś jadłeś? - zapytałam, ale tylko wzruszył ramionami. Zdumiał mnie apetyt chłopca, czegoś takiego jeszcze nie widziałam.

O dzieciach nie wiedziałam prawie nic. Dawno temu, kiedy byłam związana z prawnikiem z naszego miasteczka, Jeffem Hardestym, wyobrażałam sobie nawet, że poślubię go i będziemy mieć potomstwo. Jednak zawsze czekałam na prawdziwą, gorącą miłość, owo słynne „to”, o którym tyle słyszałam. Cokolwiek łączyło mnie z Jeffem, na pewno nie było „tym”, nawet jeśli przez jakiś czas łudziliśmy się, że możemy być razem.



Jednak uczucia, jakie żywiłiśmy dla siebie, nie okazały się wystarczająco głębokie, przynajmniej w moim pojęciu, nie w tym momencie mojego życia. Rozstaliśmy się, a Jeff niedługo później wyjechał na północ, do Buffalo, i to był koniec. Czas mijał, a ja z dwudziestoletniej dziewczyny stałam się trzydziestoletnią kobietą. Miałam innych adoratorów, ale to ciągle nie było „to”. Znajomi zakochiwali się i płodzili dzieci. Zapraszano mnie na przyjęcia ślubne, a potem na babskie wieczorki z okazji przyszłych narodzin potomka, gdzie tłum kobiet otaczał siedzącą pośrodku pokoju ciężarną przyjaciółkę, która rozpakowywała prezenty: maciupcie pastelowe ubranka czy ruchome zabawki do powieszenia nad kołyską, z których zwisało sześć misiów panda.

Zawsze chciałam założyć rodzinę. Jako mała dziewczynka urządzałam lalkom śluby, a potem hojnie obdarzałam je dziećmi. Lalczyńskie poród zawsze był bezbolesny - mamusie po prostu szły do szpitala, wracając po chwili z nowiutkim zawiniątkiem w ramionach. Czy wyobrażałam sobie, że mnie pójdzie równie łatwo? Że pewnego dnia po prostu zakocham się, oczywiście wezmę ślub, a wkrótce potem będziemy z mężem otoczeni gromadką słodkich maleństw? Prawdę mówiąc, w ogóle się nad tym nie zastanawiałam. Naiwnie sądziłam, że życie jakoś „samo się ułoży”. Tymczasem przypadła mi rola widza, obserwującego, jak wszystko „samo układa się” w życiu Harper, nie zaś w moim.

Zerknęłam na Nicka, odkładającego właśnie widelczyk do ciasta. Twarzyczkę miał całą w okruchach, a nad górną wargą wyrosły mu mleczone wąsy. W jego oczach wyczytać można było głębokie skupienie, gdy nagle się odezwał:

- To powinienem być ja.

Wbiłam w niego wzrok, nie mogąc uwierzyć własnym uszom, mimo że zdawałam sobie sprawę, co miał na myśli.

- Co takiego?! - spytałam.

- Na górcie - odrzekł. - Mama wolałaby, żebym to ja umarł. Doe była jej pupilką.

- To niemożliwe - zapewniłam, chociaż rzeczywiście nie miałam pojęcia, co Harper chodzi po głowie. - Ona bardzo cię kocha, Nicku - ciągnęłam. - To znaczy daj spokój, przecież to twoja matka.

- Doe była jej córunią - powiedział. - Były bardzo podobne, wszyscy to powtarzali. Wyglądały tak samo, miały jednakowe rude włosy. Wszyscy mówili, że była bardzo czupurna, zupełnie jak mamusia.

- Ty też tak myślisz? - zagadnęłam.

- Nie wiem - odpowiedział, wzruszając ramionami. - Co znaczy „czupurna”?

To pytanie przypomniało mi, że Nick, przy całej swojej złości, zamyśleniu i smutku, jest tylko dzieckiem. Chłopcem, który siedzi przy stole, ledwo dosięgając stopami podłogi, popija mleko, żuje kawałek ciasta, i którego nigdy nie było mi dane poznać.

Wyobraziłam sobie, jak zapomniany przez wszystkich wędruje na zimnie bez końca, maszerując wzdłuż szosy, póki nie zgubi się w zamieci, a śnieg zasypie ślady jego stóp. Musiałam na niego spojrzeć. Zdążył się już rozgrzać w kuchennym cieple, jego policzki odzyskały zwykły kolor, a na włosach, wytartych do sucha i uczesanych przez pokojówkę, nie został nawet ślad po śniegu.

W Longwood Falls czekała na mnie praca w bibliotece, na rogu Bancroft Road. Spodziewają się mnie w poniedziałkowy rano. Dozorca przywita mnie przy wejściu, pošle uśmiech dziewczynie w recepcji. W tym pełnym woluminów budynku czułam się bezpieczna - książki dodawały mi otuchy, choć pocieszenia zazwyczaj oczekuje się od ludzi.

Odkąd dwa lata temu zmarł stary bibliotekarz, zajęłam jego miejsce, biorąc na siebie większość obowiązków. Wprowadziłam zajęcia pozalekcyjne dla dzieci oraz założyłam kółko czytelnicze z myślą o inteligentnych kobietach, które miały trochę wolnego czasu. Zbierałyśmy się raz w miesiącu po godzinach w świetlicy, by dyskutować bez końca, pogryzając przepyszne, potwornie tłuste pączki z cukierki Beckermanna.

Znali mnie wszyscy czytelnicy biblioteki. Zawsze można było na mnie polegać, gdyż angażowałam się w pracę, a w domu nie czekał na mnie mąż ani dzieci. Raz podsłuchałam, jak jedna z bibliotekarek rzekła: „Och, Liz Mallory praktycznie wyszła za bibliotekę”. Nie chciała mnie obrazić, ale i tak jej słowa bardzo mnie zabolowały.

Oczekiwali, że przyjdę do pracy w poniedziałek rano, ale ja nie zamierzałam jeszcze wracać. Postanowiłam zatroszczyć się o siostrzeńca, dotrzymać mu towarzystwa, gdy jego matka będzie próbowała pozbiierać się na wyspie Sanibel. Nawet gdyby nie chciał przyjąć mojej pomocy, będę się nim opiekować lepiej niż ktokolwiek inny. Wiedziałam, że postępuję słusznie, nawet jeśli, zdaniem Harper, Jeannette świetnie zajęłaby się Nickiem. Nie mogłam się na to zgodzić. Po raz pierwszy w życiu przyszła kolej Harper, by zejść ze sceny, a moja, by na nią wstąpić.

## Rozdział 3

Wkrótce ja i Nick zostaliśmy sami. Tak jak się spodziewałam, początkowo Harper upierała się, że nie muszę niańczyć chłopca, ale nie miała serca do walki. Najwyraźniej teraz nie miała serca do niczego. Mało co ją poruszało, jakby życie zupełnie z niej uszło. Taksówka, która miała zabrać ją na lotnisko, czekała już, gdy Harper, zmierzając do frontowych drzwi, zaznaczyła, że po raz pierwszy udało jej się zabrać mało bagażu. Wreszcie nie musi pakować przyborów malarskich.

- Wypaliłam się - powiedziała. - To koniec.

- Może ci się tak tylko wydaje - rzekłam.

- Nie wydaje mi się - odparła, a nieoczekiwana stanowczość w jej głosie zamknęła mi usta. - Definitywnie zlikwidowałam pracownię - ciągnęła. - Nie ma sensu jej utrzymywać, bo nie wyobrażam sobie, że mogłabym kiedykolwiek jeszcze coś namalować. Zresztą, kogo to, u diabła, obchodzi?

- Mnie - nie chciałam się poddać.

- A mnie nie - rzuciła, wychodząc.

Patrzyłam, jak wsiada do taksówki, lecz zaraz mój wzrok przyciągnął przycupnięty na stopniach Nick. Chłopiec odprowadzał spojrzeniem wolno odjeżdżający samochód. Kilka godzin wcześniej odwiozłam ciotkę Leatrice na stację. I tak zostaliśmy zupełnie sami - pomyślałam, przyglądając się kruchej, nieruchomej figurce siedmiolatka. Tylko ty, ja i ten wspaniały, wielki dom.

Nic o sobie nie wiedzieliśmy, musieliśmy więc poznawać się od początku. Pierwsze, czego się nauczyłam, to nie zadawać Nickowi pytań o samopoczucie, przyjaciół czy ulubiony przedmiot w szkole. Najczęściej reagował wzruszeniem ramion, toteż z reguły nie naciskałam, spokojnie przyjmując ten brak odpowiedzi. Pozwoliłam mu także wybierać dla nas zajęcia, co przeważ-

nie prowadziło do nie kończących się partyjek „Monopolu” lub „Detektywa”. Kiedy znudziła nam się gra, przypinaliśmy biegówki, by pokonywać niezmiernie połamane śniegi. Posiadłość mojej siostry rozciągała się na wiele mil, więc codziennie mogliśmy zapuszczać się w nowe miejsca. Czasem godzinami włożyliśmy się bez słowa wzdłuż przyprószonego śniegiem wybrzeża, obserwując wzburzone morze. Wkrótce zorientowałam się, że, czy to w grach planszowych, czy wędrówkach na świeżym powietrzu, największą przyjemność sprawiało Nickowi milczenie.

Wieczorami, po zjedzeniu nieodmiennie przepysznej kolacji, ugotowanej przez kucharkę Jeannette, siadywaliśmy na stosie poduszek przed kominkiem. W pokoju, w którym teoretycznie cała rodzina miała wspólnie spędzać miłe godziny, czytałam chłopcu różne historyjki. Nick nie był pożeraczem książek, ale lubił z przymkniętymi oczyma wsłuchiwać się w głośno wypowiedane przeze mnie słowa. Niekiedy, gdy tak siedzieliśmy, miałam nadzieję, że oprze mi głowę na ramieniu, jednak tego nie uczynił. Chciałam dodać mu otuchy, której tak potrzebował, ale okazja po temu nie nadarzyła się ani razu. Nad rozważania o uczuciach przedkładał książki przygodowe, których mali bohaterowie lądowali niespodziewanie na statkach kosmicznych lub w pociągach towarowych.

Sam Nick nie zwiedził wiele świata. Nim Harper i Carlo się rozwiedli, często jeździli do Europy, jednak dzieci zawsze zostawały w Stone Point, pod opieką służby. Teraz także to nie Nick, a jego mama była w podróży. Co wieczór, bez względu na samopoczucie, telefonowała z domu na wyspie u wybrzeży Florydy, a Nick opowiadał, co mu się przydarzyło danego dnia. Potem podawał mi słuchawkę, a siostra żałośnie, apatycznym głosem, relacjonowała mi przebieg jej dnia - czy zdołała zwlec się z łóżka przed południem, czy też nie.

Te rozmowy czasem mnie przerażały, gdyż nie wiedziałam, w jakim Harper naprawdę jest stanie. Staralam się jednak nie okazywać zaniepokojenia, przypominając siostrze, że potrzeba czasu, by przeboleć tak wielką stratę, nie powinna się więc z niczym spieszyć. I mówiłam to serio. Dyrektor biblioteki w Longwood Falls zdumiał się bardzo, gdy poprosiłam o urlop, zwłaszcza zaś zastanowiło go sformułowanie „na czas nieokreślony”, jednak co mógł w tej sytuacji odpowiedzieć? Nie można przecież przewidzieć „ważnych spraw rodzinnych”.

Pewnego dnia, podczas wspólnego spaceru, Nick bez słowa poprowadził mnie ścieżką, wiodącą do lasu za domem. Przestałam już wtedy nosić niepraktyczne obuwie, w którym tu przyjechałam, pożyczając buty i nie używane przez siostrę ubrania, wiszące teraz w szafie gościnnego pokoju, w którym zamieszkałam. Harper nalegała, żebym wzięła jej rzeczy, które mi się podobają, gdyż nosimy ten sam rozmiar. Po chwili dojrzałam polankę, pośrodku której stał prosty drewniany domek. Widziałam go już kiedyś i sądziłam, że należy do Jeannette i lokaja, Toma, jednak, jak mi później powiedziano, służba mieszkała na najwyższym piętrze rezydencji.

- Co to za miejsce? - spytałam Nicka.

- Pracownia mojej mamy - odparł, gdy podeszliśmy bliżej. - Maluje tylko tutaj.

Zatem to była owa słynna świątynia sztuki, o której tyle się nasłuchałam przez lata. Na drzwiach wisiała duża kłódka, więc mogliśmy tylko zajrzeć do środka przez okna, przyciskając nosy do zimnej szyby z ołowiowego szkła.

Była rzeczywiście cudowna - wymarzona pracownia dla każdego artysty. Widziałam ją już kiedyś w magazynie poświęconym wystrojowi wnętrz, jednak nawet pierwszorzędne zdjęcia nie oddawały atmosfery tego wyjątkowego miejsca. Harper stworzyła sobie idealne warunki w owym przestronnym, wid-

nym pomieszczeniu z otwartą więźbą dachu, podłogami z jasnego drewna, zalanyymi słońcem, które wypełniało cały pokój doskonałym, jasnożółtym światłem, godnym zazdrości największego artysty.

Do jednej ze ścian przylegał długi, poplamiony farbą stół, zastawiony różnymi przyborami malarskimi. Pełno na nim było pędzli najróżniejszych typów i grubości, od dużych ściennych wałków po cieniutkie japońskie pędzelki, sporządzone z kilku włosków osadzonych na cienkim, bambusowym patyczku. Resztę miejsca zajmowały duże, powgniatane, błyszczące, metalowe puszki z terpentyną i olejem lnianym oraz rozpięte na sztalugach nowe, nieknięte jeszcze płótna. Naprzeciwko umieszczono kosztowną wieżę stereo, a w rogu stała starannie zasłana otomana. Harper urządziła nawet małą kuchenkę do przygotowywania posiłków. Panowały tu idealne warunki do pracy twórczej i chyba żaden artysta nie chciałby dobrowolnie opuścić takiego studia.

Oprócz Harper. Wyszła, zaklinając się, że nigdy tu nie powróci. Wyobraziłam sobie, jak z czasem porzucona pracownia zmienia się w ruinę, sklezione pędzle przestają nadawać się do użytku, słoje z farbą wysychają, a ich powierzchnię pokrywają spękania, niczym zeskorupiała od słonecznego żaru ziemię. Kiedy tak zerkałam do środka przez okna budynku, przyszło mi nagle do głowy, że to chyba najsmutniejsze miejsce na ziemi, i już miałam się odwrócić, gdy raptem coś przyciągnęło moją uwagę.

W cieniu, przy przeciwległej ścianie, ujrzałam spore płótno oparte na sztalugach. Obraz był w znacznej mierze abstrakcyjny, a choć mało co mogłam dostrzec i tak rozpoznałam, że jest to nie dokończony portret dziecka. Po ognistych włosach i figlarnym spojrzeniu półprzymkniętych oczu zorientowałam się, że postacią na obrazie jest Doe. Osłoniłam dłonią oczy, wpatrując się w szkic podobizny dziewczynki, który nigdy nie zostanie dopracowany.

- Co sądzisz o studiu mamy? - zagadnął Nick. - Podoba ci się?

Wyprostowałam się i odwróciłam od okna.

- Tak - odparłam, domyślając się, że nic jeszcze nie wie o decyzji Harper.

- Mogę ci jeszcze coś pokazać - zaoferował się. - Chcesz zobaczyć Point?

Zmarzłam, więc najchętniej wróciłabym do domu, lecz Nick tak zaskoczył mnie niezwykłą dla niego inicjatywą, że czym prędzej odparłam:

- Jasne.

Stone Point wzięło nazwę od podłużnego, regularnego półwyspu, który wdzierał się w wody cieśniny. Podobno często widywano tam całujące się pary kochanków, a wielu kawalerów w tym właśnie miejscu poprosiło swe wybranki o rękę. Zanim zdążyliśmy z Nickiem dobrnąć przez śnieg do Pointu, zaczęło już zmierzchać. Na ciemniejącym niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy.

Gdy wchodziliśmy na wąski cypel, dostrzegłam, że na samym jego końcu stoi mężczyzna. Odwrócony tyłem do nas, majstrował przy jakimś urządzeniu, które przed chwilą rozstawił. Z początku sądziłam, że to przyrząd pomiarowy, jakiego używają geodeci, jednak gdy podeszliśmy bliżej, zrozumiałam swój błąd. Urządzenie okazało się teleskopem, skierowanym na niebo. Mężczyzna poprawiał pokrętła, regulując ustawienie soczewek, zerkając przez okular, przekręcając go to w lewo, to w prawo, jakby szukał konkretnego obiektu. Słyszając odgłosy kroków, spojrzał w naszą stronę, a ja odniosłam wrażenie, że już go kiedyś widziałam. On także zdawał się mi przyglądać, jakby próbował zgadnąć, kim jestem. Po chwili przypomniałam sobie - to on ustąpił mi miejsca w czasie pogrzebu.

Zbliżał się do czterdziestki, a znoszona, skórzana kurtka lotnicza dobrze leżała na jego szczupłej, wysokiej figurze.

- Czy my się znamy? - spytał.

- Nie - odparłam - ale spotkaliśmy się w kościele parę dni temu. Dzięki panu ja i moja ciotka miałyśmy gdzie usiąść. - Przytaknąwszy głową na znak,



że pamięta, zamierzał chyba właśnie się przedstawić, gdy nagle Nick zrobił krok naprzód.

- Dobry wieczór, panie Fields - przywitał się, podając rękę, jak go zapewne uczono. Jednak mężczyzna zamiast potrząsnąć dłonią chłopca, uściskał go serdecznie.

- Cześć, Nick - rzekł miękko, odsuwając się, by popatrzeć na mego siostrzeńca. - Wiesz, sporo o tobie myślałem. Dostałeś mój list?

- Tak - odparł Nick, zadowolony, lecz również zakłopotany zainteresowaniem, jakie wzbudził. - Bardzo dziękuję. - Zerknął na teleskop. - Co pan robi? - zapytał, najwyraźniej starając się odwrócić temat rozmowy od rodzinnej tragedii.

- Wypróbuję najnowszą zabawkę - odpowiedział tonem łagodnym, pełnym wahania, lecz nie pozbawionym pewnej szorstkości. - Chcesz popatrzeć?

- Jasne - rzekł Nick, toteż mężczyzna obniżył teleskop, pomagając chłopcu w takim ustawieniu okularu, by dostrzegł obiekt, o który mu chodziło. Gdy Nick zaczął podziwiać niebo, mężczyzna zwrócił się do mnie:

- Nazywam się David Fields. Uczę Nicka w Craighead.

- Liz Mallory - odrzekłam, wyciągając do niego dłoń w rękawiczce. On nosił rękawiczki z miękkiej, brązowej skóry, która popekała ze starości. - Jestem jego ciotką.

- Tak myślałem - oznajmił. - Zamieszkała pani z rodziną? - spytał, a ja przytaknęłam.

- Opiekuję się Nickiem - dodałam. - Jego matka wyjechała.

- Naprawdę? - wydawał się zdumiony.

- Ma dom na wyspie u wybrzeży Florydy - wyjaśniłam, a David skinął głową. - Chciała побыć trochę zupełnie sama.

- To zrozumiałe - stwierdził. - Ale co z Nickiem? Jak długo pani Mallory pozostanie na Florydzie?

- Nie mam pojęcia - odparłam. - Ona chyba też nie wie. Tak długo, jak to będzie konieczne. - Potem uświadomiłam sobie, że mały się nam przysłuchuje. - Mam nadzieję, że wkrótce wróci.

Przytaknął. Staliśmy przez chwilę w milczeniu, które przerwał David, mówiąc przyciszonym głosem, że martwił się, jak Nick będzie sobie radził w czasie ferii.

- Idzie mu całkiem nieźle - uspokołam go. - Spędzamy mnóstwo czasu razem, bawimy się, spacerujemy.

- Miło mi to słyszeć - odrzekł David. - Niepokoję się o niego.

Zapadła kłopotliwa cisza. Nie mogliśmy rozmawiać o Nicku, gdyż stał tuż obok, nie ulegało jednak wątpliwości, że obojgu nam bardzo zależy na tym niekomunikatywnym chłopcu. Ucieszyłam się, że Nick ma tak miłego nauczyciela. W podstawówce uczyły mnie tylko kobiety, w szkole w Longwood Falls zatrudniano co prawda jednego wychowawcę, ale nie prowadził lekcji w mojej klasie. Był męską wersją starej panny - zasuszonej belferki. Pamiętam nawet, że nazywał się Rembard, codziennie nosił tę samą małą czerwoną muszkę do zielonego, zapinanego swetra, a na lunch przygotowywał sobie zawsze wilgotną kanapkę z tuńczykiem, którą zjadał przy biurku.

David Fields w ogóle nie przypominał starego kawalera. Polubiłam go od pierwszego wejrzenia, a jednak czułam w jego towarzystwie pewne skrepowanie. Wiedziałam, że nie wyglądam zbyt pociągająco, okutana w watowany zimowy płaszcz i w grubej wełnianej czapce na głowie. Myśl, że stanowią komiczny widok, działała na mnie przygnębiająco. Nie wiedzieć czemu, chciałam wyglądać pięknie, podobać się Davidowi. Tego dziwnego uczucia nie do-

świadczyłam od bardzo dawna, przyszło ono nagle, gdy moje myśli zaprzętały zupełnie inne sprawy.

- Może chciałaby pani popatrzeć przez teleskop? - zagadnął David, a ja przytaknęłam.

- Co pan podziwia? - spytałam.

- Saturna - odparł.

- Naprawdę? Widać go stąd?

- Oczywiście - odrzekł. - Wystarczy mieć przyzwoite przyrządy, a ten teleskop jest nie najgorszy.

Gołym okiem na ciemniejącym niebie można było dostrzec jedynie swójski półksiężyc, kilka gwiazd i światła przelatujących od czasu do czasu samolotów. Jednak gdy David pomógł mi wyregulować teleskop, ujrzałam, jak jedna z niepozornych gwiazd po wielkim powiększeniu w magiczny sposób przeobraża się w planetę, otoczoną mglistymi pierścieniami.

- Patrzcie tylko - powiedziałam cicho. - Wygląda zupełnie jak na tych wszystkich zdjęciach. Przepięknie.

- Owszem - odparł. - To cudowny widok. - Zamilkł na chwilę. - Kilka lat temu nie można było dojrzeć pierścieni nawet przez teleskop.

- Dlaczego? - spytałam.

- Powierzchnia pierścieni znajdowała się pod zbyt małym kątem.

- Cóż, w takim razie cieszę się, że teraz można je oglądać - odrzekłam, wpatrując się w migotliwe pierścienie planety, otaczające kulę o przytłumionych kolorach. Gdy odsunęłam okular teleskopu, Saturn na powrót przemienił się w zwykłą główkę od szpilki. Raptem świetlny punkt przeciął niebo, zostawiając na czarnym tle jasną, ukośną smugę. Obserwowaliśmy z Davidem jego przelot.

- Co to było? - zapytałam, zdumiona. - Spadająca gwiazda?

Skinął głową.

- Owszem - odpowiedział. - Wypala się w czasie lotu. Na tym to polega. Płonące kawałki lodu, nic więcej.

- Gdzie ona jest? - dopytywał się Nick, wpatrując się w niebo.

- Przeleciała - wyjaśnił David. - Tak to jest ze spadającymi gwiazdami. Zniknie, zanim zdążę ci ją pokazać, ale zawsze możesz poszukać następnej.

Nick posłuchał jego rady, cały czas wlepiając oczy w firmament, a ja spytałam Davida, od jak dawna obserwuje ciała niebieskie.

- Właściwie od zawsze - odparł, wzruszając ramionami. - Jako chłopiec często przychodziłem na Point, godzinami wpatrując się w niebo. Nie miałem jeszcze wtedy teleskopu, a tylko lornetkę.

- A czego właściwie pan szukał? UFO? - zażartowałam.

- Nie - odparł krótko.

- Czy to jakiś sekret? - nalegałam, a gdy nie odpowiedział, dodałam. - Wiem. Chodzi o tajemniczą damę.

Wskutek tego głupiutkiego, niewinnego żartu nastrój Davida zmienił się krańcowo. Zesztywniał, odwracając się nieco ode mnie.

- Nie - rzucił. - Nie szukałem zagadkowej kobiety. - Ton jego głosu ochłódł nagle, jakbym palnęła jakąś gafę, ale nie miałam pojęcia, czym mogłam sprawić mu przykrość. Spojrzał na zegarek, mówiąc: - Cóż, czas na mnie. Muszę cię przeprosić, Nick.

Chłopiec odsunął się od teleskopu, a David pospiesznie go spakował, składając statyw i rozkręcając długie stalowe walce. Rozmontował cały instrument z taką łatwością i szybkością, jakby to był ogrodowy leżak.

Chciałam zapytać, co go uraziło, ale nie mogłam wydobyć głosu. Staliśmy jeszcze przez chwilę na wietrze, przyglądając się, zakłopotani, jak na-

uczyciel Nicka pakuje teleskop pod pachę, a potem rozeszliśmy się w przeciwnych kierunkach.

Przez resztę wieczoru nie mogłam otrząsnąć się z ponurego przygnębienia, zwalczyć napięcia. Przepyszna, sycąca kolacja, na którą składał się pieczony kurczak i ziemniaki tłuczone z czosnkiem, wcale mi nie smakowała. Gdy później Nick namówił mnie na grę w „Monopol”, wykręciłam się po kilku kolejkach. Poszłam na górę do swojej sypialni, znajdującej się w części domu przeznaczonej tylko dla gości, a że ich liczba ograniczała się do mnie, skrzydło to zawsze pogrążone było w ciszy, przywodząc na myśl muzeum albo czytelnię. Wspomnienie biblioteki w Longwood Falls uświadomiło mi, że wcale nie tęsknię za panującym tam spokojem.

Teraz jednak poczułam nagły przypływ wstydu, jakbym popełniła straszną pomyłkę. Nie byłam pewna, na czym polega moja wina. Owszem, wypytywałam Nicka o prywatne sprawy, rzeczywiście chcąc uzyskać odpowiedź. Tak naprawdę, to umierałam z ciekawości. Nie byłam z nikim od dawna, bałam się więc, czy to aby nie rzuca się w oczy.

Oczywiście, że moje osamotnienie jest wyczuwalne, pomyślałam, kiedy później przebierałam się do snu. Pokój, który przeznaczyła dla mnie Harper, nie był zbyt duży, ale na pewno urządzone go ze smakiem. Na podłodze leżał ciemnozielony dywan, ściany pokrywały tapety w subtelne arabeski z oplatających się pędów winorośli, pod jedną z nich umieszczono duże, owalne antyczne lustro, w ramie z wiśniowego drewna. Przeglądałam się w nim przez chwilę, zanim włożyłam jedną z jedwabnych nocnych koszulek mojej siostry, po raz pierwszy od długiego czasu uważnie studiując odbicie. Mimo trzydziestu sześciu lat zachowałam znakomitą figurę, której nie naruszyła ciąża ani nadmierna waga. Moje ciało wyglądało tak samo jak w wieku dwudziestu sześciu, a nawet szesnastu lat, wciąż miałam długie, szczupłe nogi i pełne piersi. Byłam świa-

doma swojej delikatnej, spokojnej urody, jednak nagle zaczęłam się martwić, że samotność odcisnęła się na niej mocnym piętnem. Prędko narzuciłam jasnozieloną koszulkę i wskoczyłam do łóżka, nie chcąc dłużej rozważać tej przynębiającej kwestii.

Rankiem spotkała mnie jednak niespodzianka. Wstałam wcześniej i pomaszerowałam z gazetą, filiżanką kawy oraz jedną z upieczonych przez Jeanette ciepłych bułeczek do oranżerii. Kiedy rozsiadłam się wygodnie, by zjeść śniadanie, w drzwiach pojawiła się wysoka postać Toma, lokaja, który trzymał słuchawkę bezprzewodowego aparatu.

- Pani Mallory, telefon do pani - powiedział, nie okazując najmniejszych emocji.

Pomyślałam, że to pewnie ktoś z biblioteki w Longwood Falls, gdzie chyba nikt poza mną nie mógł sobie poradzić z nowym, wprowadzonym w tym roku, systemem katalogowania. Gdy brałam słuchawkę, oczekiwałam słów: „Liz, strasznie mi przykro, że zawracam ci głowę, ale mamy poważny problem z fiszkami...”

Zamiast tego w telefonie odezwał się znajomy męski głos, niepewny, a jednocześnie nieco szorstki.

- Przepraszam za moje wczorajsze nieodpowiednie zachowanie - rzucił w miejsce zwyczajowego „dzień dobry”.

- Słucham? - odrzekłam.

- Wczoraj, na Poincie - dodał. Zapadła cisza. - Mówi David Fields - ciągnął. - Nauczyciel Nicka.

- Ach tak. Dzień dobry - odpowiedziałam, nie mogąc złapać tchu z zakłopotania i podniecenia. - Nie zachował się pan niewłaściwie - skłamałam. - A jeśli nawet, to niczego nie zauważyłam.

- Owszem, byłem nieuprzejmy - odparł. - Nie dawało mi to wczoraj wieczorem spokoju. Chciałbym się usprawiedliwić.

- Ależ nie trzeba - zapewniłam go.

- Cóż, i tak wolałbym wszystko pani wyjaśnić - nalegał. - Poczuję się znacznie lepiej. Może jutro wieczorem, jeśli moja propozycja nie jest zbyt nagła. Czy mogę panią zaprosić na kolację?

Chciało mi się śmiać. Rzecz jasna, nie miałam żadnych planów, cały czas spędzałam z Nickiem, ale David Fields oczywiście nie mógł tego wiedzieć. W istocie, w ogóle nic o mnie nie wiedział. Ja też go nie znałam. Może był z kimś związany albo nawet żonaty, a obrączki nie dostrzegłam, bo nosił rękawiczki. Byliśmy sobie zupełnie obcy, on zaś łaskawie okazywał mi uprzejmość.

Następnego dnia, punktualnie o siódmej, zjawił się David. Ulżyło mi nieco, gdy ujrzałam, że przyjechał zdezelowanym samochodem, a nie jedną z tych kosztownych limuzyn, których nie brakowało w Stone Point. David nie był zamożny ani zaradczą, pracował jako zwykły nauczyciel, a jego wóz potrzebował naprawy, dzięki czemu poczułam się swobodnie. Na ten wieczór wybrałam należącą do Harper czarną wełnianą suknię z długimi rękawami, która doskonale nadawała się zarówno do czterogwiazdkowej restauracji, jak i zacisznej kafejki, nie byłam bowiem pewna, jaki charakter będzie miała nasza randka. Właściwie nie orientowałam się, czy to w ogóle będzie randka. Zupełnie nie wiedziałam, czego mam oczekiwać, więc na nic się nie nastawiałam.

David Fields wysiadł z samochodu, a zaraz potem stał już przy drzwiach. Ubrany był w tę samą lotniczą kurtkę, którą miał na sobie, kiedy się poznaliśmy, teraz jednak przez rozpięty zamek dostrzegłam, że pod spodem nosi szary golf. Włożył też znane mi rękawiczki z popękanej skóry, a twarz miał poróżwiałą od mrozu.

- Czy jest pani gotowa? - spytał, stając w wyłożonym lśniącoymi, marmurowymi płytkami holu.

Przytaknęłam, narzucając jednocześnie płaszcz. Czułabym się niezręcznie, zapraszając Davida do środka pod nieobecność siostry, jednak przed naszym wyjściem Nick zszedł na dół, by się przywitać. Jak każde dziecko, cieszył się z wizyty nauczyciela w domu. Jeannette obiecała, że zagra z nim w „Detektywa”, gdy skończy pracę w kuchni, więc chłopiec nie będzie się nudził.

Drogę do Scotto, włoskiej restauracji w centrum, w której David zamówił stół, pokonaliśmy właściwie nie odzywając się do siebie. Od czasu do czasu David rzucał jakąś uwagę o stanie dróg lub wspominał, jaki to z Nicka wspaniały chłopak, gdy wyjdzie ze swego pancerza, czy jak wiadomość o śmierci Doe wstrząsnęła społecznością całego miasteczka. Były to jednak grzecznościowe uwagi. Wreszcie zamilkł, włączając kasetę z muzyką klasyczną, reszta jazdy upłynęła nam więc przy dźwiękach skrzypcowego koncertu.

Gdy tylko weszliśmy do Scotto, pomyślałam, że gdyby do mnie należała decyzja, też wybrałabym to miejsce ze względu na bezpretensjonalność, przytulną atmosferę i uroczy wystrój. Harper z pewnością by się tu nie podobało, w jej guście były raczej restauracje, w których na talerzach podawano potrawy starannie ułożone w tak wymyślne kompozycje, że aż żal byłoby jeść te dzieła sztuki. Jednak w Scotto serwowano proste, sycące włoskie dania, takie jak pachnące masłem i czosnkiem domowe spaghetti w głębokich misach. Wszędzie dookoła rozlegał się śmiech, a płonące w całej sali świece przydawały wnętrzu ciepła i uroku. Nic tak dobrze nie robi w mroźną, zimową noc, kiedy śnieg sypie w okna, jak przebywanie w takim miejscu.

Zaprowadzono nas do stolika w końcu sali. Obrus nieco się przetarł w kilku miejscach, ale chleb w koszyku był przepyszny i chrupiący, a czerwone wino, które zamówił David, rozgrzało mi policzki i trochę mnie rozluźniło. Od



lat tak bardzo się nie denerwowałam, zupełnie jakbym przeczuwała, że ten wieczór może mieć dla mnie wielkie znaczenie, że będzie się liczył w moim życiu.

David upił łyk wina, a potem odstawił kieliszek. Dostrzegłam włosy na jego nadgarstku, wijące się pod mankietami koszuli.

- Jeśli chodzi o wczorajszy dzień - rzekł wreszcie cichym, urywanym głosem. - Bardzo mi przykro. Wiem, że nagle zacząłem zachowywać się bardzo dziwnie i pewnie musiała pani pomyśleć... cóż, nie wiem, co pani pomyślała. - Przyjrzał mi się badawczo. - Może sama pani mi powie.

- Uznałam, że stałam się natarczywa - odrzekłam - że wypytuję o zbyt osobiste sprawy.

David skrzywił się lekko.

- Ależ nie - zapewnił. - Nie o to chodzi. Lubię, gdy ludzie są dociekliwi, to dowód, że słuchają. Proszę pamiętać, że jestem nauczycielem. Zachęcam dzieci w mojej klasie, by jak najczęściej zadawały pytania, żeby dręczyły mnie ciągłym „dlaczego?” czy „jak?” - Pokręcił głową. - Kiedy jednak chciała się pani dowiedzieć, czego szukałem lornetką jako chłopiec, a potem zażartowała na temat „tajemniczej damy”, zamknąłem się w swojej skorupie. - Pociągnął kolejny łyk wina, jakby temat rozmowy był dla niego bolesny. - W pewnym sensie - ciągnął - rzeczywiście próbowałem wypatrzyć zagadkową kobietę. Moją matkę.

- Pańską matkę? - spytałam, zaintrygowana. - Jak to?

- Utonęła, gdy miałem sześć lat - wyjaśnił David. - Po prostu zniknęła w nie wyjaśniony sposób, co się często zdarza. Pływaka może złapać skurcz, może go ogarnąć wyczerpanie, może mu się przytrafić wiele innych rzeczy. Idzie się wtedy pod wodę jak kamień.

- Och - westchnęłam cicho.

- Pewnego razu poszła popływać i już nie wróciła. Byłem kompletnie zdruzgotany tym wypadkiem. Nie mogłem się otrząsnąć, miałem nieustanne wrażenie, że się duszę. Z mego ojca został strzęp człowieka, całkiem zamknął się w sobie. Jestem jedynakiem, zostałem więc zupełnie sam. Po śmierci matki spędzałem całe dni, obserwując przez lornetę morze. Miałem chyba nadzieję, że uda mi się ją dostrzec, że to właśnie ja ją odnajdę. Na poszukiwania wyruszyły łodzie ratownicze, krążyły helikoptery, jednak nic nie znalazły - ciągnął, kręcąc głową. - Ona ciągle gdzieś tam jest.

Przez cały czas, gdy snuł swą opowieść, siedziałam jak skamieniała. Spoglądał z takim smutkiem; mogłabym wpatrywać się w jego oczy do rana. Z wysiłkiem odwróciłam wzrok, by nie pomyślał, że się na niego gapię. Głos Davida przepelniony był bezbrzeżnym bólem, jakby wciąż był małym chłopcem, któremu na zawsze odebrano matkę. Przyszła mi do głowy zaskakująca myśl.

- Pańska matka - rzekłam - to olimpijska pływaczka, Maggie Thorpe?

David potwierdził.

- Tak, to ona - odparł. - Zna pani tę historię?

Skinęłam głową.

- Czytałam o niej - wyjaśniłam.

- Po mężu, moim ojcu, nazywała się Fields - rzekł David - ale wszyscy pamiętali ją z czasów olimpijskich sukcesów, kiedy nosiła jeszcze panięskie nazwisko Thorpe, dlatego tak pisano o niej w artykułach i nekrologach.

- Wypadek zdarzył się dawno temu, w latach sześćdziesiątych, prawda? - spytałam.

- W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym - sprecyzował. - W sierpniu.

- Jaka ona była? - dociekałam. - Jeśli to nie nazbyt osobiste pytanie.

- Ależ nie - odrzekł. - Lubię o niej opowiadać, jeśli jestem w odpowiednim nastroju. - Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. - Już dawno stworzyłem sobie jej obraz, usnuty wyłącznie z chłopięcych fantazji - zaczął. - Obraz skończonej doskonałości.

- A nie była taka?

David uśmiechnął się.

- Cóż, nikt nie jest doskonały. Ona jednak zbliżała się do ideału. Była wspaniałą matką, nauczyła mnie pływać, zanim jeszcze zacząłem chodzić. Trzymając mnie w ramionach, wchodziła do morza, czułem omywającą nas wodę, ale nigdy nie zmarłem, bo ona była przy mnie.

Rozmawialiśmy, nie przestając jeść, ale mimo że pamiętam pyszny smak potraw, zupełnie mi umknęło, kiedy zdołałam spałaszować te wszystkie wyśmienite dania. Byłam zbyt pochłonięta słuchaniem Davida, wpatrywałam się w jego usta i oczy, w których odbijały się ciepłe, migotliwe płomyki świec.

- Zniknięcie matki - ciągnął David - miało jeden dobry skutek. Znudziło mi się w końcu wieczne śledzenie powierzchni wody i pewnego dnia skierowałem lornetę na niebo. A tam dostrzegłem... - David zamilkł, wzruszając ramionami, lecz zaraz podjął opowieść. - Dostrzegłem gwiazdy, które stały się moją namiętnością. - Ułamał kawałek chleba. - Czy mówiłem już, że mieszkam w obserwatorium? - zagadnął.

- Pan żartuje? - spytałam, ale potrząsnął przecząco głową.

- Wynajmuję domek w miasteczku - wyjaśnił. - Na Różowych Wrzosiwiskach, dużym osiedlu, którego właściciel, stary Boyd, ma hopla na punkcie astronomii. Dawno temu wybudował sobie w tej okolicy obserwatorium, którym szybko się znudził, więc popadło w ruinę. Gdy się wprowadziłem, Boyd zapłacił mi za wyremontowanie budynku i pozwolił w nim pracować, kiedy

tylko zechcę. Teraz mieszkam tam na parterze, wyżej zamontowany jest teleskop, a nad głową mam gigantyczną kopułę.

Potrząsnęłam głową ze zdumieniem.

- Nawet nie potrafię sobie tego wyobrazić - odrzekłam.

- Och, zobaczy pani - powiedział cicho. - To piękne miejsce. - Przekreślił się na krześle, spoglądając na dłonie. - Cóż, wyjąwszy rozbudzenie miłości do gwiazd - dodał - śmierć matki miała, rzecz jasna, destrukcyjny wpływ na moje życie. Stałem się nieufny wobec ludzi, z góry zakładałem, że mnie opuszczą. Przewidywałem rozstanie, co w rezultacie stawało się samospełniającym proctwem.

- Mówiąc „ludzie” - spytałam - ma pan na myśli kobiety?

Przytaknął nieco zakłopotany, odgarniając dłonią włosy, opadające mu na twarz.

- Właściwie kilka kobiet - wyjaśnił. - Był taki czas, że wiązałem się z jedną po drugiej, nie wiedząc, czego tak naprawdę od nich oczekuję. One chyba też czuły się zagubione. Moje obsesyjne przekonanie, że zostanę porzucony, działało odstrasżająco. - Urwał. - Szczególnie jedna była mi droga - podjął. - Mimo że minęło już parę lat, wciąż zdarza mi się o niej myśleć. - Przyjrzał się zawartości swego talerza, nabijając na widelec makaronową kokardkę. - Świata poza nią nie widziałem - ciągnął. - Ona najwyraźniej też straciła dla mnie głowę. Cały czas spędzaliśmy razem, to było szaleństwo. A potem, nagle... - wzruszył ramionami - zerwała ze mną. Uznała, że nie pasujemy do siebie, ale w rzeczywistości się mną znudziła. Po rozstaniu zaczęła mi się śnić matka, po raz pierwszy od wielu lat. Znów poczułem się porzucony przez wszystkich.

- Miał pan ku temu powód - przyznałam.

Rzucił mi spojrzenie ponad stołem, napotkał mój wzrok, ale żadne z nas nie odwróciło głowy. Obserwowałam jego oczy, usta, okryte swetrem szerokie ramiona, czując, jak przez moje ciało przepływa nagła fala pożądania.

- Dobrze się z tobą rozmawia, Liz - rzekł, nie spuszczając ze mnie wzroku.

- Wydajesz się tym zaskoczony.

- Cóż, w ogóle się nie znamy - odparł. - Gadam i gadam, a ty nie pisnęłaś nawet słówka o sobie.

- Nie szkodzi - odpowiedziałam. - Moje życie nie było szczególnie interesujące.

- Chciałbym je poznać - nalegał. - Ja zwierzałem się podczas przystawki i dania głównego, na ciebie kolej przy kawie i deserze.

Co tu było do opowiadania? Zastanawiałam się. Nikt mnie nie porzucił ani, w przeciwieństwie do Davida, nie spotkało mnie w dzieciństwie żadne tragiczne przejście. Miałam już ponad dwadzieścia lat, gdy zmarli rodzice, więc, mimo że oczywiście opłakiwałam ich odejście, byłam na nie przygotowana. Opowiedziałam Davidowi, jak bardzo ich kochałam oraz że po ich śmierci postanowiłam zamieszkać w rodzinnym domu.

- To dość niezwykle, nie sądzisz? - zapytał. - Prawdziwe przywiązanie do ukochanych, rodzinnych miejsc, których nie ma się ochoty opuścić. Mamy ze sobą wiele wspólnego - obydwójce zostaliśmy w miasteczku, w którym się wychowaliśmy.

Odwróciłam wzrok, gdyż w moim przypadku nie chodziło o sentyment do Longwood Falls, a raczej o lęk przed nieznanym.

- To nieco bardziej skomplikowane - odparłam z zakłopotaniem, a potem opowiedziałam o siostrze, z którą nigdy nie mogłam się równać i chyba nawet nie próbowałam. - Zawsze mnie przytłaczała. Spijała całą śmietankę, a ja w za-

sadzie się na to godziłam. To działało w obie strony. Zresztą myślę, że poszłam po linii najmniejszego oporu, wybierając bezbarwne, nijakie życie, zamiast spróbować czegoś oszałamiającego, niezwykłego, tak jak ona.

- Myślisz, że istnieją tylko dwie drogi? - spytał David. - Nuda albo gwiazdorstwo? Musi być coś jeszcze...

- Na przykład?

- A szczęście? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Nie bardzo wiem, co ono oznacza - odrzekłam ostrożnie. - Mam oczywiście ogólne pojęcie, w czym rzecz, ale jeśli chodzi o prawdziwe, niezmałcone szczęście, to nie mam żadnej praktyki.

- Ja również nie - przyznał.

Zabraliśmy się do deseru, włoskiego kawowego tortu. Jadłam powoli, rozkoszując się zarówno słodko-gorzkim smakiem ciasta, jak i rozmową z mężczyzną, siedzącym po drugiej stronie stołu, który bardzo uważnie słuchał opowieści o moich przeżyciach, chłonąc każde słowo.

Z naszego pierwszego wspólnego wieczoru najbardziej zapadła mi w pamięć intensywność, z jaką patrzyliśmy na siebie, studiując się badawczo. Nie zapomniałam również ani jednego zdania z naszej rozmowy. Gadaliśmy bez końca, jednak nie jak starzy znajomi, a raczej jak ludzie, którzy spotkali się po raz pierwszy i chcą nadrobić stracony czas. Okazało się, że, podobnie jak ja, David nie należy do osób szczególnie wylewnych. Ma, jak powiedział, paru dobrych przyjaciół, ale nawet w ich gronie zachowuje pewną powściągliwość.

Gdy tak gawędziliśmy, czułam się przy nim bardzo swobodnie, mogłam się rozluźnić, ale jednocześnie zważałam na każde słowo. Przypomniało mi się powiedzenie o szklance, która może być w połowie opróżniona lub w połowie pełna. Na ludzkie życie można spojrzeć podobnie: czy połowa już za mną, czy dopiero przede mną? Odkąd poznałam Davida, nie byłam wcale pewna.

- Dokąd zawędrowałaś? - Pytanie Davida wyrwało mnie z rozmyślań o nim i własnym osamotnieniu, uświadamiając mi, że marzyłam na jawie. Nie odpowiedziałam. Wyobraziłam sobie, jak siedzę w senne popołudnie przy drewnianym biurku na wysoki połysk w bibliotece w Longwood Falls. Potem, całkiem niespodziewanie, ujrzałam się w łóżku, w ramionach całującego mnie Davida.

Spojrzałam na siedzącego naprzeciwko mężczyznę. Nietrudno zgadnąć, jak to wszystko się skończy. Przyjechałam do Stone Point wyłącznie po to, by zająć się siostrzeńcem, a gdy tylko Harper dojdzie do siebie, wrócę do Longwood Falls. Pięćset kilometrów stąd stoi mój dom, zimny i ciemny, a w nim wychłodzone łóżko, schludnie przykryte jasnobłękitną narzutą, którą własnoręcznie udziergałam. Moje prawdziwe życie czekało na mnie w rodzinnym miasteczku. Jednak przy stoliku siedział ze mną ciemnooki towarzysz o pięknych, smukłych dłoniach, którego matka zanurkowała wiele lat temu w ciemne morze i nigdy już nie wypłynęła.

Poczułam, jak zalewa mnie nagła fala uczucia do tego mężczyzny, rozgrzewając zaróżowioną twarz, opływając całe ciało. Przez cały czas nerwowo poruszałam też rękami. David z pewnością nie podzielał mojego podniecenia. Uświadomiłam sobie, że tymczasem restauracja prawie całkiem opustoszała, zostali tylko nieliczni goście. Kelnerzy dyskretnie uprząтали stoliki, a posługacze zaczęli myć podłogę. Stara, migocząca światelkami szafa grała senną, nastrojową piosenkę Sinatry sprzed wielu lat.

- Dokąd zawędrowałaś? - spytał David ponownie, gdy zabierano talerze.
- Nigdzie - odparłam. - Jestem właśnie tutaj.

## Rozdział 4

W pierwszym dniu szkoły po feriach wstałam wczesnym rankiem, by dotrzymać Nickowi towarzystwa przy śniadaniu. Chłopiec uważnie studiował napisy na opakowaniu płatków, siedząc samotnie na końcu długiego, owalnego stołu w jadalni, lśniącego jak gładka tafla lodu.

- Pozwolisz? - spytałam, wskazując na krzesło koło niego. Nick skinął głową. - Co czytasz?

Chłopiec wzruszył ramionami.

- Czy można? - Sięgnęłam po pudełko, odwracając je, by obejrzeć obrazki z drugiej strony. Okazało się, że wydrukowano tam barwne rysunkowe zagadki. Cicho przeczytałam jedną z nich i zakrywając odpowiedź, pokazałam Nickowi. - Widziałeś już tę? - zapytałam.

Zjadł kilka łyżek płatków, a po chwili przecząco pokręcił głową.

- No to zgadnij, o co tu chodzi?

Nick położył łyżkę na talerzu, pochylając się do przodu, by uważnie przyjrzeć się rysunkowi. Przedstawiał on coś na kształt literki C, od której odchodziły krótkie poziome kreski, podobne do kolców jeża.

- Poddajesz się? - spytałam.

Spojrzał na mnie.

- Stonoga robiąca przysiady - przeczytałam głośno.

Z początku żadnej reakcji. Potem jednak, powoli, bardzo powoli, wargi Nicka rozchylił uśmiech, jakby, mimo najgorętszych wysiłków, chłopiec nie zdołał go powstrzymać. Pierwszy raz ujrzałam wtedy, że Nick się uśmiecha, dając wyraz prawdziwej radości. Zazwyczaj, czy to podczas zabawy w „Detektywa”, czy jazdy na nartach okazywał jedynie dojrzałe zadowolenie, że zrozu-



miał zawłóści planszowej gry lub zagadek natury, a nigdy spontaniczną, chłopięcą wesołość.

Zacząłam dostrzegać, że Nick do wszystkiego podchodzi ze zdecydowaniem i głębokim skupieniem. Gdy przyglądałam się siedzącemu obok siostrzeńcowi, ubranemu już do szkoły, pomyślałam, że takie zachowanie pasuje do tego chłopca w granatowym blezerku, z odpowiednim krawatem zawiązanym wokół kołnierzyka zapinanej oksfordzkiej koszuli z jasnobłękitnego płótna. Przedziałek na jego wilgotnych włosach był idealnie prosty. Gdyby nie marniał w buzi kolorowych płatków, w ogóle można by zapomnieć, że to tylko dziecko. Wydało mi się zasmucające i osobliwe, że moja nieokiełznana siostra mogła wychować malca, do którego chciałoby się zwracać „proszę pana”. Zacząłam bowiem powątpiewać, czy sztywność siostrzeńca rzeczywiście była skutkiem wypadku Doe. A może zawsze taki był?

- Nick - zagadnęłam - zastanawiałam się, jak jeździsz do szkoły? Autobusem?

Potrząsnął głową.

- Nie, lokaj Tom mnie podwozi.

Wyrzekł te słowa przytłumionym głosem, trzymając głowę zwieszoną, jakby zdawał sobie sprawę, że to mogło zabrzmieć w moich uszach absurdalnie.

- A co powiesz na to, że od dziś ja będę twoim kierowcą? Pojedziemy moim przybrudzonym samochodem, który potrzebuje wymiany oleju.

Podniósł głowę, a sądząc po minie, roztrząsał w duchu, czy to aby nie żart. Wreszcie zapytał:

- Naprawdę? - Przytaknęłam, ale to chyba nie rozwiało jego wątpliwości.

- Chętnie - odrzekłam. - Jeśli tylko chcesz.

Rozważał moją propozycję.

- Musiałabyś wcześniej się budzić - rzekł. - Moja mama mówi, że wstaję do szkoły o „niehumanitarnej” porze.

- Cóż - powiedziałam, czując lekką wyższość nad siostrą - nie przeszkadza mi poranne wstawanie. Nawet się bardzo cieszę.

Po chwili zastanowienia zgodził się wreszcie.

- Niech będzie - powiedział, ale wpierw rozejrzał się, jakbyśmy mieli złamać jakieś niepisane prawo.

Chciałam towarzyszyć Nickowi tego ranka, by jak zawsze dodać mu otuchy, zwłaszcza że spotykał się z kolegami pierwszy raz od wypadku. Nie wypieram się jednak, że miałam również nadzieję ujrzeć Davida, gdy będę podwozić siostrzeńca. Po wieczorze w Scotto umówiliśmy się ponownie, tym razem na kolację w tawernie, gdzie z sufitu zwieszały się rybackie sieci. David nalegał, bym opowiadała o sobie i słuchał moich wynurzeń z uwagą. Potem przyszła jego kolej na zwierzenia, a moja na zadawanie pytań. Tak jak poprzednio, rozmowa toczyła się bardzo naturalnie, bez żadnego wysiłku z naszej strony. Później David odwiózł mnie do domu, a gdy staliśmy na żwirowym podejździe koło „Strzechy”, schylił głowę i lekko musnął ustami mój policzek. Wyraźnie zawahał się, jakby miał zamiar coś powiedzieć, ale po namyśle najwidoczniej zmienił zdanie. Wcisnął ręce do kieszeni, odwrócił się na pięcie i bez słowa pomaszerował do samochodu. Patrzyłam za nim z oszołomieniem, nie mogąc się już doczekać następnego spotkania.

Teraz, kilka dni po naszej randce, gdy minąwszy wysoką, żelazną bramę szkoły Craighead, dojeżdżałam do głównego budynku, nie mogłam się powstrzymać, by nie wypatrywać ponad głowami ganiających się po schodach dzieci. Nie wiem, czego właściwie się spodziewałam, chyba widoku pana Fieldsa, nauczyciela w drugiej klasie, pilnującego frontowego wejścia. Jednak

przy drzwiach rękoma dzieci potrząsał szacowny, srebrnowłosy mężczyzna koło sześćdziesiątki, najpewniej dyrektor. Nagle poczułam na sobie wzrok Nicka.

Czym prędzej przywołałam uśmiech na usta.

- Do zobaczenia o trzeciej - pożegnałam się, ale Nick siedział bez ruchu. Przyglądał mi się ze skupieniem, jak wtedy gdy przy śniadaniu studiował zagadkę na pudełku płatków.

- Dziękuję za podwiezienie, ciociu Liz - odezwał się wreszcie, a potem chwycił ogromniasty plecak z masą doczepionych breloczków i tyle go widziałam.

Nie miałam ochoty wracać do „Strzechy” i siedzieć bez Nicka w tym wielkim domu. W porównaniu z niezliczonymi, pustymi pokojami nawet niezwykle drogie butiki, tak bogato zaopatrzone, że aż wytrącało to człowieka z równowagi, wydawały się zachęcające. Jeden obok drugiego na Horseshoe Lane w Stone Point kusił wyrafinowanymi towarami: europejskimi butami w jaskrawych kolorach czy torbami ze złotym zapięciem. Nie miałam zamiaru nic kupować, o czym z miejsca informowałam sprzedawczynię, ale witały się, zachęcając mnie do buszowania, jakby klientka w lutowy, poniedziałkowy poranek była zjawiskiem równie rzadkim i wyglądanym jak przebiśniegi. Miałam wrażenie, że naprawdę cieszą się na mój widok, a ja z pewnością byłam wdzięczna za ich towarzystwo. Gdy jeszcze przed lunchem zdążyłam obejść całe to ekskluzywne centrum handlowe, zaczęłam się zastanawiać, czym wypełnię następne dni.

Gdy przyszła pora lunchu, wstąpiłam do restauracji „Express”, tuż koło dworca kolejowego, gdzie zamówiłam danie dnia: sałatkę z kurczaka na grzance z pszennego chleba.. Zająłam miejsce przy oknie, toteż mogłam obserwować pociągi kursujące do Nowego Jorku, a stamtąd do Longwood Falls. Jednym z nich pojechała ciotka Leatrice, a niedługo nadejdzie na mnie czas. Nie

miałam ochoty wyjeżdżać ze względu na Davida. Oba wieczory, które spędzi-  
liśmy razem, były cudowne, a w migoczącym blasku świec wszystko wydawa-  
ło się możliwe. Jednak teraz, patrząc na zalane jasnym światłem dnia samo-  
chody, parkujące przed stacją, zastanawiałam się, czy aby się nie oszukuję.

Tuż przed trzecią zajechałam do Craighead, by odebrać Nicka. Wcisnę-  
łam się w sznur pojazdów, oczekujących na długim podjeździe, pomiędzy małe  
szkolne autobusy i kawalkadę dużych, ciemnych sedanów. Niektóre matki wy-  
siadły z aut, by chwilę poplotkować. Te wysokie, zamożnie wyglądające ko-  
biety, z modnie uczesanymi i ufarbowanymi w pasemka włosami przypomina-  
ły mi Harper - a przynajmniej dawną Harper. Były pociągające, fertyczne, peł-  
ne energii i pewności siebie. Gdy obserwowałam te długonogie piękności,  
ubrane w lśniące futra do kostek, musiałam pomyśleć o Davidzie, przystojnym,  
nieżonatym nauczycielu w drugiej klasie.

Wiedziałam, że moja zazdrość jest absurdalna, oparta wyłącznie na za-  
borczości, do której nie dał mi żadnego prawa. Kiedy jednak tak siedziałam na  
przednim fotelu zbyt nagrzanego samochodu, a z radia dobiegały stare przebo-  
je, które pamiętałam jeszcze z liceum, wyobraziłam sobie, że któraś z tych  
znudzonych kobiet wynajmuje sobie Davida, niczym hydraulika czy ogrodni-  
ka, by ten przystojniak uprzyjemnił jej kilka samotnych godzin, dostarczając  
erotycznej rozkoszy, na jaką nie było już stać zbyt zapracowanego męża. Nie  
potrafiłam sobie wyobrazić, by któraś z nich doceniła mężczyznę, jakiego tylko  
mnie dane było odkryć przy kolacji -skromnego, wrażliwego, bogatszego o  
przeżyte cierpienia, uroczego.

Raptem ujrzałam go, gdy energiczne pukanie w okno pasażera wyrwało  
mnie z rozmyślań.

- Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć - rzekł, gdy otworzyłam okno. - Machałem do ciebie z frontowych schodów, ale byłaś zbyt zamyślona, by mnie zauważyć.

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem? - spytałam.

- Nick mi powiedział - wyjaśnił David. - Zaraz tu będzie, ale chciałem porozmawiać z tobą na osobności.

- Coś mu się stało? - Gwałtowne mdłości przypomniały mi, że jestem w Stone Point przede wszystkim po to, by opiekować się Nickiem, zastąpić mu matkę. Czy pierwszego dnia w szkole spotkały go jakieś przykrości?

- Nie, nie - odparł David. - Z Nickiem wszystko dobrze. - Zawahał się, ale zaraz dodał: - Chyba nawet lepiej niż dobrze.

Z każdym oddechem z ust Davida wydobywały się kłęby pary, dostrzegłam, że jest bez płaszcza, a jedyne, co chroni go od zimna, to zgodna z wymogami Craighead błękitna koszula z podwiniętymi prawie do łokci rękawami i luźno zawiązany krawat.

- Wielki Boże! - wykrzyknęłam. - Zamarzniesz! Wskakuj do samochodu. Potrząsnął przecząco głową.

- Nawykłem do zimna - odparł - przez te wszystkie noce w obserwatorium, mówiłem ci. Posłuchaj. - Rzuciwszy okiem w stronę grupy kobiet, którym się wcześniej przyglądałam, pochylił się bliżej do otwartego okna. - Bardzo lubię twoje towarzystwo - rzekł przyciszonym głosem.

- Ja twoje też - zapewniłam.

- Nasze spotkania i rozmowy wiele dla mnie znaczą - wyznał.

- Czuję to samo - powiedziałam, zerkając na znudzone elegantki, które, ku mojemu zdumieniu, lustrowały nas. Co sobie pomyślą, widząc, jak nauczyciel chłopca, któremu niedawno umarła siostra, rozmawia poufale z kobietą bardzo podobną do matki ucznia?

- Masz jakieś plany na piątkowy wieczór? - zapytał David. - Może miałybyś ochotę wpaść do mnie, do domku na Różowych Wrzosowiskach? Koło ósmej? Przygotuję kolację, a poza tym mogłabyś zobaczyć obserwatorium. Jeśli byś chciała, oczywiście.

- Owszem - odrzekłam cichutko.

- Świetnie - ucieszył się. Nagle dostrzegłam, że jedna z kobiet odłącza się od grupki i zmierza w naszą stronę. Na szczęście David zaczął głośno rozprawać: - Myślę, że dobrze sobie radzi. To świetny dzieciak, będziemy na niego uważać. Nie ma pani powodów do niepokoju. - Następnie odwrócił się gwałtownie i dziarsko pomaszzerował z powrotem do szkoły, a krawat na ramieniu powiewał mu jak skrzydło.

Reszta tygodnia minęła, zanim zdążyłam się obejrzeć. Nie miałam kłopotów ze znalezieniem sobie zajęcia. Odwoziłam Nicka do szkoły, kilka razy odwiedziłam butik na Horseshoe Lane, aż wreszcie zdecydowałam się kupić kosztowną bluzkę, specjalnie na piątkową kolację, a później przespacerowałam się ulicą, by dobrać odpowiednie buty i torebkę. Pozwoliłam sobie na tę rozrzutność, gdyż chciałam wyglądać jak najpiękniej dla Davida.

Odwiedziłam także miejską bibliotekę w Stone Point, mieszczącą się w wielkim, okazałym gmachu, zewsząd otoczonym wodą. Przedstawiłam się starszawemu kierownikowi tej szacownej instytucji, który podrzucił mi parę wskazówek, jak rozwiązywać problemy z katalogowaniem. Przydadzą się, gdy wrócę do Longwood Falls. Kilkakrotnie zatrzymywałam się nawet w domu Harper, by, pomimo protestów Jeannette, nie przyzwyczajonej, że ktoś kręci się w jej kuchni, przygotować sobie naprędce wczesny obiad.

Jednak cały tydzień upłynął pod znakiem piątkowego spotkania. Jeśli potoczyłoby się, jak sobie zamarzyłam, to byłby to przełomowy moment w moim życiu, jeden z tych, które rozpoczynają zupełnie nowy etap.

Ta nadzieja kładłaby się cieniem na każdym wydarzeniu, ale nie byłam już małą dziewczynką, która wierzy, że będzie żyć wiecznie i że wszystko ma jeszcze przed sobą. Żywot ludzki jest krótki. Może nie zawsze koniec przychodzi nieoczekiwanie, jak w przypadku matki Davida, czy równie przedwcześnie jak się zdarzyło Doe. Jednak nawet najszczęśliwsi nie mogą sobie pozwolić na roztrwonienie danego im czasu. Miałam już trzydzieści sześć lat - wystarczająco dużo, by życie mnie sterało, a jednocześnie nie dość, by porzucić wszelką nadzieję. Dostałam szansę na miłość, być może ostatnią, która czekała na mnie w obserwatorium tego mroźnego wieczoru. Żadne z nas nie mówiło o tym otwarcie, ale oczekiwaliśmy odpowiedzi, zanim nasz czas się skończy, zanim wraz z przybyciem Harper do „Strzechy” zegar wybije dwunastą, na powrót zmieniając moją balową suknię w łachmany.

W piątkowy rano poinformowałam Jeannette, że zjem kolację poza domem. Wieczorem włożyłam kreację, którą kompletowałam cały tydzień, ale gdy przeglądałam się w dużym lustrze, stojącym w rogu mego pokoju, uznałam, że czegoś tu brak.

Po chwili pojęłam, co mogłoby dopełnić stroju. Pobiegłam do garderoby w pokoju siostry, którą odwiedzałam już kilka razy podczas ostatnich tygodni. Ogarnęłam wzrokiem kolekcję jedwabnych szali Harper, z których każdy majtał się na odrębnym wieszaczku. Wybrałam złotą szarfę, którą prędko zawiązałam, wtykając jeden koniec we włosy, drugi zaś pozostawiając luźny. Okręciłam się przed identycznym jak w mojej sypialni zwierciadłem w rogu pokoju, mierząc uważnie odbijającą się w nim bliźniaczkę. Zerknęła z lustra, przypominając prawdę, którą znałam od zawsze: nie sposób pomylić mnie z Harper. Spróbowałam spojrzeć na siebie bez porównań, ujrzeć się oczami Davida. Gotowa czy nie, zawahałam się, ale zaraz poprawiłam: Gotowa.

Domek Davida stał w dzielnicy oddalonej o jakieś osiem kilometrów od posiadłości Harper. Za dużą rezydencją z czerwonego kamienia stało jeszcze kilka innych budynków, lecz nietrudno było zgadnąć, który z nich należał do Davida - wyróżniał go charakterystyczny okrągły dach.

Gdy po wyjściu z samochodu dotarłam do drzwi wejściowych, dostrzegłam przez kuchenne okno, że David ze zmarszczonymi z wysiłku brwiami sieka coś zawzięcie na deseczce do krojenia, a jego ramiona poruszają się w rytm uderzeń. Wbrew rozsądkowi, przystanąłam, by jeszcze przez chwilę sekretnie go poobserwować, a może po prostu, by przedłużyć moment oczekiwania, zanim przekroczę próg. Wreszcie zapukałam.

Wkrótce w otwartych drzwiach stanął David, trzymając za szyjkę butelkę czerwonego wina w jednej ręce, a wojskowy nóż z otwartym korkociągiem w drugiej. Wyszedł przed dom na żwirową alejkę, by leciutko ucałować mnie w policzek, a potem zadarł głowę do góry.

Powędrowałam wzrokiem za jego spojrzeniem. Na bezchmurnym niebie świeciło mnóstwo gwiazd.

- Powinno być świetnie - stwierdził David. - Zobaczymy. - Wskazał gestem, bym pierwsza weszła do środka.

Domek okazał się jednym dużym, okrągłym pokojem, podzielonym na dwa segmenty. Kuchnia, do której zajrzałam już przez okno, zajmowała połowę przedniej części mieszkania, a w drugiej dostrzegłam mały drewniany stół, ustawiony przed niską, beżową kanapą. Ściany udekorowano przepięknymi fotografiami krajobrazów, na podłodze leżał wschodni kobierzec w wymyślne wzory. To przytulne, pięknie urządzone mieszkanie było naprawdę niezwykle, przywodząc na myśl ukrytą przed światem pustelnię.

- Tu jest cudownie - powiedziałam ze szczerym zachwytem, co wyraźnie ucieszyło Davida.



W środku pokoju dojrzałam długą konstrukcję, jakiej nigdy wcześniej nie widziałam. Gapiłam się przez chwilę na wysoką kolumnę z gołego betonu, która biegła od sufitu do podłogi, naśladując wygięcie zewnętrznej ściany budynku, nie mogłam jednak zgadnąć, do czego służy.

- Zauważyłaś - skomentował David.

- Cóż, trudno byłoby czegoś takiego nie dostrzec - odrzekłam, podchodząc, by się lepiej przyjrzeć dziwacznej strukturze, podobnej do muru, ułożonej z cementowych bloków. Obchodziłam ją powoli, a David, krocząc za mną, wyjaśnił:

- To jest podstawa teleskopu.

Zdażyłam tymczasem przejść na koniec pokoju, gdzie moją uwagę przyciągnęło łóżko, gładko zasłane meksykańską narzutą, które stało tuż obok biurka, zarzuconego masą papierów.

- Wbita w podłogę na głębokość jakichś około trzech metrów - ciągnął David - dosięga do samych skał.

- Imponujące - odrzekłam.

- Teleskopy są bardzo czułe na wstrząsy - tłumaczył - zwłaszcza takie duże. Wykrywają najlżejsze wibracje. - Podeszedł bliżej. - Pociąg, jadący kilkaset metrów stąd, przyjazd twojego samochodu, kroki. - Uderzył w beton rozpostartą dłoń, wywołując głuchy, zduszony dźwięk. - Jednak temu nic nie zaszkodzi.

- Przypomina to trochę mieszkanie w latarni - stwierdziłam, przesuwając ręką po zwirowatej, chłodnej powierzchni cementu.

- Bardziej, niż można by się spodziewać - odrzekł, podnosząc butelkę. - Wina? - zaproponował. Przytaknęłam, chwycił więc korkociąg umieszczony w wojskowym nożu, umocował go i począł obracać. - Nie chodzi tylko o to - zaczął tłumaczyć - że domek jest okrągły, ale także o atmosferę tego miejsca, o

to, czemu ono służy. W latarni czuję się jak na krańcu ziemi, śledząc wszechobecne morze. Na górze, w obserwatorium, jest tak samo, tyle że ocean, który badasz, stanowi cały kosmos. Nieskończony wszechświat. Masz tu wszystko, a ty znikasz. To chyba dziwnie zabrzmiało - dodał z nagłym zakłopotaniem i utkwiał wzrok w butelce.

- Wcale nie - zaprzeczyłam.

Mimo to zachnął się, wyciągając korek. Wprawnie nalał wina do dwóch kieliszków, które wyjął z barku.

- Widzisz, tam, przy teleskopie - ciągnął - można zapomnieć o codzienności. - Podał mi wino, biorąc sobie drugi kieliszek. - Masz wrażenie, że jesteś całkiem sam. Tylko ty. Ty wobec... nieznanego.

Podniosłam kieliszek.

- Zatem za „nieznane” - powiedziałam.

Gdy stuknęliśmy się lekko, zauważyłam, że przygląda mi się bacznie.

- Masz bardzo ładny szal - pochwalił. Ujął delikatnie koniec otaczający mi szyję. Wszystko się zgadzało. Z całego skompletowanego przeze mnie stroju na jego uwagę zasługiwała tylko rzecz należąca do Harper. Ubranie, które wybrałam w potwornie drogich butikach w Stone Point, nie było dość ładne, wystarczyło jednak, że pod wpływem impulsu dodałam do niego drobiazg należący do siostry, a kreacja zmieniła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Cóż, to szal Harper miał magiczną siłę, ale mógł nic nie zdziałać. Niewinny komplement Davida zdołałby mi zepsuć wieczór, zatruć niechęcią do Harper, która znów przypomniała mi, kim dla mnie zawsze była i taką już miała pozostać.

Jednak gdy David uniósł skraj szala, głaszcząc skórę mojej szyi, poczułam niemal magnetyczne przyciąganie. Nie obchodziło mnie, że spodobała mu

się akurat rzecz należąca do siostry, z uśmiechem przyjąłem pochwałę, rozkoszując się jego podziwem. Stałem nieruchomo, powstrzymując oddech, gdy palce Davida bawiły się złotym jedwabiem. Wreszcie puścił szal, spojrzeliśmy sobie w oczy, ale czar uleciał.

- Kiedy będziemy je oglądać? - zapytałam nerwowo, żeby przerwać ciszę.

- To znaczy, gwiazdy.

- Kiedy tylko zechcesz - odrzekł cicho. - Możemy pójść na górę.

Ostatnie zdanie zabrzmiało pytająco, więc niepewnie skinęłam głową.

David odstawił mój kieliszek na barek. Spojrzałam z wahaniem na kolację, którą przygotowywał: drewnianą misę pełną podartych listków zielonej sałaty w oliwie, talerz posiekanych kawałków piersi kurczaka, cienkie talarki cebuli, którą kroił, gdy podglądałam go przez okno.

- Proszę - odezwał się David. - Przyda ci się.

Gdy odwróciłam się ku niemu, podał mi płaszcz, pomagając go założyć.

- A ty? - spytałam.

- To mi wystarczy - odrzekł, wskazując na miękki, granatowy sweter z golfem.

Potem uczynił gest, na który nigdy nie pozwolił sobie żaden ze znanych mi mężczyzn - podał mi ramię, łagodząc ten niespotykane formalny gest serdecznym uśmiechem, dzięki któremu stanowił osobliwe, ale niezbędne otwarcie całego pokazu. Ujęłam je.

- Tędy - rzekł, prowadząc mnie wzdłuż krętego muru, aż dotarliśmy do drzwi z tyłu domku, których wcześniej nie zauważyłam. Po kilku słowach ostrzeżenia powiodł mnie po żelaznych, kręconych schodach w nieprzenikniętą ciemność. Gdy dotarliśmy na górę, David uprzedził, że oczy muszą mi się przyzwyczaić, zanim cokolwiek zobaczę.

Powoli z mroku wynurzał się nieokreślony kształt, który okazał się zarysem teleskopu na tle nocnego nieba. Po chwili dostrzegłam także kontur otworu w dachu kopuły, kiedy David chwycił mnie za rękę.

- Tutaj - wskazał - uważaj na schodki. - Poprowadził mnie kilka kroków, a potem jeden stopień do góry. Puścił moją dłoń, obracając mnie za ramiona, tak że stanęłam twarzą do niego. - Tutaj - powtórzył, sięgając gdzieś za moje plecy.

Obróciłam się. W niemal całkowitej czerni ledwo ledwie majaczył smolisty cień, który przybrał wreszcie formę siedzenia czy raczej dwóch siedzeń, jak na podwójnej ogrodowej huśtawce.

- Oto stanowisko obserwacyjne - wyjaśnił David. Usiadłam na wyścielonym, zaskakująco wygodnym fotelu, a David usadowił się obok. - Gotowa? - zapytał.

- Owszem - potwierdziłam, mimo że wcale nie byłam o tym przekonana.

Wówczas David pochylił się, chwytając jakieś tajemnicze, okrągłe urządzenie, umocowane pomiędzy nami. Gdy zaczął nim kręcić, domyśliłam się, że musi to być coś w rodzaju kierownicy. Po kilku obrotach w lewo, ku mojemu zupełnemu zaskoczeniu, unieśliśmy się w górę.

Nie mogłam powstrzymać lekkiego okrzyku przerażenia.

- Przepraszam - wyszeptałam, zakrywając dłonią usta.

- Nie ma za co. Wyrzuc to z siebie. Właściwie czemu nie? - odparł David.

Siedzenia umieszczone były na jakimś dźwigu, który przy przekręcaniu korby przesuwiał nas po przekładniach jednocześnie w bok i do góry. Nagle wszystko to, z czym miałam dzisiaj do czynienia - okrągły domek na dole, obserwatorium na górze i cała ta jazda - wydały mi się tak absurdalne, że z największym trudem pohamowałam wybuch śmiechu.

- To dokładna replika obserwatorium w Hannardzie, tylko trochę mniejsza - wyjaśniał David. - Oryginał pochodzi z lat czterdziestych osiemnastego wieku. Kiedy stary Boyd wpadł na pomysł ustawienia teleskopu, postanowił, że zbuduje urządzenie podobne do tego, jakie pamiętał ze szkoły. Cóż, jeśli wystarczało ono w Harvardzie... - Jego głos ucichł. Puścił koło, zwracając się w moją stronę. - Może chciałabyś poprowadzić? - zagadnął.

A więc „przejęłam ster”, obracając koło w lewo, aż na szczycie zatrzymał nas nagły wstrząs. Znowu nie mogłam powstrzymać okrzyku przerażenia, więc jeszcze raz się pokajałam. David ponownie zapewnił mnie, że nie mam powodu przepraszać, co sprawiło, iż oboje głośno się roześmieliśmy. Oddałam więc koło Davidowi, który poruszając nim w prawo, przechylił nas do przodu, a potem opuścił w dół.

Gdy obniżyliśmy się do połowy wysokości, David zatrzymał korbę.

- Teraz będzie najlepsze - obiecał, sięgając w ciemności po dolną część teleskopu. Wyprostował się, pochylił lekko do przodu, by spojrzeć przez okular. - Ustawiłem go wcześniej, ale zaraz... - Znowu pokręcił w prawo, jeszcze obniżając siedzenie, ale przez cały czas nie odrywał oka od obiektywu. - Przyszliśmy wcześniej, niż przewidywałem. Sądziłem, że najpierw zjemy, więc to, czego szukam, jest troszkę za wysoko na niebie. - Przestał obracać korbą. - Tutaj. Jest tutaj - rzekł, odsuwając okular. - Musisz to zobaczyć - zachęcił - ale niczego nie dotykaj, bo zepsujesz - instruował. - Pochyl się delikatnie tutaj, o tak...

Robiłam wszystko, co mi kazał. Najpierw wdrapałam się po krętych schodach do tego mrocznego pokoju, pozwalając, by David prowadził mnie za rękę, a teraz pochylałam się do teleskopu... Tak jakby obiecał dziecku niespodziankę - najpierw polecił zamknąć oczy, a potem nagle je otworzyć.

- Widzisz? - spytał z ledwo skrywanym podnieceniem.

- Ach! - To jedyne, co mogłam z siebie wykrztusić.

Patrzyłam na Saturna, tę samą planetę, którą oglądaliśmy razem w dzień, kiedy się poznaliśmy. Jednak teraz, przez ogromny teleskop, w znacznie silniejszym powiększeniu, zdawała się tętnić życiem: złotoszary pył wirował na powierzchni, srebrne pierścienie migotały, jakby jakiś czarodziej zawiesił to cudo w ciemnościach.

- Zachwycający widok - odezwałam się.

- Chciałem, byś to zobaczyła - wyszeptał David - żebyś wiedziała, co straciłaś ostatnim razem.

Odwróciłam się od obiektywu. Nasze głowy były tuż koło siebie. Wzrok przywykł do ciemności, mogłam więc popatrzeć mu prosto w twarz. Czy w moich oczach odbijało się równie gorące pożądanie, jakie dostrzegłam w jego spojrzeniu? Uniosłam głowę, przymykając powieki, a ostatnią rzeczą, jaką ujrzałam, była ciemna sylwetka Davida, kiedy pochylał się nade mną, przysłaniając niebo, zaćmiewając firmament.

Wsunął ręce pod mój płaszcz, jakby chciał je ogrzać. Delikatnie pieścił moje ramiona, obojczyki, piersi. Ściągnęłam mu sweter, by móc głaskać go po torsie, poczuć mocne sploty mięśni. Zapragnęłam, żeby ta chwila nie miała końca, by czas się dla nas zatrzymał. Trwalibyśmy w nieskończoność na tych miękkich, ruchomych siedzeniach pod samymi gwiazdami. Przesunęłam się, przyciągając go bliżej. Poprawiłam się, a David znalazł się dokładnie nade mną. Przejechał dłońmi w dół po mojej spódnicy, potem zaczął przesuwać je wyżej. Objęłam jego ramiona, czując, jak poruszają się rytmicznie.

David zupełnie się zatracił. Pierwszy i jedyny raz w życiu miałam wrażenie, że kochanek skupiony jest tylko na mnie. To niezwykle uczucie nie połączyło mnie dotąd z żadnym innym mężczyzną i wątpię, czy jeszcze przy którymś je odczuję. Takie chwile zdarzają się rzadko, o czym David wiedział

równie dobrze jak ja. Są jak kometa, którą widzi się tylko raz w życiu, toteż trzeba dobrze wiedzieć, gdzie obrócić wzrok i w którym momencie jej wypatrywać.

Później leżeliśmy w milczeniu na stanowisku obserwacyjnym starego Boyda i tylko nasze uspokajające się oddechy przerywały ciszę. David opierał mi brodę na ramieniu, ale poczułam, jak podnosi głowę, wpatrując się we mnie w ciemnościach.

- Już - powiedział - możesz otworzyć oczy.

## *Rozdział 5*

Obydwoje niemal umieraliśmy ze strachu, ale czy mogło być inaczej? Nasza miłość przyszła tak nagle, była tak doskonała, że w gruncie rzeczy nie mieliśmy czasu, by zebrać myśli.

Po tym pierwszym zbliżeniu w obserwatorium na chwiejnych nogach zeszliśmy po krętych, żelaznych stopniach. Usiadłam w fotelu ubrana w za duży flanelowy szlafrok Davida, przyglądając się, jak przyprawia kurczaka, kręci musztardowy sos do sałaty, który zaczął szykować, gdy weszłam. Po kolacji poszliśmy do łóżka. Tym razem oddawaliśmy się sobie powoli. Pieszcząc się leniwie pod meksykańskim kocem w jaskrawe wzory, poznawaliśmy swój zapach i smak, ucząc się, jak wzbudzić pożądanie, sprawić sobie rozkosz.

Później leżeliśmy, rozmawiając cicho. Nagle David stwierdził, że powinniśmy jakoś nazwać jego domek.

- To nie w porządku - powiedział. - Wszystkie domy, prócz mojego, mają nazwy.

Ochrzciliśmy go zatem przekornie „Gwiazdny Pył”, beztrąsko chichocząc z tego pomysłu. Potem na przemian spaliśmy i budziliśmy się, leżąc obok siebie w milczeniu.

Przez okno widać było zimowe, rozgwieżdżone niebo. Jak wcześniej trafnie zauważył David, tutaj bez trudu można zapomnieć o całym świecie, zatracić się w sobie. Miał wówczas na myśli obserwatorium na piętrze, ale uwaga ta mogłaby odnosić się również do parteru. A może to tylko złudzenie, któremu ulegają kochankowie? Poza sobą nie widzą świata; istnieje dla nich tylko ty i ja czy raczej my.

- Rozumiem, co masz na myśli - powiedziałam - mówiąc, że jesteśmy na krańcu świata.

David leżał z ręką odrzuconą za głowę, odkrywając kępkę włosów porastającą pachę.

- Nie na krańcu świata, Liz - poprawił - na krańcu ziemi. Rysowałam palcem wzory na piersi Davida.

- Przecież wiesz, o co mi chodzi.

Długo nie odpowiadał, a gdy wreszcie odezwał się, nie patrzył w moją stronę.

- Może jednak miałaś rację - przyznał. - Człowiek tak się czuje, kiedy kogoś naprawdę kocha i nic z tego nie wychodzi.

- Niewiele wiem na ten temat - odparłam cicho. Przypomniał mi się związek z Jeffem, choć były to dawne dzieje. Zerwaliśmy ze sobą, a on wyjechał, lecz żadne z nas nie musiało leczyć złamanego serca. Nigdy nie cierpiałam przez nieszczęśliwą miłość, gdyż nie pozwoliłam nikomu zanadto zbliżyć się do siebie.

Wreszcie David odwrócił się do mnie, mówiąc:



- Mam nadzieję, że nigdy się nie dowiesz. - Potem nie rozmawialiśmy już na ten temat.

Do „Strzechy” wróciłam późną nocą. Zajrzałam do pokoju Nicka i przekonałam się, że śpi jak zabity, z otwartą buzią i zarumienionymi policzkami. Impulsywnie podeszłam do łóżka, by ucałować go w czoło, a w moim sercu wzbierała czułość dla tego chłopca, który po nocy, jaką spędziłam z Davidem, stał mi się jeszcze droższy. Zupełnie jakby miłość lub chociaż jej przedsmak wyzwał nowe pokłady uczuć. Kochałam i Davida, i Nicka. Przepęniało mnie tkliwe wzruszenie, żałowałam, że nie wolno mi zwierzyć się siostrzeńcowi: „Zadurzyłam się w twoim nauczycielu”. Jednak nasz związek był jeszcze zbyt świeży, by poddawać go takiej próbie czy w ogóle o nim mówić. Zachowam naszą tajemnicę dla siebie.

Cały ranek spędziłam z siostrzeńcem na grach i składaniu modelu samolotu z okresu drugiej wojny światowej, aż palce lepiły mi się od kleju. Później miał wpaść w odwiedziny Zachary, kolega Nicka ze szkoły. Dobrze, że Nick pobawi się trochę z rówieśnikiem, przy którym być może będzie bardziej rozmowny. Na razie jednak siedzieliśmy w milczeniu, ale mimo że z całych sił starałam się skupić na sklejeniu delikatnych skrzydeł małego myśliwca, bezwiednie rozmyślałam o wczorajszej randce z Davidem. Wszystko między nami potoczyło się tak szybko, gdyż nie mieliśmy czasu do stracenia. W innych warunkach moglibyśmy zaprzyjaźniać się powoli, poznawać przez tygodnie, miesiące, a nawet lata, by mieć pewność, że do siebie pasujemy. Jednak teraz nie mogliśmy sobie pozwolić na zwłokę, gdyż wkrótce moja siostra miała przyjechać do domu, a ja powrócić do Longwood Falls.

W towarzystwie Davida moje dotychczasowe doświadczenia okazywały się nieprzydatne. Dlatego też, kiedy podczas kolejnego spotkania leżeliśmy razem w łóżku, a David uniósł się na łokciu, mówiąc: „Posłuchaj, Liz, musimy o

czymś porozmawiać", zamarłam z przerażenia. No tak, pomyślałam ze ściśniętym żołądkiem, zaraz to usłyszę. Jesteśmy kochankami dopiero od kilku dni, a we wczesnej fazie związku takie słowa mogą oznaczać tylko jedno: nic z tego nie będzie. Poczułam, że mój świat rozpada się na kawałki.

Jednak David powiedział:

- Pod koniec przyszłego tygodnia jadę do obserwatorium na Hawajach. Planowałem tę podróż od dawna, lecz zawsze brakowało mi czasu. Władze szkolne udzieliły mi kilka dni zwolnienia, mam trochę oszczędności, a biuro turystyczne przygotowało świetną ofertę. Cóż, to z pewnością nie jest idealny moment, ale bardzo mi na tym zależy.

- To wspaniale - usłyszałam własne słowa, nie bardzo wiedząc, do czego zmierza.

- Tamtejsze teleskopy są o niebo lepsze od mojego - ciągnął. - To najwyższa klasa, jedne z największych na świecie. Prócz tego nazbierałem punktów na bezpłatny przelot. Pomyślałem, że może chciałabyś wybrać się ze mną. To byłaby okazja, żeby gdzieś razem wyskoczyć.

Odetchnęłam z widoczną ulgą.

- O co chodzi? - spytał David.

- Nic, nic - odrzekłam. - Sądziłam, że zaraz mi zakomunikujesz, że nie chcesz się ze mną spotykać.

- Ależ skąd! - zaprzeczył stanowczo. - Wręcz przeciwnie. Moglibyśmy wyrwać się tylko we dwoje, naprawdę sami.

- Tak - odpowiedziałam po chwili.

- Co tak?

- Pojadę z tobą, ale pod warunkiem, że Harper się zgodzi. Co prawda, Jeannette może się zająć Nickiem, będzie więc pod dobrą opieką, a poza tym to tylko na parę dni, ale muszę porozumieć się z siostrą.

David opadł na poduszkę, uśmiechając się z leniwym zadowoleniem.

- Mam nadzieję, że nie będzie robić trudności - odparł. Potem odwrócił się do mnie, szepcząc: - Kocham cię, Liz.

Poczekalam, chcąc porozkoszować się jeszcze przez chwilę tymi słowami, jakby były namacalne, rzeczywiste.

- Ja też cię kocham - powiedziałam cicho ochrypłym głosem.

- Boisz się? - zapytał.

Przytaknęłam.

- A ty?

- Tak - odrzekł. - Nawet bardzo.

Prawie się nie znaliśmy, spędziliśmy razem tylko dwie noce, a jednak wydawało się, że wiele nas łączy. Obydwoje ponad wszystko w świecie pragnęliśmy wyjechać w daleką podróż, gdzie skupilibyśmy się na sobie w o wiele większym stopniu, niż to było możliwe w Stone Point czy nawet w azylu domku Davida, „Gwiezdnym Pyle”. Chcieliśmy na kilka dni zapomnieć o Nicku, o Harper, szkole Craighead i miejskiej bibliotece w Longwood Falls. Zapomnieć o całym bożym świecie.

Cokolwiek miała przynieść nasza wyprawa na Hawaje, pierwszy raz będziemy tam występować jako para, i to nie tylko przez kilka wspólnych godzin skradzionych każdej nocy, a otwarcie i przed całym światem. Razem wyruszymy, będziemy występować zawsze we dwoje, a jeśli podróż się uda, również razem powrócimy. Później przyjdzie czas na refleksję nad przyszłością naszego związku.

Gdy następnego dnia zadzwoniłam do Harper pod nieobecność Nicka, prosząc ją o zgodę, oczekiwałam zdziwienia na wiadomość, że się z kimś związałam, a może nawet lekkiego zdumienia, że tym kimś jest pan Fields, nauczyciel jej syna. Liczyłam, że będzie mi życzyć jak najlepiej. Zamiast tego

usłyszałam w słuchawce ciężkie milczenie, wynikające ze skrepowania, wyczuwalnego nawet przez telefon. Dostrzegłam swoją niedelikatność. Nieszczęsna Harper, przybita bólem, zмага się z każdym kolejnym dniem, a ja oświadczam jej, że wybieram się z kochankiem na Hawaje.

- To wspaniale, Liz - usłyszałam wreszcie jej łagodny głos. - Ależ oczywiście, jedź.

- Naprawdę? Nie sądzisz, że to trochę dziwne?

- Dlaczego? - spytała po dłuższym milczeniu.

- Cóż, bo to nauczyciel Nicka - wyjaśniłam. Znow zapadła cisza.

- Życzę ci jak najlepiej, Liz, wierz mi - rzekła po chwili.

Wieczorem, gdy graliśmy w „Detektywa” na dywanie w bawialni, powiedziała Nickowi o planach wyjazdu na kilka dni. Nie spojrzał na mnie ani razu, tylko bawił się nerwowo małutkimi pistolecikami. Wziął miniaturową łożowaną fajeczkę, wbijając ją w planszę.

- Pojadę na Hawaje - ciągnęłam - z panem Fieldsem.

Nick podniósł głowę.

- Moim nauczycielem? - spytał, jakbyśmy znali jeszcze jakiegoś innego pana Fieldsa.

- Owszem. Wiesz przecież, że ostatnio często się z nim spotykam.

- Mogę jechać z wami? - spytał.

- Niestety nie - odrzekłam.

Chłopiec odwrócił się raptownie, bez słowa ciskając zabawką o ziemię. Gwałtowność jego reakcji zupełnie mnie zaskoczyła, przez chwilę nie wiedziałam, jak się zachować. Odkąd zamieszkałam w tym domu, siostrzeniec odnosił się do mnie z ostrożną sympatią, ale teraz uświadomiłam sobie, że ukrywał prawdziwe uczucia, przez co umknęło mi to, co najważniejsze.

- No dobrze, w takim razie nie pojedę na Hawaje - oświadczyłam. - Przepraszam, Nick. Nie wiedziałam, że moja kilkudniowa nieobecność tak by cię zasmuciła. Masz rację. W żadnym razie...

- Nie, nie chodzi o Hawaje - powiedział piskliwym głosem, odwrócony do mnie tyłem. Zgarbił się i chowając szyję w ramiona, walczył z napływającymi łzami.

- W porządku - odezwałam się. - O co zatem chodzi?

- Niedługo wyjedziesz na dobre, prawda? - spytał.

- Pytasz, czy wrócę do Longwood Falls? - Skinął głową. - No cóż, chyba tak, kiedy tylko twoja mama poczuje się na tyle dobrze, żeby przyjechać do domu - wyjaśniłam.

Chciałam położyć mu dłoń na ramieniu, ale wzdrygnął się, czując mój dotyk.

- Posłuchaj, Nick - nie zamierzałam się poddawać - wszystko się skomplikowało. Od początku mówiłam ci, że wyjadę, gdy twoja mama wróci. Mam swoje życie w Longwood Falls - przyjaciół, pracę, ciocię Leatrice. - Głośno odetchnął, a łopatki zaczęły mu drżeć z powstrzymanego płaczu. - Och, Nick - ciągnęłam, ale gdy znów spróbowałam go dotknąć, odepchnął mnie, wstając gwałtownie. - Nick, posłuchaj mnie.

- Nie! - krzyknął, zatykając uszy palcami.

Wstałam i zaczęłam chodzić dookoła niego, a gdy ponownie się odwrócił, przytrzymałam go za ramiona, klękając, by spojrzeć mu w oczy. Jednak siostrzeniec patrzył na mnie niewidzącym wzrokiem, jakby mnie tu nie było, jakbym odeszła - jeszcze jedna zjawka z przeszłości, od których roiło się w jego krótkim życiu.

- No dobrze, nie chcesz, to nie słuchaj - rzuciłam - ale i tak ci powiem, bo powinienes to wiedzieć. Kiedy wrócę do Longwood Falls, będziemy często

rozmawiać przez telefon, przyślę ci też listę książek, które na pewno ci się spodobaą, i będę cię często odwiedzać. A może nawet przyjedziesz do mnie, do domu dziadków, gdzie mama i ja się wychowywałyśmy. Obiecuję ci, że zawsze będziemy przyjaciółmi, cokolwiek się zdarzy. Masz na to moje słowo.

Zrobił dziwną minę - jakby się poddał losowi - a w jego oczach pojawiły się łzy. Ręce opadły mu bezwładnie, po czym oparł się ciężko na mnie i kiwając głową, wtulił mi w ramię mokrą od płaczu buzię. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby Nick płakał. Kilka dni temu pierwszy raz ujrzałam jego uśmiech, a teraz pierwsze łzy, ale nie byłam pewna, który znak był pomyślniejszy. Mało brakowało, a sama bym się rozplakała, gdy tak obejmowałam chłopca, szepcząc słowa pociechy. W końcu nie wiedziałam już, co powiedzieć, ale tuliłam go, dopóki łkanie nie ustało. Nick wreszcie ucichł, po czym zasnął w moich ramionach, a ja chyba też się zdrzemnęłam, gdyż następne, co zapamiętałam, to poszturchiwania chłopca, który powtarzał:

- Ciociu Liz, ciociu Liz!

- Co się stało? - spytałam zdezorientowana.

- Chcę, żebyś pojechała - odparł.

- Co takiego! - Zdążyłam się obudzić. Przypomniał mi się dzień, kiedy to po raz pierwszy spotkaliśmy się na wzgórzu. Mówił wtedy dokładnie to samo.

Teraz jednak wyjaśnił:

- Chodzi mi o to, żebyś poleciała na Hawaje i przywiozła mi kawałek lawy, dobrze?

Wyprostowałam się, przyglądając mu się z uwagą.

- Czy nie ustaliliśmy, że zostaję? - zagadnęłam.

- Cóż - odparł chłopiec - uważam, że powinnaś pojechać. Bardzo chciałbym mieć ten kawałek lawy. Mój przyjaciel Zachary będzie mi go zazdrościć. - Wiedziałam jednak doskonale, że ta nagła zmiana zdania niewiele ma wspól-

nego ze skałami wulkanicznymi. Mimo siedmiu lat, Nick był bardzo spostrzegawczy, domyślił się więc, jak bardzo zależy mi na wyprawie z Davidem. - To w końcu tylko kilka dni - dodał. - Nic mi nie będzie. Jedź, ciociu Liz. Jedź koniecznie.

\*

Widok z samolotu lecącego na Hawaje zapierał mi dech w piersiach: słońce płonące wysoko nad naszymi głowami słało ukośne promienie na bezmiar turkusowego morza. Trzymaliśmy się z Davidem za ręce, gdy samolot wylądował w samo południe. Zgodnie z tradycją miejscowe kobiety na powitanie powiesiły nam na szyi wieńce z kwiatów, ale nie z plastikowych podróbek, lecz prawdziwych, różowych plumerii, które wydawały cudowny, niepowtarzalny zapach. Kiedy szliśmy żwirowaną aleją, zrobiło mi się nagle potwornie gorąco w zimowym płaszczu. Cóż, wystartowaliśmy w samym środku zimy, a wylądowaliśmy w pełni lata. Niby przygotowałam się na zmianę temperatury, ale różnica była jednak uderzająca. David objął mnie ramieniem, obydwójce zaś czuliśmy się wyczerpani podróżą, ale przede wszystkim podeenerwowani kontrastem pomiędzy intymną bliskością a zupełnie nieznanym otoczeniem.

Gdy dotarliśmy do naszego hotelu w Hilo, mieście na Oahu, największej z wysp, chłopiec hotelowy zaprowadził nas do urządzonego w pastelowych kolorach apartamentu z balkonem wychodzącym na białą, piaszczystą plażę. Staaliśmy przez chwilę na zewnątrz, by poczuć wiejącą od morza bryzę i popatrzeć na pływaków, rozkoszujących się igraszkami w wodzie. Pomimo zmęczenia lotem i zmianą czasu, chciałam od razu zwiedzić wyspę, zakosztować wszystkich rozrywek. Patrzyłam na rozbawione dzieci skaczące przez fale, wyobrażając sobie, że jedno z nich jest nasze. Marzenie wydało się takie żywe, takie realne!

David wziął mnie pod ramię i obrócił ku sobie.

- Naprawdę tu jesteście - wyszeptał.

- To takie dziwne - rzekłam, spoglądając na niego. - Zapuszczasz brodę? - spytałam, a on przejechał dłonią po zarostie na podbródku.

- Zapomniałem ogolić się przed wyjazdem - przyznał.

- Podobasz mi się tak - zauważyłam.

- Wątpię, czy dyrektor szkoły Craighead zgodziłby się z tobą - zaśmiał się - ale przez następne cztery dni to ty decydujesz.

Głaskałam szorstką twarz Davida, jakbym uzurpowała sobie do niego prawo, co było dla mnie zupełnie nowym uczuciem.

Przysunął się, by mnie pocałować. Czym prędzej wróciliśmy do środka, zrzucając po drodze ubrania, po czym spojrzeliśmy na siebie zawstydzeni własną nagością w pełnym świetle dnia.

- Jakaś ty piękna - wyszeptał David, przysuwając się bliżej, by mnie przytulić. Staliśmy pośrodku naszego ślicznego pokoju, lecz po chwili David wypuścił mnie z objęć i poszedł do łazienki. Usłyszałam szum płynącej wody. Czyżby zamierzał brać teraz prysznic? Kiedy jednak zajrzałam, żeby sprawdzić, co tam porabia, napełniał ogromne marmurowe jacuzzi.

Gdy zanurzyliśmy się w gorącej, wonnej kąpieli, usiedliśmy blisko siebie, całując się i głaszcząc, oparci o śliski brzeg wanny. Krótki zarost Davida drażnił mi twarz, przez co tym wyraziściej odczuwałam pieszczotliwy dotyk jego dłoni i delikatne ciepło wody. David przesunął się, tak że w ściennym lustrze dostrzegłam odbicie zarysu jego umięśnionych, wygiętych pleców, które mocno oplotłam ramionami.

Po kąpieli poszliśmy do łóżka. Owinięci w miękkie, białe prześcieradła, przytuleni do siebie, nie chcieliśmy nigdzie się ruszać. Wreszcie jednak David podniósł się, by przynieść z barku puszkę soku ananasowego. Popijaliśmy z



niej na przemian, chciwie zaspokajając pragnienie napojem, za którym wcześniej specjalnie nie przepadałam. Teraz jednak wiedziałam, że słodki, orzeźwiający smak stanie się za sprawą Davida symbolem naszej podróży, wyprawy do egzotycznego świata, gdzie kolczaste ananasy rosną na krzewach, nadmorski piasek jest drobniutki jak ziarenka maku, a czas tu spędzany mamy tylko dla siebie.

Wreszcie zmorzył mnie sen. Obudziłam się w środku naszej pierwszej nocy na Hawajach w obcym łóżku, nie wiedząc, gdzie jestem, która jest godzina ani co się stało. Spod drzwi przylegającego salonu wpadała smuga światła, podniosłam się więc, zaniepokojona, by tam zajrzeć. Na sofie siedział David, przeglądając broszury o teleskopach na Hawajach.

- Hej - przywitał mnie - dobrze się czujesz?

- Usiądź przy mnie - zaproponował, ale byłam zbyt zmęczona, wróciłam więc do łóżka, zadziwiona energią Davida, jego pasją, entuzjazmem, które każały mu wstać późno w nocy i rozmyślać o gwiazdach.

Następnego ranka zamierzaliśmy odwiedzić obserwatoria. Wyszłam z hotelu ubrana w krótką koszulkę i szorty, kiedy David zawołał mnie z powrotem.

- Proszę, przyda ci się - powiedział, podając mi płaszcz. Już miałam go wziąć, ale cofnęłam rękę, myśląc, że to jakiś żart. - Zaufaj mi - zaśmiał się.

Zastanawiałam się przez chwilę, ale wreszcie skinęłam głową, biorąc okrycie. Mogliśmy wyruszać. Droga w góry była dość długa, lecz obfitowała w atrakcje. Gdy tylko wyjechaliśmy z Hilo, łagodną roślinność zastąpiły kaktusy.

- Jedziemy przez pustynię - zauważyłam z niedowierzaniem.

Po jednej stronie szosy w oddali wznosiła się góra Mauna Loa, aktywny wulkan, jak objaśnił David. Rzeczywiście udało mi się dostrzec kłęby pary wydobywające się gdzieś na powierzchni. Naprzeciwko, po drugiej stronie, wyrastała jej bliźniacza siostra, wygasła Mauna Kea, do której zmie-

rzaliśmy. Całkiem jak ja i Harper - pomyślałam sobie. Zupełnie niepodobne bliźniaczki.

- Dokąd ty mnie wiesz? - zapytałam.

- Zobaczysz - usłyszałam tylko.

Czułam się tak jak podczas naszej pierwszej nocy w domku, kiedy David poprowadził mnie za rękę do mrocznego obserwatorium. Ufałam mu, wchodząc na stanowisko obserwacyjne, teraz zaś spokojnie wyciągnęłam się na przednim siedzeniu wynajętego samochodu terenowego, zadowolona z czekającej nas przejażdżki.

Krajobraz zmieniał się dosłownie co kilka minut. Droga prowadziła najpierw przez czarny wulkaniczny popiół, za zakrętem zaś pięła się w górę na łagodne, zielone wzgórza. Po chwili widok przysłoniły chmury, a gdy się rozstały, pojawiły się zbocza porośnięte łysymi, suchymi krzakami, przetłaczanymi gdzieś tam niskimi zaroślami. Pomyślałam o Nicku, który bardzo kochał przyrodę. Obiecałam sobie, że zadzwonię do niego wieczorem, by spytać, jak się miewa, i opowiedzieć mu o cudownych zakątkach Hawajów, które z pewnością będziemy kiedyś razem odkrywać, tak jak badaliśmy okolice „Strzechy”. W końcu David stanął przed budynkiem, przypominającym schronisko turystyczne. Gdy wysiedliśmy z samochodu, uderzyło mnie, że w powietrzu panuje orzeźwiający chłód.

- Teraz już rozumiem - powiedziałam, biorąc płaszcz z tylnego siedzenia.

David tylko się uśmiechnął.

- A gdzie są teleskopy? - zapytałam.

Wskazał jakieś miejsce za moimi plecami. Kiedy się odwróciłam, ujrzałam urwistą górę.

- To jest ich więcej? - dopytywałam się.

- Tak - odrzekł - ale najpierw musimy się tutaj zaaklimatyzować. Jesteśmy na wysokości trzech i pół tysiąca metrów, a szczyt ma siedem i pół tysiąca. - Spojrzał na schronisko. - Tutaj mieszkają astronomowie. Poczekaj chwilę. - Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, już go nie było. Zobaczyłam, jak wysoki, szpakowaty mężczyzna wychodzi z budynku i zmierza w stronę parkingu, a David dołącza do niego, mówi coś, potem ściskają sobie dłonie. Wróciłam do samochodu, podczas gdy obydwaj panowie pograżyli się w rozmowie, kiwając głowami i spoglądając na niebo.

Po kilku minutach David wsiadł z powrotem do auta i wrzucił tylny bieg, wycofując dżipa z parkingu. Kiedy wjechaliśmy na krętą, żwirowaną drogę, kiwał głową, uśmiechając się do siebie. Widziałam, że myślami jest daleko, więc postanowiłam poczekać, aż wróci na ziemię.

- Czy masz pojęcie, kto to był? - odezwał się wreszcie, a potem wymienił jakieś nic nie mówiące mi nazwisko, wyjaśniając, że to bardzo znany astronom, ponieważ dokonał przełomowych odkryć, o których oczywiście też nic nie słyszałam. A jednak wiedziałam, o co chodzi. David spotkał właśnie swój wielki autorytet, bohatera, który badał najdalsze zakątki wszechświata, odnajdywał gwiazdy, o których innym się nawet nie śniło. Kiedy David opisywał mi wielkie osiągnięcia tego naukowca, uświadomiłam sobie, że pierwszy raz widzę go równie poruszonego, rozgorączkowanego i ożywionego. Przestraszyłam się nieco, gdyż nie znałam go od tej strony.

Nie wiedzieliśmy o sobie jeszcze wielu rzeczy. W trakcie naszej krótkiej znajomości przebyliśmy razem długą drogę, ale przed nami było jeszcze wiele zakrętów. Jednak martwiło mnie nie to, że David ma życie, którego nie znam, ale że niektórych zakamarków jego duszy nigdy nie będę w stanie zgłębić.

Kiedy ostatnim razem przed wyjazdem spotkaliśmy się u Davida, leżeliśmy pod meksykańską narzutą, kochaliśmy się, jedliśmy kawowe lody prosto z

pudełka. Niebawem musiałam wracać do Nicka, więc sądziłam, że resztę czasu spędzimy razem, jednak nagle David podniósł się z łóżka, jakby myślał o czymś innym, miał jakieś sprawy do załatwienia.

- Dokąd idziesz? - spytałam łagodnie w ciemności, mimo że znałam odpowiedź.

- Do obserwatorium - odrzekł rzeczowo i, naturalnie, była to sprawa oczywista.

Jednak to słowo zaczęło dla mnie oznaczać coś więcej niż tylko okrągłe pomieszczenie nad naszymi głowami. To był jego azyl, w którym czuł się naprawdę u siebie, mógł zatracić się, nawet bardziej niż ze mną. Włożywszy sweter, spodnie, parę ciężkich butów, pomaszerował żelaznymi schodami na górę. W chwilę później usłyszałam łomot odsuwanej kopuły, a potem jazgotanie łańcuchów, wyciągających starodawne bloki, wprawiające w ruch stanowisko obserwatora, usiłując go wznieść i obniżyć. Leżałam, wyglądając oknem na niebo, lecz zdawałam sobie sprawę, że nie jest to ten sam firmament, który podziwiał David.

Obserwatorium stało się schronieniem także i dla mnie. Nigdy wcześniej nie byłam w takim miejscu, mogłam tam patrzeć na gwiazdy, kochać się, rozmawiać pełnym czci tonem o wszechświecie i o nas.

Jednak teraz byliśmy daleko od domku, który żartobliwie nazwaliśmy „Gwiezdnym Pyłem”. Hawajski krajobraz zmienił się raz jeszcze. Zniknęły łąki, łagodne wzgórza, a nawet nędzne krzaki, gdyż wjechaliśmy powyżej linii drzew, gdzie w pobliżu wierzchołka góry nie rosła żadna rośliność, wszędzie rozpościerały się tylko wielkie szare głazy i kamienne płyty, jak na jałowej powierzchni Marsa. Droga ciągle się wznosiła, wjeżdżaliśmy w kolejne zakręty, chwilami słońce świeciło nam prosto w twarz, wtedy samochód zwalniał, póki David nie przyzwyczał oczu do oślepiających promieni.

Przez jakiś czas jechaliśmy bez słowa, ale nie wiem, czy krajobrazy, czy może wysokość odbierała nam chęć do rozmowy. Coraz trudniej było oddychać, a w karku dokuczał mi tępy ból. Miałam gonitwę myśli; następowały po sobie, tworząc przypadkowe wzory, jak w kalejdoskopie. Zupełnie jakby wrażenia paradowały przede mną, wystarczyło tylko usadowić się wygodnie i podziwiać. Śledziłam zatem drogę na przemian z własnymi myślami. Szare skały przysłoniła teraz wszechobecna, oślepiająca jak światło słońca, biel. Wspomniałam, jak przejeżdżałam się w rozmowie z Davidem, nazywając obserwatorium krańcem świata, zamiast ziemi. Tu z pewnością znajdowaliśmy się na krańcach świata.

- Śnieg! - wykrzyknęłam. - Na Hawajach.

Zanim jednak zdążyłam oswoić się z tym niezwykłym widokiem, wjechaliśmy w ostatni zakręt i naszym oczom ukazał się szczyt góry ze stojącymi na nim niezliczonymi, bielszymi nawet od śniegu obserwatoriami. Mijaliśmy jedno za drugim, aż wreszcie David zatrzymał samochód na skalnym występie, poniżej którego rozciągało się... no, właśnie. Co? Nie potrafiłam powiedzieć. Wysiadłam z auta, ściągając ciaśniej pasek płaszcza i pomaszerowałam nad samą krawędź przepaści.

Hen w dole widziałam obłoki, ale nie mogłam rozróżnić, gdzie kończy się śnieg, a zaczynają chmury, ani gdzie między mlecznymi kłębami prześwitują białe grzbiety fal oceanu. Nie można było oddzielić zamglonego widoku tafli wody od przestworzy nieba i ziemi, jakby strony świata stały się nie do rozróżnienia, a kompas przestał już działać. Może zresztą i tak było. Może istnieliśmy tylko my i słońce, które zanurzało się już w czerwonawą mgiełkę na horyzoncie, ustępując miejsca gwiazdzistej nocy. Istniały też oczywiście obserwatoria, z otwartymi kopułami, które obracały się powoli wokół własnej osi, by wycelować w nieznane.

Jednak w narastającej ciemności najważniejsi byliśmy my. My i nic więcej. Tylko my.

David stał z ręką opartą na biodrze, rozchyłonymi ustami, głową odrzuconą do tyłu.

- Powiedz mi - poprosiłam - powiedz mi, na co patrzysz.

Głęboko odetchnął, zanim odrzekł.

- Jak tu zacząć. Hmm. No dobrze. Widzisz tam tę jasną gwiazdę? To...

- Nie - przerwałam cicho - nie chodzi mi o nazwy gwiazd ani konstelacji.

Nie tym razem.

- Och - powiedział tylko, a potem zamilkł na dłuższą chwilę, nie odrywając wzroku od firmamentu. - No dobrze - odezwał się wreszcie. - Powiem ci, o czym myślę. - Rozpostarł ramiona, jakby czekał, że coś spadnie z nieba, zresztą wcale bym się nie zdziwiła, gdyby rzeczywiście tak się stało. Słońce zaszło już za horyzont, feerię barw na niebie zdominowała narastająca, głęboka czerń.

- Niektórzy, patrząc na gwiazdy, mówią: „o rany, ale super”, i ja to rozumiem, bo jak inaczej można zareagować? Zwłaszcza gdy wiesz, na co patrzysz, uświadamiasz sobie te ogromne odległości, co to wszystko oznacza. Bez wątplenia: „o rany, ale super”. - Zwrócił się w moją stronę. - Ale to jest najłatwiejsze - ciągnął.

Staralam się przekrzyczeć wiatr.

- A co jest trudne?

- To, co przychodzi później. - Znow spozrzał na niebo. - Pamiętasz, kiedy pierwszy raz zaprosiłem cię na kolację, mówiłem, że jak byłem mały, chodziłem na Point, żeby oglądać niebo przez lornetkę?

- Oczywiście.

- Cóż, im więcej obserwowałem, tym lepiej poznawałem planety, gwiazdy, galaktyki i tym więcej chciałem o nich wiedzieć. Przychodziłem na Point

coraz częściej, zacząłem przynosić mapy nieba, zainwestowałem w profesjonalny sprzęt. Opanował mnie głód wiedzy, codziennie nie mogłem się doczekać wieczorów, żeby spróbować coraz trudniejszych rzeczy. To zabawne - ciągnął. - Z początku szukałem przez lornetkę matki, ale w miarę jak zacząłem patrzeć na gwiazdy i planety, coraz mniej myślałem o wypadku. Jakby ona sama i wszystko, co dla mnie znaczyła, stały się częścią mojej duszy. Zawsze mnie mobilizowała, namawiała, bym sobie stawiał trudne cele, tak jak ona wymagał od siebie bardzo dużo. Tego nauczyłem się od matki i nigdy tej lekcji nie zapomniałem.

Położyłam mu rękę na ramieniu, a drugą na piersi, mocno się do niego przytulając. Patrzył w niebo, a ja razem z nim i chyba pierwszy raz widzieliśmy to samo.

- Rzecz w tym - mówił dalej - że nadchodzi moment, kiedy człowiek uświadamia sobie, że im więcej szuka, tym mniej rozumie. Najpierw, oczywiście, odkrywa jakie to: „o rany, ale super”. Jak ogromne odległości panują w czasoprzestrzeni; jaka samotna jest nasza planeta. Później wielkości zaczynają przekraczać granice wyobraźni, bo jaka jest różnica między miliardem lat a dziesięcioma miliardami? A między trylionem kilometrów i stoma trylionami?

Urwał, zastanawiając się, czy mówić dalej.

- Chodzi też o coś więcej - dodał. - Nie tylko o to, jak wielki jest kosmos lub kiedy powstał, ale jakie rządzą nim zasady. - Zaśmiał się gorzko. - Przykro mi to powiedzieć, ale prawa wszechświata są bezwzględne. Bytem rządzi nieopisane okrucieństwo. Oglądałaś filmy przyrodnicze o dzikich zwierzętach, w których afrykańskie sawanny wyglądają tak spokojnie? A w twoim własnym ogródku? Wystarczy przyjrzeć się bliżej, by nagle dostrzec, że świat nie jest wcale niewinny. Raptem odkrywa swoje prawdziwe oblicze - okazuje się, że zwierzęta nieustannie polują, zabijają się, żeby przetrwać. I wówczas tłum-

czysz sobie, że to prawa natury. Cóż, rzeczywiście takie są, ale to wcale nie oznacza, że muszą ci się one podobać. Kosmos jest taki sam, tylko milion razy gorszy - ciągnął. - Miliard razy. Kto by pomyślał, patrząc na te małe migające cudeńka, a jednak jest bezlitosny. Tysiące ciał niebieskich pożerających się nawzajem. Płoną, wybuchają, zderzają się i znikają na zawsze. Gdy powstają galaktyki, setki miliardów gwiazd rozbłyskuje naraz, a później przez miliony lat jedna po drugiej wypalają się, aż wreszcie wszystkie znikają. Przepiękne świetliste serpentyny z nieprzeliczonych księżyców, planet, cywilizacji po prostu gasną. Są, a za chwilę ich nie ma.

- Ogień i lód - rzekłam, myśląc o meteorycie, który widzieliśmy w pierwszej noc na Poincie.

- Jak nadać temu sens? - podjął. - Po co w ogóle próbować? A jednak próbujemy. Próbujemy bezustannie. - Z uniesioną głową wpatrywał się w nieboskłon. - To jest właśnie najtrudniejsze - powiedział wreszcie.

- Nie zaprzestawać poszukiwań - dokończyłam.

Potakująco skinął głową. Przynajmniej raz w życiu wiedziałam, co powiedzieć. Wiedziałam doskonale. Nie byłam tylko pewna, czy się odważę, ale miałam też świadomość, że jeśli teraz zmilczę, ja i David stracimy naszą szansę.

- Nie musisz więcej szukać - odezwałam się cicho. Przez chwilę David nic nie odpowiadał.

- Tak - powiedział wreszcie. - I to właśnie przeraża mnie najbardziej.

Obtarłam dłonią łzy z oczu najpierw sobie, potem Davidowi. Wciąż trwaliliśmy bez ruchu, zupełnie jakby żadne z nas nie chciało jeszcze opuścić tej góry. Staliśmy jeszcze kilka minut w całkowitych ciemnościach na krańcach świata, nie tylko opierając się o siebie, ale naprawdę wzajemnie wspierając.



## Rozdział 6

W dzień naszego wyjazdu z Hawajów, gdy zjedliśmy już pożegnalny posiłek w hotelowej restauracji i po raz ostatni popływaliśmy w oceanie, David oświadczył, że ma ważne zadanie, ale musi wykonać je sam. Gdy niebawem wrócił do pokoju, poprosił, bym zamknęła oczy i wyciągnęła dłoń.

Czułam, że kładzie na niej coś lekkiego i kwadratowego, a kiedy wolno mi już było spojrzeć, okazało się, że tym czymś jest niewielkie, zapakowane w błękitny jak ocean papier, pudełeczko, które w sam raz mogłoby pomieścić jakiś mały klejnocik, na przykład pierścionek.

- Och - westchnęłam.

- Otwórz.

Prawdę mówiąc, wcale nie byłam pewna, czy tego właśnie chcę. Jeśli David wręczył mi zaręczynowy pierścionek, symbol oświadczyń, to postąpił pochoinnie. Nie wypadało jednak odmówić rozpakowania prezentu. Kiedy odwracałam miniaturowy sześcianik, by odedrzeć paznokciami taśmę, ręce drżały mi lekko. Warstwy turkusowej bibułki rozdzieliły się, opadając na podłogę. Gdy podniosłam pokrywkę i rozsunałam kłębuszki waty, na dnie pudełka mignęło coś złotego. Sięgnęłam do środka, okręcając na palcu...

- Klucz?

- Do „Gwiazdnego Pyłu” - odrzekł lekko zakłopotany David, nie patrząc w moją stronę. - Kiedy po powrocie do Longwood Falls będziesz miała ochotę odwiedzić Stone Point, sama otworzysz sobie drzwi. - Zamilkł na chwilę, po czym dodał: - Posłuchaj, Liz, nie odważyłbym się prosić, żebyś porzuciła swoje życie w Longwood Falls - wyjaśnił. - Dom, pracę, przyjaciół. To byłoby nie w porządku. A ja nie mogę zostawić uczniów. Mam jednak cichą nadzieję, że

obserwatorium stanie się twoim drugim domem, do którego będziesz przyjeżdżać, kiedy tylko zechcesz.

- Jesteś pewny? - spytałam.

- Tak - odrzekł. - Całkowicie. Chcę, żebyśmy mogli jak najwięcej czasu spędzać razem, w ten czy inny sposób. - Urwał, rzucając mi niepewne spojrzenie. - A ty?

Czułam się dziwnie, gdyż, mimo że miałam już kilku kochanków, żaden nie ofiarował mi klucza, żaden też nie dostał go ode mnie. Nie paliłam się, żeby zamieszkać nawet z prawnikiem, Jeffem Hardestym, wobec którego miałam poważne zamiary.

Jednak w wypadku Davida było inaczej. Chętnie wracałabym do domku, w którym czułam się tak swobodnie, w którym on by na mnie czekał. Podeszłam więc, by ucałować ukochanego, mocno zaciskając palce wokół złotego podarku.

Następnego popołudnia, po nużącym, całonocnym locie, który minął na krótkich, przytulanych drzemkach, wróciłam do domu siostry. Uginałam się pod ciężarem upominków dla Nicka: trzy rodzaje orzechów Makadamia, układanka w kształcie Hawajów, zestaw do wykonania modelu wulkanu i oczywiście kawałek lawy. Taksówka, złapana na lotnisku, odwiozła najpierw ślaniającego się ze zmęczenia Davida do obserwatorium, a potem zabrała mnie do „Strzechy”. Kiedy jednak podeszłam do frontowych drzwi, spotkało mnie zaskoczenie.

Stała w nich Harper.

Przez jakiś czas wpatrywałam się w nią, nie wierząc własnym oczom.

- Nie przywitasz się? - zapytała, na co drżącym głosem posłusznie ją pozdrowiłam, odstawiając walizki, by podejść i uściskać siostrę.

- Co ty tutaj robisz? - badałam.

- Chciałam ci sprawić niespodziankę - odrzekła Harper. - Zaczynałam już popadać w nerwicę na tej wyspie, poza tym bardzo tęskniłam za Nickiem, więc pomyślałam sobie, że już czas wracać. Wczoraj zdecydowałam, że przyjadę razem z tobą. Białym świtem odleciałam z Florydy i oto jestem.

No, rzeczywiście. Wyglądała o wiele lepiej, to rzucało się w oczy. Włosy jej odrastały, tworząc szykowną fryzurę, ładnie się opaliła, a przede wszystkim z jej spojrzenia zniknął wyraz zgrozy, który uderzył mnie w dzień pogrzebu. Harper sprawiała wrażenie wypoczętej mimo głębokich cieni pod oczami. Z naszych krótkich, nieskładnych rozmów telefonicznych trudno się było zorientować, jak sobie radzi na Florydzie, ale teraz stała przede mną cała i zdrowa.

Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, ze schodów zbiegł Nick, by mnie uściskać. W siostrzeńcu również zaszedł jakiś przełom, który objawiał się nie tylko beztroską bieganiną po domu, ale nawet zmienionym wyglądem. Wiedziałam jednak, że przyczyną tej odnowy nie był mój wyjazd, ale powrót jego matki.

Usiedliśmy we trójkę w salonie, a Nick na podłodze rozpakowywał prezenty. Kiedy składał wulkan, Harper zwróciła się do mnie.

- Chciałam ci podziękować, Liz - rzekła cicho. - Świetnie się nim opiekowałaś.

- To była czysta przyjemność - odrzekłam. - Nick to wspaniały chłopak, bardzo się polubiliśmy.

- Cóż - powiedziała - musisz pewnie być zmęczona rolą niańki. Teraz, kiedy wróciłam, uwolnię cię od tego obowiązku. Możesz wrócić do domu. - Nie odezwałam się ani słowem. - Myślałam, że się ucieszysz - zdziwiła się, kiedy jednak spojrzałam na nią z niewyraźną miną, zrozumiała. - Och - skinęła lekko głową - chodzi o Davida - odezwała się. - No tak. Powinnam była się domyślić.

Miała rację, myślałam o Davidzie. Nie przyszło mi do głowy, że Harper zjawi się tak szybko, a jej przyjazd da mi możliwość powrotu do dawnego życia. Raptem, postawiona wobec tej niezbyt kuszącej perspektywy, zanim zdążyłam się zastanowić, rzekłam z pełnym przekonaniem:

- Właściwie to nie wracam.

Później, tego samego popołudnia, podskoczyłam do obserwatorium, żeby poinformować Davida o swojej decyzji. Mrugnął kilka razy, zanim przetrawił tę wiadomość, a wówczas ucałował mnie mocno, unosząc wysoko w powietrze. Kazałam mu obiecać, że jeśli będzie miał jakieś obiekcje, natychmiast da mi znać. Zarzekał się jednak, że nie żywi najmniejszych wątpliwości.

- Żartujesz? - krzyknął. - Miałem nadzieję, że tak zrobisz.

- Trzeba mi było podpowiedzieć - odparłam.

- Ty też mogłaś coś o tym wspomnieć - odciął się, na co uśmiechnęłam się lekko.

- Przecież właśnie to zrobiłam.

- Racja - przyznał. - Teraz moja kolej, żeby coś zaproponować. - Pochylił się ku mnie, szepcząc: - Chodźmy do łóżka.

Zachichotałam.

- Muszę wracać do „Strzechy” na kolację - odparłam. - Obiecałam Nickowi i Harper.

- Do kolacji jeszcze parę godzin.

Spojrzałam na łóżko, wyobrażając sobie, jak wskakujemy z Davidem pod meksykańską narzutę, pieścimy się delikatnie, aż zrodzi się pożądanie, a potem nieopanowana żądza.

- Cóż, może zostanę jeszcze chwilę.

Impulsywność, brak rozwagi były dla mnie zupełnie nowe. Zadawałam sobie pytanie, czy to nieoczekiwany przyjazd Harper, perspektywa rychłego

pożegnania z Davidem i Nickiem sprawiły, że postanowiłam zostać w Stone Point? Jednak nie, w rzeczywistości nagły powrót siostry do „Strzechy” pomógł mi tylko zrozumieć, czego naprawdę pragnę. Dotychczas mieliśmy z Davidem bardzo niejasne plany na przyszłość. Zgadzaaliśmy się, że chcemy spotykać się nawet po moim powrocie do Longwood Falls, później dostałam wręcz klucz do obserwatorium. O poważnym związku rozmawialiśmy raczej zdawkowo. Jednak żadne z nas nie traktowało lekko tej znajomości.

Oczywiście szczegóły naszego nowego życia jeszcze dopracujemy. Będę musiała sprzedać dom, rzucić pracę, zerwać wszelkie nici łączące mnie z dawną egzystencją. Nie wiedziałam, czy uda mi się zatrudnić w bibliotece w Stone Point lub w którymś z okolicznych miasteczek, ale tak czy owak znalezienie pracy z pewnością będzie wymagać zachodu. Nie zdecydowałam też, czy wprowadzę się do Davida, czy wynajmę własne mieszkanie, póki nie będziemy gotowi do podjęcia wspólnego życia. Gdy jednak wyczerpani miłosnymi zapasami leżeliśmy w łóżku Davida, a za oknem zapadał gęstniejący zmierzch, którego żadne z nas nie chciało rozproszyc światłem lampy, pomyślałam, że może czeka nas jeszcze wiele podobnych wieczorów.

Dawniej, kiedy byłam z kimś związana, początkowo nie mogłam doczekać się randek, ale dość szybko zaczynałam tęsknić za samotnością. Z Davidem było inaczej. W krótkim czasie znaleźliśmy wspólny rytm, jakbyśmy przebywali razem całe życie, w zasadzie w jakimś sensie tak było. Jednego dnia bytowaliśmy w odosobnieniu, a każde z nas w pojedynkę przemierzało własnymi, przewidywalnymi torami pustą przestrzeń, a następnego gwałtownie wpadliśmy na jedną orbitę, przyciągani wzajemną fascynacją.

- Powinniśmy uważać - skomentował David, gdy przedstawiłam mu tę astronomiczną interpretację naszych losów. - Przecież musimy strzec się zderzenia czy czegoś podobnego.

- No, nie wiem. Nie mam nic przeciwko zderzeniu, które właśnie przeżyliśmy.

Uśmiechnął się.

- Chodzi mi o wybuchy i pożary.

- Mnie również.

Poczucie takiej swobody w kontakcie z mężczyzną też było dla mnie zupełnie nowym doznaniem. Moje dotychczasowe doświadczenie nakazywało ukradkowe i zawołowane nawiązywanie do intymnych spraw, ale teraz nauczyłam się, że może być inaczej. Od początku kochaliśmy się bez skrępowania, z wycuciem ciała partnera, co pociągało za sobą niewymuszone rozmowy. Pamiętam, że po zbliżeniu z Jeffem pościel wyglądała równie porządnie, jak pół godziny wcześniej. Natomiast łóżko, które dzieliłam z Davidem, zawsze było skotłowane, jakby przeszedł przez nie huragan.

Jednak martwiło mnie, że w Davidzie nie ma krztyny romantyzmu. Okazywał mi wielką czułość, ale bezlitośnie przegrywałam z jego drugą miłością, nocnym niebem. Nauczyłam się, co prawda, patrzeć na gwiazdy jego oczami, widzieć ich podły charakter, jak mężczyzna, którego w dzieciństwie odumarła matka. Czy nie mógł, jak ja, dostrzec w nich świetlistości, piękna, nadziei?

- Davidzie - dopytywałam się - czy nie ma żadnych podwójnych planet albo gwiazd, które nie niszczą się wzajemnie ani nie wypalają? Czy tylko to mówisz swoim uczniom o kosmosie - że obraca się w perzynę?

Akurat nad drzewami wzeszedł księżyc w pełni. David przyglądał mi się uważnie w jego błękitnawej poświacie, padającej na łóżko.

- No dobrze - odrzekł wreszcie, klękając raptownie. Zbliżył się do okna, by je otworzyć. Gdy pociągnął klamkę, do pokoju wpadło mroźne powietrze.

- Co robisz?

- Chwileczkę - odparł, wychylając się na zewnątrz. Podniosłam się, by do niego dołączyć. Klęczeliśmy obok siebie z łokciami na parapecie, wyglądając na dwór. David wyciągał szyję, szukając czegoś dokładnie nad naszymi głowami.

Oddychałam głęboko świeżym, nocnym powietrzem, które niesło słony zapach morskiej wody z cieśniny.

- Tam! - krzyknął. - Widzisz Oriona?

Podążyłam spojrzeniem za jego wzrokiem.

- Trzy gwiazdy w jednej linii, o tam? - spytałam.

- Spójrz troszkę wyżej i w lewo. Dwie jasne gwiazdy.

- Tak, tak widzę.

- Liz Mallory, przedstawiam ci Castora i Polluksa - wyrzekł z emfazą. - Synów Zeusa. Bliźnięta. Och!

- Co się stało?

- Nie, nic. Właśnie sobie uświadomiłem, no wiesz, bliźnięta. Jak ty i Harper.

- Cóż, nic nie szkodzi - odparłam, cofając głowę. - Już po wybuchach i katastrofach. To przeszłość.

Następnego popołudnia przyjechałam po Nicka do szkoły, ustawiając się w grupie pojazdów oczekujących na długim podjeździe. Tym razem byłam na miejscu przed czasem, wysiadłam więc z auta. Gdy przemierzywszy chodnik, minęłam kobiety stojące koło samochodów, wlepiłam wzrok w okna po drugiej stronie trawnika, próbując wysledzić Davida.

Dostrzegłam go w narożnej sali na drugim piętrze, gdy najwyraźniej wprowadzał uczniów w jakieś nowe zagadnienie. Przez wysokie, łukowate okno widziałam małą dziewczynkę z ogromnym, ręcznie wymalowanym obrazkiem słońca. Wokół niej kręcili się inni uczniowie, trzymający wizerunki

planet: błękitnej Ziemi, czerwonego Marsa, potężnego Jowisza, otoczonego pierścieniami Saturna. „Naszego” Saturna. Rolę tę, jak zauważyłam, David przydzielił Nickowi. I wreszcie na końcu sali stał sam David, który wyreżyserował ten taniec systemu słonecznego. Gdy patrzyłam, jak kiwa głową i wymachuje rękami, najwyraźniej objaśniając jakieś kosmiczne zasady, ogarnęło mnie dziwne uczucie. Wyobraziłam sobie, jak, zamiast osiemnastu maluchów w swojej klasie, uczy naszą własną latorośl, chłopca lub dziewczynkę. Nagle gwałtownie zapragnęłam zostać matką, wychowywać dziecko. Albo dzieci. Bliźniaki. Zdarzały się przecież w mojej rodzinie.

Stałam jak w transie, obserwując obroty ciał niebieskich, nieustannie toczące się życie, które przynosi miłość i smutek, potomstwo i nieoczekiwane koleje losów. Otrząsnęłam się dopiero, gdy David zwolnił uczniów, którzy po zdjęciu kostiumów zaczęli opuszczać salę.

Kiedy odwiozłam Nicka do „Strzechy”, postanowiłam wstąpić do środka, by przenieść swoje rzeczy do Davida. Wdrapując się po schodach, ujrzałam, jak z lasu wynurza się Harper, ubrana w starą, umazaną żółtymi i niebieskimi farbami bluzę. Nietrudno było zgadnąć, czym się przed chwilą zajmowała.

- Harper, znów malujesz! - krzyknęłam, zbiegając na dół.

Wzruszyła ramionami, zakłopotana, jakbym złapała ją na matactwie.

- Wcale nie - zarzekała się. - Mieszałam tylko farby, trochę eksperymentowałam. - Odwróciła wzrok.

- Cóż, bardzo chciałabym kiedyś zwiedzić twoją pracownię - powiedziałam.

Stała bez ruchu na ścieżce, rozważając moją prośbę.

- Przyznaję się, że zajrzeliśmy z Nickiem do środka, kiedy cię nie było - ciągnęłam. - Jest przepiękna.

Harper spojrzała na mnie, potem wykonała ruch głową, mówiąc:



- Dobrze. Chodź.

Przed wyjazdem na Florydę pochopnie zaręczała, że już nigdy nie weźmie pędzla do ręki, ale najwidoczniej zmieniła zdanie. Dawała jednak także do zrozumienia, że nie oswoiła się jeszcze z malowaniem, że stoi na niepewnym gruncie, czy wręcz balansuje niczym linoskoczek. Gdy zbliżaliśmy się do polanki, zrozumiałam, że nie wolno mi wytrącić jej z równowagi, gdy stawia te pierwsze, chwiejne kroki.

Na drzwiach do pracowni nie wisiała już kłódka, więc Harper uchyliła je z łatwością, odsuwając się, by wpuścić mnie pierwszą do środka.

- Cudowne miejsce - wyszeptalam.

- Tak - odparła. Po tylu latach jej zachwyty tym bezpiecznym schronieniem, które stworzyła dla siebie wśród drzew, nie zmniejszył się ani na jotę. - Rzeczywiście.

- Kiedy byliśmy małe - odezwałam się - mówiłaś rodzicom, że jak zostaniesz prawdziwą artystką, zbudujesz sobie pracownię. Czy tak ją sobie wyobrażałaś?

Harper milczała, zastanawiając się nad odpowiedzią, aż wreszcie przytaknęła.

- Owszem - rzekła. - Myślę, że tak. Inne sprawy wyszły inaczej, niż sobie wymarzyłam - dodała po chwili. - Zresztą sama nie wiem, czego właściwie chciałam.

Przysiadła na otomane w rogu pokoju. Zajęłam miejsce tuż przy niej, a nasze kolana stykały się lekko.

- Cóż, jeśli chodzi o szczerą odpowiedź na poprzednie pytanie - zmieniła temat - rzeczywiście trochę malowałam. Zaczęłam jeszcze na Sanibel, po dziwnym przeżyciu. Pewnego ranka obudziłam się ze snu, a moja ręka poruszała się, jakbym rzeczywiście pociągała pędzlem. Może muszę tworzyć, więc

maluję nawet przez sen. - Potrząsnęła głową. - Zrodził mi się w głowie szkic obrazu, nawet kilka szkiców. A właściwie całej serii obrazów. - Urwała. - Nie mogę jeszcze o nich mówić, projekt jest zbyt nowy, niedojrzały. - Spuściła wzrok, ale zaraz spojrzała mi prosto w oczy. - Nick skarżył się, że bardzo mu ciebie brakowało, gdy byłaś na Hawajach.

- Ja też za nim tęskniłam.

Siostra uśmiechnęła się lekko do siebie.

- Uwierzysz, że obiecałam mu zagrać partię „Detektywa” dziś wieczorem, po twoim wyjeździe? Boże, nie pamiętam, kiedy ostatni raz grałam w „Detektywa”.

- Nigdy nie lubiłaś gier planszowych, prawda?

- Brakowało mi cierpliwości. To nudy na pudy.

- Zgodziłaś się ze względu na Nicka - stwierdziłam.

- Owszem - odrzekła. - W końcu jestem matką. Wreszcie zrozumiałam, że dzieciom zależy na drobnych, pozornie nic nie znaczących gestach. W ogóle nie dbają o ważne sprawy, jak fundusz powierniczy czy piękny dom nad morzem, a jeśli usiądziesz z nimi na podłodze i zagrasz w „Detektywa”, są zachwycone.

- Tak - odparłam. - To prawda.

Zapadło długie milczenie, ale Harper wyraźnie chciała mi coś powiedzieć. Pochyliła się, ujmując mnie za rękę, jakby to był najnaturalniejszy gest w świecie.

- Związek z Davidem - odezwała się wreszcie - zmienił cię. Wydajesz się inna. Bardziej otwarta, mniej ostrożna. Pierwszy raz mogę z tobą naprawdę szczerze porozmawiać. - Zawahała się z zakłopotaniem. - Może to ja się zmieniłam.

- Harper... - przerwałam.

- Nie, proszę, daj mi skończyć. - Spojrzała na nasze splecione palce. - Chciałam ci to powiedzieć, ale ciężko mi idzie. Zawsze szło mi ciężko. Mogłoby się wydawać, że bliźniętom łatwiej się ze sobą porozumieć, ale czasami odnosiłam wrażenie, że jest nam jeszcze trudniej szczerze pogadać niż zwykłym siostróm.

- Chyba masz rację - odrzekłam.

Puściła moje dłonie, podniosła rękę, rozpościerając je szeroko, jakby przejmowała we władanie pracownię, rezydencję, całe Stone Point.

- Trudno uwierzyć, że to moje życie, prawda? - Pokręciła głową. - Różni się od Longwood Falls, czyż nie?

- Rzeczywiście.

- Wiem, co musisz sobie o mnie myśleć. Służba i ten cały majątek, ale trudno się temu oprzeć, wierz mi. Bogactwo opanowuje cię powoli, jak nałóg. Jedna rzecz może ci ułatwić życie, potem druga czyni je jeszcze wygodniejszym i zaczynasz coraz bardziej sobie dogadzać. Odsuwasz kolejne przeszkody, na wszystko się zgadzasz, aż wreszcie pewnego dnia okazuje się, że jesteś zupełnie inną osobą, niż myślałaś. Niż chciałaś. - Wzięła głęboki oddech. - Tak czy inaczej pragnę ci powiedzieć, że jesteś wspaniałą ciotką dla Nicka. Cieszę się, że zamieszkasz tak blisko.

- Bardzo jestem rada, że się tu przenieś - odrzekłam. - To znaczy tam. - Wykonałam nieokreślony gest dłonią. - No wiesz.

Siostra niespodziewanie wstała z otomany.

- Muszę się przebrać - powiedziała. - Wyglądam jak obraz nędzy i rozpaczy. Czy mogę cię przeprosić na sekundę?

- Jasne - odparłam.

Kiedy Harper szła do łazienki, żeby się umyć i przebrać, spytałam, czy pozwoli mi rozejrzeć się po pracowni.

- Dlaczego nie? - Wzruszyła ramionami, potem weszła pod prysznic, zamykając za sobą drzwi. Miałam wielką ochotę zostawić ją samą, uciec, żeby nie zepsuć tej ulotnej chwili. Cieszyłam się niepomrotnie, widząc, jak Harper wraca do życia, wychodzi ze skorupy, w której chowała się przez ostatni miesiąc. Mało, że wraca do życia - otwiera się przede mną na nowo jak nigdy przedtem. Uświadomiłam sobie, że to samo mi się przydarzyło dzięki Davidowi.

Podniosłam się, by obejrzeć pracownię. Gdy tak spacerowałam, uważnie przyglądając się opartym o ściany płótnom, pierwszy raz zaczęłam doceniać niuanse malarstwa siostry, wycucie koloru, subtelne połączenia barw, jakich nigdy wcześniej nie widziałam. Podeszłam do sporego drewnianego stojaka, na którym Harper trzymała ukończone dzieła i ostrożnie wyciągnęłam jedno z przegródki. Przepiękny, zabarwiony melancholią obraz przedstawiał Nicka i Doe z okresu niemowlęstwa. Siedzieli oparci o siebie, jakby wyczerpał ich bardzo długi dzień.

Po chwili wsunęłam obraz na miejsce i zaczęłam podziwiać portret, tym razem Carla w jasnym, lnianym, letnim garniturze, w którym wyglądał równie elegancko i władczo jak w rzeczywistości. Moja siostra umiała uchwycić na swoich płótnach prawdziwe oblicze modeli. Tego talentu mogłam jej tylko zazdrościć.

Umieściłam podobiznę Carla w przegródce, by móc obejrzeć kolejne malowidło. Wyjęłam je szybko obiema rękami, w lot orientując się, co przedstawia.

Był to akt przedstawiający Davida, który leżał swobodnie rozwalony na łóżku przykrytym meksykańską kapą w kolorowe zygzaki.

## Rozdział 7

Nareszcie czysta! - krzyknęła Harper z łazienki.

Nie odrywałam wzroku od portretu. Naga postać Davida przedstawiała się w pełnej okazałości: długie nogi, trójkąt włosów na torsie, muskulatura, całe przepiękne ciało, które dotykałam, obejmowałam i do którego zaczęłam rościć sobie pewne prawa.

Oczy Davida skierowane były na widza, ustanawiając poczucie intymnej więzi. Przemawiał do mnie z płótna. Mówił coś, co powinnam była wiedzieć od początku, domyślić się, zgadnąć. Bo dlaczegoż miałby leżeć na łóżku w obserwatorium, pozwalając, by Harper malowała go rozebranego, patrząc z półśmiechem kochanka na moją siostrę, gdy przykładała pędzel do płótna?

- Chcesz się jeszcze rozejrzeć?! - zawołała Harper.

Powoli odwróciłam się w stronę, skąd dobiegał jej głos. Weszła do pokoju, niecierpliwie szarpiąc włosy grzebieniem, tak samo jak w dzieciństwie. - Oczywiście, najlepsze dni pracownia ma już za sobą. - Poruszała ustami, wypowiadała jakieś słowa, ale nie słyszałam, co właściwie mówi. Patrzyłam na jej wargi, wyobrażając sobie jak całują Davida. Oczyma duszy widziałam, jak Harper odkłada pędzel, by dołączyć do Davida w jego łóżku, w naszym, moim łóżku. Wsunęłam obraz na miejsce.

- Chcesz jeszcze coś obejrzyć?

Nie wykonałam żadnego ruchu, a Harper czekała na odpowiedź.

- Liz? - dopytywała się. - Coś się stało?

Stałam jak skamieniała, nie wiedząc, gdzie podziąć wzrok. Nie mogłam patrzeć ani na Harper, ani na obrazy, w ogóle na nic.

- Liz?

Czy zabrał Harper na górę do obserwatorium, tak jak mnie? Czy wszystkie nasze wspólne doświadczenia były tylko kopią ich przeżyć? Czy byłam dla Davida, jak zawsze, tylko nędznym substytutem siostry? Nudziarą, która powoli i lekliwie sunęła za olśniewającą gwiazdą?

- Liz, wszystko w porządku?! - W głosie Harper dźwięczał teraz niepokój. - Co się stało?

A może, co gorsza, to był tylko seks? To nadal jest tylko seks? Czy wciąż są kochankami? Jeśli ukrywali przede mną swój związek, to, kto wie, co jeszcze przemilczają. Nagle wszystko wydawało się możliwe.

- Liz...

Szła ku mnie. Odwróciłam się. Nie chciałam widzieć jej twarzy, czuć jej dotyku, przebywać w tym samym pomieszczeniu, domu, mieście. Cóż jednak miałam robić? Tu nie mogłam zostać. Musiałam poznać prawdę, dowiedzieć się wszystkiego.

Ponownie podniosłam obraz, obracając go, by pokazać Harper, co przedstawia. W mgnieniu oka dostałam odpowiedź na swoje pytania, gdyż oczy siostry rozszerzyły się, rozdziawiła usta, jak osoba właśnie przyłapana na podłym występku.

- A więc to prawda - zaczęłam. Nie odpowiadała. - Ty i David byliście kochankami - dodałam.

Wyjęła mi płótno z ręki i odłożyła powoli na miejsce.

- Tak - przyznała wreszcie. - Tak było.

- Czy to trwa nadal?

Spojrzała na mnie i gwałtownie pokręciła głową.

- Nie - zaprzeczyła. - Oczywiście, że nie. Rozstaliśmy się dwa lata temu.

- Oczekała chwilę. - Nie mogłabym ci tego zrobić, Liz.

Ta uwaga wzbudziła moją wściekłość.

- Nie mogłabyś tego zrobić - rzuciłam - ale mogłaś trzymać wasz romans w tajemnicy, jakby to było zupełnie nieistotne?

- Pozwól mi wyjaśnić...

- Myślałam, że to mnie pragnął - wpadłam jej w słowo - a przez cały czas myślał o tobie, bardziej temperamentnej, ekscytującej z bliźniaczek.

- Co ty mówisz!

- Daj spokój, Harper - ciągnęłam - faceci zawsze lecą na ciebie, mają świra na twoim punkcie. Widziałam to tysiąc razy. Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię.

- Rozumiem, więc o to chodzi, tak? - wypaliła. - Posłuchaj. Przepraszam, że ci o nas nie powiedziałam, pewnie powinnam była, ale jeśli to dla ciebie kolejny powód, żeby się nad sobą uzalać...

- To dlaczego mi nie powiedziałaś? - przerwałam. - Kiedy przez telefon pytałam o mój wyjazd na Hawaje? Albo wczoraj? Albo dziś, gdy siedziałyśmy razem na otomanie, a ty przekonywałaś, że pierwszy raz możesz ze mną naprawdę szczerze porozmawiać?

- Bo to dawno skończone - broniła się. - Nie ma o czym mówić.

- Nie ma o czym mówić? Romansowałaś z ukochanym swojej siostry i twierdzisz, że nie ma o czym mówić? Dobry Boże, masz spaczony pogląd na świat. Święta racja, Harper. To miejsce, to życie rzeczywiście cię zmieniło.

- Powiem ci, czego nie zmieniło - rzekła ostrym tonem. - Nie zrobiło ze mnie uzalającej się nad sobą, sfrustrowanej marudy.

Przypomniało mi się, ile to razy była w centrum uwagi, skupiając na sobie oczy wszystkich. Tyle wyssała z życia: bogactwo, sławę, dzieci, kochanków, a przelotnie nawet Davida. Nagle zrobiłam krok w przód i, w co wciąż nie mogę uwierzyć, spoliczkowałam ją.

Harper krzyknęła, dotykając dłonią twarzy. Zapadła złowroga cisza, gdyż obie próbowałyśmy zrozumieć, co właśnie zrobiłam. Potem opuściła rękę, ale zaczerwieniony od uderzenia policzek potraktowała zupełnie jak honorową odznakę.

- Kiedy lituję się nad sobą - powiedziała - mdleję i wpadam w depresję, przynajmniej mam ku temu prawdziwe powody.

Odwróciłam się.

- To nie w porządku - rzekłam.

- Nie - odparła Harper - i co z tego? Od kiedy to życie jest w porządku? Inaczej wciąż miałabym przy sobie moją małą córeczkę, prawda? - Oddychała ciężko, próbując się uspokoić. - Opowiem ci wszystko, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć.

Nie odezwałam się słowem, więc ciągnęła.

- Dawno temu byliśmy kochankami. Spotkaliśmy się, biegając po plaży. I tak od słowa do słowa... Moje małżeństwo się rozpadało. Obydwoje byliśmy samotni. To nie była miłość ani nic takiego. Tylko seks.

- Zamierzasz mnie w ten sposób pocieszyć?

- Nie wiem, czy to cię pocieszy. Próbuję ci tylko wyjaśnić, że nasza znajomość nie ma nic wspólnego z tobą. To dawno przebrzmiały romans między mężczyzną, którego kochasz, i kobietą, która przypadkowo jest także twoją siostrą. Odrogowałam rozwód z Carlem - ciągnęła przyciszonym głosem. - Nie chciałam się wiązać na dłużej, więc zerwałam z Davidem. Dość okrutnie się z nim obeszłam, był na mnie zły, a właściwie wściekły. Błagał, żebym zmieniła zdanie, ale odmówiłam. - Zachnęła się. - Potem kilka razy przypadkiem spotkaliśmy się na mieście, ale nie rozmawialiśmy. Dopiero w tym roku, kiedy zaczął uczyć Nicka, znów się czasem kontaktujemy. I to wszystko.



Obrzuciłam ją badawczym spojrzeniem. W świeżych ciuchach wyglądała doskonale, pomimo nieco dramatycznego akcentu w postaci lekkiego śladu moich palców na płonącym policzku. Widać taki los przypadł nam w udziale - bliźniacze siostry, z których jedna jest piękna i nieobliczalna, a druga pozostaje zawsze w jej cieniu. Zachwycająca siostra dostaje wszystko, czego zapragnie, a gorsza musi zadowolić się resztkami. Słowa Harper nie mogły tu nic zmienić.

- Pójdę już - mruknęłam.

- Liz, proszę.

- O czym tu jeszcze mówić? - spytałam. - Chyba że masz dla mnie jakąś nowinę.

Potrząsnęła przecząco głową.

- No to do widzenia, Harper - powiedziałam, wychodząc z pracowni.

Wiedziała, dokąd zmierzam, ale nie próbowała iść za mną.

Droga do obserwatorium minęła mi na dręczeniu się obrazami i myślami, które będą mnie prześladować przez długie miesiące i lata: Harper i David wznoszą się do nieba na fotelu obserwatora; Harper i David kochają się pod meksykańską narzutą w jego domku; Harper i David z pozoru mijają się w życiu, za dnia jedno uczy, drugie maluje, ale jak wszyscy kochankowie, którzy dzielą podniecający sekret, nie mogą się doczekać spotkania w mrocznym pokoju, gdzie zapomną o całym świecie.

Gdy przejeżdżałam przez Różowe Wrzosowisko, mijając ciemną, imponującą rezydencję, w której stary Boyd najpewniej smacznie już chrapał, dostrzegłam, że światła u Davida jeszcze się palą. Usłyszał mój samochód, więc stanął w drzwiach, uśmiechając się na powitanie. Jeszcze wczoraj kochałam ten domek. „Gwiazdny Pył” z niskim łóżkiem, potężnym drewnianym stołem, półkami pełnymi książek o astronomii, obserwatorium nad głową. Czułam się tu jak u siebie, jeszcze zanim mogłam o tym pomarzyć.

Nie zwracając uwagi na Davida, rozglądałam się po pokoju z uczuciem dziwnej obojętności, jakbym weszła tu po raz pierwszy. David dostrzegł moją minę.

- Liz, co się stało? - spytał.

Zerknęłam na niego.

- Wiem o tobie i Harper - odparłam.

Zamarł w milczeniu, wyraźnie wstrząśnięty.

- Chciałeś to wiecznie przede mną ukrywać? - spytałam.

Gdy wreszcie otrząsnął się trochę, przeczesał dłonią włosy, mówiąc cicho:

- Nie, nie miałem takiego zamiaru.

- Trzeba mi było powiedzieć od razu! - krzyknęłam.

- A to czemu? - spytał.

- To twój obowiązek.

- Niby dlaczego? - zachnął się. - Czy rzeczywiście muszę ci zdradzać, że twoja siostra potraktowała mnie jak zabawkę? Ośmieszać się w twoich oczach? Pokazać się jako kolejny frajer porzucony przez Harper? - Wziął głęboki oddech i podszedł do mnie. - Wykorzystała mnie, Liz. Jestem tylko nauczycielem w podstawówce, a ona sławną artystką. Rzeczywiście, mieliśmy romans, a ja, głupi, myślałem, że łączy nas prawdziwe uczucie. - Krew napłynęła mu do twarzy, gdy mówił dalej. - Nie wyznałem ci wszystkiego od razu, bo się wstydzilem. Chciałem na zawsze wymazać tę sprawę z pamięci.

- Jednak wyszła na jaw - odrzekłam, ale nagle skojarzyłam fakty. - To Harper cię porzuciła, tak? - dopytywałam się. - Kobieta, którą czasem wspominasz?

- Tak - przyznał. - To ona.

David nerwowo krążył po pokoju, to przybliżając się do mnie, to znów oddalając.

- Zamierzałem ci o wszystkim opowiedzieć w swoim czasie - przekonywałem. - Tak nakazywała uczciwość. Wzdragałem się jednak nie tylko z powodu upokorzenia, ale ponieważ nie chciałem ci sprawiać przykrości. Wiedziałem, że nabierzesz fałszywych podejrzeń. Uznasz, że zależało mi tylko na Harper, a ty jesteś nagrodą pocieszenia.

- Słusznie - odparowałam.

- Sama widzisz - tłumaczył. - Twoje wyobrażenie o wspaniałej Harper i niepozornej Liz nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.

- Taka jest prawda - odrzekłam. - Jestem dla ciebie namiastką siostry, dlatego się ze mną związałeś. - Pokręciłam lekko głową, dodając: - Nie będę po niej dojadać resztek.

- To nie konkurs! - wrzasnął. - Na litość boską, nie możesz tego pojąć?! Tu nie chodzi o twoją siostrę i ciebie, ale o nas!

Odwróciłam wzrok, rozglądając się po pokoju. Wyobraziłam sobie, że spędzamy z Davidem życie, jesteśmy ze sobą na dobre i na złe, wspieramy się jak kochająca para. Oczyma duszy ujrzałam obserwatorium, gdzie ruchome siedzenie magicznym sposobem unosi nas do teleskopu, a wymarzony syn lub córeczka wierci się na kolanach ojca. Jednak obraz rozwiął się, zanim zdążył się urzeczywistnić.

- Wracam do domu - oświadczyłam Davidowi.

- Wpadnę do ciebie jutro - odrzekł szybko. - Przetrywamy ten kryzys.

- Do prawdziwego domu - poprawiłam. - Wyjeżdżam do Longwood Falls.

David wpatrywał się we mnie.

- Daj spokój, Liz. Stać cię na więcej.

- Najwyraźniej nie - odwróciłam się.
- Mogłem się tego spodziewać - rzucił.

Zamarłam.

- Całe życie bardzo uważałem, żeby się nie zaangażować. - W głosie Davida zabrzmiały ostre tony. Nagle wpadł we wściekłość, odpłacając mi pięknym za nadobne. - Ludzie odchodzą. Taka ich natura. Ta reguła odnosi się do wszystkich i można sobie wmawiać, że znalazło się wyjątek, dozgonną miłość, ale to tylko bajeczka dla grzecznych dzieci. Prędzej czy później wszyscy człowieka opuszczają. Przeżyłem to z tysiąc razy, ale okłamywałem się, że z tobą będzie inaczej, że ty nigdy mnie nie zostawisz. - David potrząsnął głową. - Jesteś taka sama jak wszystkie. - Wziął głęboki oddech, dodając: - Nie jesteś lepsza od siostry, a może nawet bardziej od niej okrutna. Roztaczasz wokół siebie atmosferę ciepła i dobroci. Biblioteka. Miłość do książek. Troska o siostrzeńca. Tradycyjne wartości. Przyzwoita, opiekuńcza kobieta, która chce przeżyć coś niezwykłego, wziąć los w swoje ręce, a kiedy szczęście jest blisko, co robi? Niszczy je z powodu dawnej miłości, która skończyła się wieki temu.

Spojrzałam na Davida, ale nie chciałam się kłócić. Po prostu zawsze będę podejrzawać, że nadal pożąda Harper. Nigdy nie przestaną mnie prześladować wątpliwości, a pomyśl, żeby „przetrvwać ten kryzys”, zostać w Stone Point, zaprzyjaźnić się z siostrą i Nickiem, a zwłaszcza budować przyszłość z Davidem, wydał mi się nedorzeczny.

- Przykro mi - wyszeptałam, z trudem wydobywając głos.

Przypatrywał mi się przez chwilę.

- Mnie także jest przykro - odrzekł.

To były ostatnie słowa Davida, jakie usłyszałam, zanim wyszłam - niewykluczone, że to słowa rozstania. Wstrząsnęła mną myśl, że już nigdy więcej go nie ujrzę, że nie usłyszę ukochanego głosu ani nie będę budzić się u jego

boku, kiedy powoli wynurzaliśmy się ze snu, niczym para ospałych pływaków. Dech we mnie zamarł.

Pożegnałam go w sercu. Gdy staliśmy jeszcze przez chwilę, patrząc sobie w oczy, poczułam, że nie ma już odwrotu, nie padniemy sobie w ramiona jak dawniej. Bez słowa poszłam do samochodu. Raptem wewnętrzny głos kazał mi się obejrzeć. W jednym z okien dostrzegłam Davida, nasze spojrzenia spotkały się na moment, a potem po raz ostatni opuścił mój świat.

Musiałam wpaść do rezydencji Harper, żeby zabrać swoje skromne bagaże. Miałam nadzieję, że uda mi się to załatwić szybko i cicho, bez niepotrzebnych scen. Kiedy jednak pakowałam się w pokoju gościnnym, usłyszałam pukanie do drzwi. Otworzyłam, sądząc, że zobaczę w nich Harper.

Na progu stał jednak Nick, przebrany już do snu w piżamkę w samoloty. Na nogach miał niezwykle, kudłate kapcie w kształcie łbów reniferów, a włosy jeszcze mu nie wyschły po wieczornej kąpieli. Serce mi się krajało, gdy pomyślałam, jak zrani go mój niespodziewany wyjazd.

- Ciociu Liz - odezwał się - wiem, że jest już późno, ale może pobawiłabyś się ze mną? - Przecząco potrząsnęłam głową. - Dostałem nową grę planszową, w której ktoś kradnie klejnoty koronne i trzeba je odzyskać. Jest naprawdę świetna.

- Przykro mi, kotku - powiedziałam cicho, wkładając w to zdanie całą moją miłość do Nicka.

Zajrzał mi przez ramię do pokoju, gdzie na łóżku leżała otwarta torba, a obok poskładane, gotowe do spakowania ubrania.

- Zabierasz te rzeczy do domku pana Fieldsa? - spytał. Zaprzeczyłam ruchem głowy. - To dokąd jedziesz? A może weźmiesz mnie ze sobą? - poprosił. - Lubię podróże, mówiłem ci? Nigdy nie choruję w samochodzie ani samolocie - dodał z dumą.

- Nie mogę cię zabrać, Nicku - odrzekłam z przykrością. Westchnąwszy ciężko, zrobiłam krok do przodu, by wziąć go za rękę. Gdy pochyliłam się nad nim, poczułam delikatny, jabłkowy zapach szamponu dla dzieci. - Wyjeżdżam na dobre - oświadczyłam. - Wracam do Longwood Falls.

Wpatrywał się we mnie z niedowierzaniem.

- Do Longwood Falls? - spytał. - Jak to? Myślałem, że już nie chcesz tam mieszkać. Tak mówiłaś. Kiedy wróciłaś z Hawajów, powiedziałaś, że jednak zostajesz w Stone Point. Obiecałaś, będziesz po mnie czasem przyjeżdżać do szkoły i że będziesz się ze mną bawić.

- Ależ będziemy się bawić - odpowiedziałam ostrożnie, ze ściśniętym gardłem. Jeśli nie będę się pilnować, wybuchnę płaczem, czego wolałabym uniknąć. Ta rodzina dość już wycierpiała. - Będziesz mnie odwiedzać - ciągnęłam - tak często, jak to możliwe. Dobrze, że nie mdli cię w samochodzie - płałam bez sensu, z trudem powstrzymując się od łez.

- Ale mówiłaś...

- Cóż, zmieniłam zdanie - kręciłam - okazało się, że jednak muszę wracać.

- Na zawsze? - Na dźwięk tych słów przeszył mnie dreszcz. Czy wyjeżdżam na zawsze? Pewnie tak. Los rzadko daje drugą szansę, a im jest się starszym, tym mniej otwiera nowych możliwości. Przez chwilę zapragnęłam zdjąć swoje stare istnienie jak znoszoną sukienkę i włożyć coś prosto spod igły. Nowe życie, które lepiej by na mnie leżało i starczyło na długie, długie lata.

- Tak - potaknęłam - na zawsze.

Nick odwrócił oczy, wbijając spojrzenie w okna, jakby chciał dojrzeć niewidoczne wody cieśniny.

- Nie wierzę - powiedział łamiącym się głosem.

- Nick, nic ci nie będzie - przekonywałam delikatnie - przecież twoja mama wróciła.

Nick patrzył na mnie przerażającym wzrokiem.

- Obiecałaś! - krzyknął podniesionym głosem. - Obiecałaś! - Odwrócił się, wybiegając z pokoju. Zbiegł z marmurowych schodów i zaraz w całym domu rozległo się głośne trzaśnięcie ciężkich drzwi wejściowych.

- Nick! - wołałam, ale zanim wypadłam na dwór, zdążył zniknąć w ciemnościach. Nie byłam pewna, w którą stronę uciekał, co zaniepokoiło mnie tym bardziej, że miał na sobie tylko piżamkę, a na nogach reniferowe kapcie, zupełnie nieodpowiednie na śnieg. - Nick, poczekaj! - darłam się na całe gardło, ale odpowiedzią była głucha cisza, której nie przerywał odgłos jego kroków.

Nie zostało mi nic innego, jak zawrócić do środka i pobiec na górę. Zastukałam do drzwi Harper, która wpuściła mnie natychmiast. Stała ze srebrną szczotką w ręku, a jej włosy fruwały wokół głowy, naelektryzowane od czesania, gdy wyrzucałam z siebie całą opowieść. Jej oczy zwęziły się, kiedy odkładała szczotkę na toaletkę koło drzwi.

- Coś ty narobiła? - warknęła, zwracając się ku mnie.

- Strasznie mi przykro - tłumaczyłam się - przed chwilą...

- Nie chcę tego słuchać - przerwała, narzucając płaszcz. - Jeśli coś mu się stanie... - nie dokończyła. Jedno dziecko już straciła, a teraz drugie błąkało się na mrozie po nocy. Zeszłam za nią na dół, przyglądając się z ganku, jak nieprzytomnie pędzi aleją. Jednak synek nie odpowiedział na jej nawoływania, na tle szumu morza słychać było jedynie echo okrzyków Harper. Siostra wróciła do domu, by pospiesznie wezwać przez interkom Toma i Jeannette. Wyposażeni w latarki, które dostaliśmy od niej, wyruszyliśmy na poszukiwania.

Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby Nicka spotkała jakaś krzywda. Powinnam była przewidzieć, że chłopiec gwałtownie zareaguje na wiadomość

o moim nagłym wyjeździe, ale gdy stanął w drzwiach pokoju, wcale nie zważałam na jego uczucia. Myślałam tylko o sobie, o zaprzepaszczonej szansie na wspólne życie z Davidem.

Chwyciłam ostatnią latarkę, a właściwie silną przemysłową lampę ze srebrzystej stali, która rozpraszała ciemności jasnym, szerokim promieniem. Wędrowałam po terenie posiadłości, oświetlając drzewa, niebo, zasypany śniegiem na drodze. Przyszło mi do głowy, że może Nick schował się w pracowni Harper, ale nikogo tam nie było. Nagle uświadomiłam sobie, dokąd poszedł.

Gdy wdrapałam się na wzgórze, gdzie zginęła Doe, przystanąłam, kierując promień latarki na otwarte zbocze. W mgnieniu oka dostrzegłam w oddali drobną figurkę Nicka. Kiedy zauważył światło, rzucił się do ucieczki.

- Nick! - krzyczałam, biegnąc za nim.

- Idź sobie! - odkrzyknął jak pierwszego dnia, jednak udało mi się go dopaść i przytrzymać za rękaw piżamki. Poślizgnął się, upadł na kolano, pociągając mnie za sobą, tak że zaczęliśmy się turlać przez śnieg i błoto. - Odczep się ode mnie! - wrzasnął, próbując wstać. Zaczął się szarpać, ale objęłam go ciasno, krepując ruchy, jak w kaftanie bezpieczeństwa. - Puszczaj! Puszczaj! - Kopał i młócił rękami tak mocno, że oberwałam w twarz, ręce i plecy. - Nie nawidzę cię! - wył. - Puszczaj mnie! Mamo! Mamo! Mamo!

Nagle poczułam, jak silna męska dłoń rozdziela mnie z rozhisteryzowanym siostrzeńcem. Nad nami stał lokaj Tom.

- Dość tego - powiedział stanowczo, na co Nick nagle ucichł.

Tymczasem nadbiegła Harper, która odsuwając mnie, uklękła, by przytulić Nicka. Ścisnęła go tak mocno, jakby nigdy nie chciała go puścić, przez dłuższą chwilę klęczeli, pochlipując żałośnie. Siedziałam w mokrym, zimnym błocie, próbując złapać oddech, gdy nagle usłyszałam głos Nicka.

- Tęsknię za Doe - wyjąkał. - Och, mamusiu, tak bardzo za nią tęsknię.



- Ja też, kochanie - odrzekła Harper.
- Nie mogę uwierzyć - ciągnął - że już nigdy jej nie zobaczę. Nigdy!
- Ja też nie mogę się z tym pogodzić.
- Och, mamusiu.
- Nick, kochanie, mój malutki.
- Była taka wesoła. Pamiętasz, czasem aż krzyczała z radości! Kiedy zjeżdżała na sankach, tak właśnie się śmiała i śmiała.
- Wiem, syneczku.
- To niesprawiedliwe.
- Tak. Tak, to bardzo niesprawiedliwe.
- Boję się, że ją zapomnę, mamo. Czasem coś mi wylatuje z głowy. W zeszłym tygodniu zapomniałem pracy domowej.
- Och, nie, Nick. Zawsze będziemy o niej pamiętać. Zawsze.

Wreszcie schwyciłam oddech, podniosłam się i odeszłam na tyle, że nie słyszałam ich słów. Nie wiedziałam nawet, czy rozmawiali, czy tylko kołysali się w świetle księżyca, mocno przytuleni, wspierając się wzajemnie. I nie wiem do końca, kto tak naprawdę kogo pocieszał.

Tom i Jeannette stali przy nich, tylko ja wycofałam się z kręgu, obserwując tę scenę z odległości kilku kroków. Harper nie przypominała już kobiety, która w dzień pogrzebu Doe leżała na łóżku, nie zważając, że Nick biega sam po mrozie. Teraz przepełniał ją smutek, była przerażona, ale z pewnością wróciła między żywych. Życie jest bardzo poplątane. Podobno nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło, jak mówi.

Ta reguła działa w obydwie strony. Po raz pierwszy znalazłam miłość, ale wszystko obróciło się wniwecz. Tej nocy miałam już jednak dość myślenia o Davidzie. Czulałam się zmęczona, pora była późna, a czekała mnie długa droga.

## Rozdział 8

Zrobiłam zatem to, co umiałam najlepiej - uciekłam. Jechałam prawie całą noc, zatrzymując się tylko o drugiej na kawę i kawałek placka w przydrożnym barze. W oświetlonym neonami lokalu panowała przygnębiająca atmosfera, gdyż siedziało w niej tylko kilku kierowców ciężarówek i samotnych podróżników, którzy tak jak ja starali się odegnać senność zastrzykami kofeiny z cukrem. Wszyscy trzymali się osobno, zarówno na stołkach przy barze, jak i przy stolikach, zgarbieni nad parującą kawą i zimnym ciastem. Byłam jeszcze jednym odludkiem, spędzającym noc w drodze. Taka przyjechałam do Stone Point i opuszczałam je nie zmieniona.

Nie mogłam wysiedzieć długo pomiędzy gośćmi, tak silnie naznaczonymi piętnem samotności. Niewykluczone, że na niektórych czekały w domu rodziny, żony lub mężowie, śpiący w ciepłym łóżku, uśmiechając się sennie nad ranem na dźwięk klucza w zamku. Może część miała nawet dzieci, które w progu radośnie obskoczą rodziców, prosząc o upominki. Jednak z pewnością większość to odludki, którzy, podobnie jak ja, jadą do pustego domu. Zostawwszy kilka dolarów na stoliku, wróciłam do samochodu, by pokonać resztę trasy bez zatrzymywania się.

W czasie jazdy oczyma duszy widziałam Davida i przypominałam sobie, co czułam, gdy mnie obejmował, kiedy patrzyłam na niego, podziwiając muskulaturę i włosy, bujnie porastające mu pierś. Pragnęłam wtedy, by trwało to wiecznie, bym mogła w nieskończoność badać jego przeszłość, pasję, lęki i wszystko, co się z nim wiąże.

Jeszcze zanim zaczęło świtać, zjechałam z autostrady przy drogowskaziu na Longwood Falls, zbliżając się do mojej ulicy. Wyjęłam kluczyki ze stacyjki, by zgasić silnik, ale nie wysiadałam z samochodu.

Przez okno ujrzałam swój martwy, ciemny dom, którego nie odwiedzałam od długiego czasu. Zaraz będę musiała pozapalać światła, przejechać palcem po zakurzonych blatach stołów, które jutro powycieram. Na nowo oswajać się z rzeczami, które chciałam porzucić. Niebawem na powrót stanę się starą, poczciwą Liz.

Wreszcie wysiadłam z samochodu i weszłam po schodkach na ganek. Przy otwieraniu drzwi usłyszałam znajome skrzypienie zardzewiałych zawiasów, których jakoś nigdy nie mogłam naprawić. Wystarczyłaby kropelka oleju, po który powinnam pojechać jutro do sklepu żelaznego u Ala Złotej Rączki. Stary, sympatyczny Al, który prowadził sklep, jeszcze gdy byłam małą dziewczynką, zapyta mnie łagodnym głosem, jak się miewam, i poinformuje, że nie widywał mnie ostatnio. A ja odpowiem, że musiałam na jakiś czas wyjechać z miasta, ale już wróciłam na dobre.

Gdy otwarałam drzwi frontowe, wchodząc do wyiębionego wnętrza, z miejsca przekreśliłam wyłącznik lampy po lewej stronie. Hol zalał się światłem, ukazując dom, który nie zmieniwszy się przecież podczas mojej nieobecności, wydawał się jakiś mniejszy i bardziej ponury. Leciutkie jak mgiełka białe zasłony, sofa w delikatne arabeski, dekoracyjne poduszki ozdabiały tę piękną i obszerną willę, która była jednak samotnią. Brakowało tu śladów pobytu drugiej osoby: znoszonych rękawic na blacie w przedpokoju, męskich tenisówek na wycieracze, romantycznych, pamiątkowych fotografii szczęśliwej pary.

Odłożywszy klucze razem z portfelem na stolik, pomaszerowałam włączyć termostat, przekręcając gałkę, dopóki nie usłyszałam kliknięcia, a potem furkotu gdzieś za ścianą. Dom zaczął się nagrzewać, a ja lustrowałam pokoje, rozmyślając o Davidzie, o rozkoszy, jakie dały mi jego piękne ręce i usta, o nieodłącznym wyrazie smutku w oczach.

Moja siostra też miała Davida przez jakiś czas i tak jak ja zachwyciła się jego urokiem. A on podziwiał Harper. Nie umiałam się oszukiwać, byłam tylko szarą myszką, cieniem mojej światowej siostry. Z nieoczekiwanym zawstydzeniem pomyślałam o naszym krótkim związku. Co on naprawdę do mnie czuł? - zachodziłam w głowę, wiedząc, że nigdy się nie dowiem.

Tak więc w środku nocy wdrapywałam się na górę do sypialni domu w Longwood Falls. Schludnie rozciągnięta, błękitna kapa zakrywała łóżko, tak jak ją zostawiłam, wybiegając w dzień pogrzebu Doe. Zdjęte ubranie zwinęłam w kulkę, którą cisnęłam na krzesło, a potem wsunęłam się nago między prześcieradła, żeby poczuć na skórze ich chłodny dotyk. Gdy zgasłam lampkę nocną, by poleżeć chwilę w ciemnościach, próbowałam oszukiwać się, że znów jestem u siebie, ale to nie była prawda.

W miarę jak mijały tygodnie, zaczynałam wracać do dawnych przyzwyczajeń, wmawiając sobie, że jestem tą samą osobą, co niegdyś. Jednak ani ja, ani moi znajomi z biblioteki nie dawaliśmy się na to nabrać. Kilka osób oświadczyło mi nawet, że wydaję się „jakaś zmieniona”.

Któregoś dnia, gdy kserowałam w pracy dokumenty, moja przyjaciółka Ellen, udęczona pracownica bibliotecznego informatorium, zaczepiła mnie, mówiąc, że się niepokoi.

- O co? - spytałam łagodnie.

- O ciebie - odparła. - Jesteś kimś innym, Liz, jakby całkowicie odmienił ci się charakter. Czy chcesz o czymś porozmawiać? Czy mogłabym ci jakoś pomóc?

Wsunęłam kolejną kartkę papieru do kopiarki, kręcąc przecząco głową. Nie da się zatem ukryć cierpień, jakie stały się moim udziałem. W Stone Point przeżyłam zbyt wiele. Zawsze uchodziłam za spokojną i zrezygnowaną, a teraz dostrzeżono, że mam złamane serce.

Pewnego sobotniego popołudnia w końcu marca do mojego gabinetu wpadł stażysta, oświadczając, że jakiś mężczyzna przyszedł się ze mną zobaczyć. Nie podał nazwiska. Wstałam pośpiesznie, czując nagłą suchość w gardle. Jeśli to David, co powinnam mu powiedzieć? Jak postąpić? Przyglądałam bluzkę, przeczesałam palcami włosy i wyszłam z gabinetu.

Jednak mężczyzna czekający przy rejestracji ani trochę nie przypominał Davida Fieldsa. Ku mojemu zdumieniu ujrzałam Jeffa Hardesty'ego, prawnika, z którym spotykałam się wiele lat temu, zanim nasz związek się nie rozpadł, a on nie wyjechał do Buffalo. Wyglądał, oczywiście, trochę starzej, blond włosy mu się przerzedziły, ale to bez wątpienia był on - przystojny, nieco pospolity mężczyzna w szarym, eleganckim garniturze.

Na mój widok Jeff uśmiechnął się i ucałował mój policzek, mówiąc, jak mu miło znów mnie zobaczyć. Właśnie przeniósł się z powrotem do Longwood Falls, by podjąć pracę w najstarszej kancelarii w miasteczku. Kupił też wiktoriański dom, sześć przecznic ode mnie.

- Może wyskoczymy później na drinka, Liz? - zaproponował.

Zastanawiałam się przez chwilę nad jego zaproszeniem, lecz nie wzbudziło to we mnie wielkiego entuzjazmu.

- Mam dużo pracy - oświadczyłam, ale powiedział, że w takim razie wpadnie kiedy indziej. Mierzył mnie wzrokiem, badając, czy pomimo upływu lat coś jeszcze do niego czuję. Odwróciłam się niezgrabnie. Nie chodziło o to, że mój związek z Jeffem nie miał żadnej przyszłości. Przede wszystkim nie byłam psychicznie gotowa na randki z kimkolwiek, jakbym wciąż należała do Davida, mimo że nie widzieliśmy się od wielu tygodni. Pogrzeżyłam się w cichym smutku, melancholijnej zadumie nad utraconą miłością, co groziło mi poważną depresją.

Moją rozpacz dostrzegali nie tylko przyjaciele i współpracownicy. Również ciotka Leatrice, której pomimo podeszłego wieku niewiele umykało, zorientowała się, że coś złego się ze mną dzieje. Początkowo była bardzo zadowolona z mojego powrotu do Longwood Falls, ale wkrótce zaczęła się dziwić, dlaczego wyjechałam ze Stone Point skłócona z Harper.

- Jesteście przecież siostrami - psioczyła, kiedy pewnego popołudnia wpadłam do niej na herbatkę. - Nie rozumiem, co się stało. Mogłabyś mi wyjaśnić?

Potrząsnęłam przecząco głową.

- Cóż - rzekła - obydwie jesteście bardzo tajemnicze. - Sięgnęła do kieszeni swetra, powoli wyciągając złożoną kartkę, którą podała mi bez słowa. Zaskoczona, wzięłam kremowy papier listowy, na którym widniały rdzawe inicjały Harper.

- Dostałam go wczoraj - wyjaśniła ciotka Leatrice. Zatem zaprosiła mnie, bym przeczytała list od Harper. Rozłożyłam go uważnie i zaczęłam czytać.

Kochana Ciociu Leatrice!

Było mi bardzo miło pogawędzić z Tobą w zeszłym tygodniu. Wiem, że martwisz się moim nieporozumieniem z Liz i szanuję Twój punkt widzenia, ale proszę, byś mi zaufała. Twierdzisz, że żałoba przysłania mi ostrość spojrzenia, ale nie mogę się z Tobą zgodzić. Cierpienia, których doświadczyłam w tym roku, pozwoliły mi zobaczyć wiele spraw w nowym świetle.

Rozumiem, że nie byłam dobrą siostrą, a mimo iż rodzeństwo często się sprzecza, ja zawiniłam szczególnie.

Mam także świadomość, że nie byłam wspaniałą matką. Jak wiesz, po wypadku Liz została, by zaopiekować się Nickiem, kiedy ja zaszyłam się na Florydzie. Nick ma, co prawda, już siedem lat i nie trzeba zmieniać mu pieluch, ale dzięki niej lepiej pojęłam, czego naprawdę potrzeba chłopcu. Jeste-

śmy bardziej związani ze sobą niż kiedykolwiek przedtem, mimo że w naszym życiu pozostała straszliwa pustka po śmierci Doe. Jednak trudno nam się także pogodzić z wyjazdem Liz.

Nie chcę wdawać się w szczegóły dotyczące mojej sprzeczki z siostrą. Wystarczy, jeśli powiem, że ukryłam przed nią pewne sprawy, więc teraz ona unika mego towarzystwa.

Muszę już kończyć, Ciociu Leatrice. Pracuję nad nowymi obrazami, które z przyjemnością kiedyś Ci pokażę.

Ucałowania, Harper

PS Nick chciałby dodać parę słów.

Na dole listu widniało kilka zdań napisanych wyraźnym pismem chłopca. Wykaligrafował duże, drukowane litery, gdyż nie nauczył się jeszcze pisanych znaków. Dopisał:

Kochana Ciociu Leatrice!

Jak się miewasz? Ja czuję się dobrze. Mama kupiła mi iguanę. Nazwałem ją Seymour.

Ściskam, Twój kochany cioteczny wnuk Nick

PS Naprawdę jestem kochany!

Uśmiechnęłam się, czytając dopisek Nicka, po czym oddałam list ciotce, która patrzyła na mnie wyczekująco. Kilkakrotnie pisałam do siostrzeńca, ale nie odpowiadał. Widok niewyrobitego pisma przypomniał mi, jak bardzo tęsknię za chłopcem.

- No i cóż? - spytała ciotka.

- Nie bardzo wiem, co chciałabyś ode mnie usłyszeć.

Mimo że nie dałam tego po sobie poznać, targały mną sprzeczne uczucia. Gdy czytałam list Harper, zaczęłam lepiej ją rozumieć. A króciutki dopisek Nicka sprawił, że zapragnęłam go zobaczyć, powrócić do roli ciotki i przyjaciółki, mimo że on nie chciał mieć ze mną nic wspólnego.

- Liz, jestem już zdziecinniałą staruszką - rzekła ciotka Leatrice - której rad zazwyczaj nie bierze się do serca, ale posłuchaj mnie uważnie. - Zerknęłam na ciotkę, wycierając usta chusteczką. - Stosunki między siostrami zazwyczaj są skomplikowane - tłumaczyła. - Widzisz, my też nie zawsze przyjaźniłyśmy się z twoją matką.

- Naprawdę? - spytałam zdziwiona, gdyż słyszałam o tym po raz pierwszy.

- Och, tak - odparła z miną świadcząca, że rozpamiętuje dawne dzieje. - Twoja mama potrafiła być naprawdę niezdolna - ciągnęła. - Oczywiście nie byłyśmy bliźniaczkami, nie musiałyśmy dzielić wspólnego pokoju, ale zawsze istniał między nami element rywalizacji, a nawet wrogości. Nie pamiętam, kto zaczął, ale chyba obie byłyśmy temu winne.

Wyznanie ciotki zupełnie mnie zaskoczyło. Matka zawsze była tak wyrozumiała, łagodna i miła. Zachęcała nas do przyjaźni i bardzo martwiło ją, że ja i Harper nie darzymy się siostrzanym uczuciem. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że uprzykrzała życie ciotce Leatrice.

- O ile pamiętam, byliście bardzo ze sobą związane - zauważyłam. - Jak się zbliżyłyście?

Ciotka wzruszyła ramionami.



- Właściwie nie wiem - odparła. - To stało się jakoś samo. Zapomniałyśmy o przeszłości, o zadawnionych urazach i żalach, które narosły przez lata, i dzięki temu pozostałyśmy przyjaciółkami aż do śmierci twojej matki.

Ja jednak nie byłam podobna do ciotki. Nie potrafię wymazać z pamięci faktu, że Harper mnie zdradziła, a tym bardziej, że uczynił to David. Może było we mnie więcej uporu niż u reszty członków rodziny.

- Ja i Harper nie będziemy przyjaciółkami - oświadczyłam ciotce.

Staruszka obrzuciła mnie surowym spojrzeniem, a po chwili westchnęła.

- Przykro mi to słyszeć, Liz - powiedziała z naganą. Później bardzo powoli wstała, trzymając się dla równowagi blatu stołu. - Muszę się teraz zdrzemnąć - oznajmiła, dając w ten sposób do zrozumienia, że wizyta dobiegła końca. Bez wątplenia była bardzo rozczarowana, że nie stanęłam na wysokości zadania. Pomogłam ciotce wdrapać się na górę do sypialni, a potem wyszłam o późnej popołudniowej godzinie.

W pewien czwartkowy wieczór prowadziłam zebranie kółka czytelniczego, które zawiesiło działalność pod moją nieobecność, więc teraz wszyscy byli zadowoleni, że możemy kontynuować spotkania. Powieść, której czytanie w tym tygodniu zaproponowała jedna z członkiń, opisywała tragiczny romans pomiędzy żołnierzem, poległym w czasie drugiej wojny światowej, a kobietą, która nie może o nim zapomnieć. Gdy usadowiłyśmy się na wygodnych sofach w świetlicy, jedząc pączki, odczytałam na głos fragment:

„Eleanor nigdy nie przestanie kochać Michaela, nawet po wielu, wielu latach. To uczucie bezbrzeżnej rozpaczyny znały niezliczone kobiety, które, tak jak ona, utraciły mężów. Ból przeszywał ją nagle, zatrzymując ruch na ulicach, przechodniów, wszelkie oznaki życia. Zapamięta Michaela na zawsze, gdyż

wspomnienia pozwalają połączyć się z umiłowanym, z którym nie można już złączyć się w uścisku".

Gdy skończyłam, wśród słuchaczek zapadła cisza. W powietrzu czuło się napięcie, każda z nas myślała o jakiejś najdroższej osobie, która odeszła. Jednak moje doświadczenie utraconej miłości było tak świeże, tak niedawne, że nie mogłam wysiedzieć na miejscu, więc przeprosiłam, że muszę na chwilę wyjść z sali.

- Dobrze się czujesz? - spytała troskliwie Valerie, sympatyczna, niemłoda już kobieta o macierzyńskim wyglądzie. Zapewniłam ją, że wszystko jest w porządku, i roztrzęsiona opuściłam pokój.

Wychodząc, słyszałam za sobą przytłumione głosy kobiet, z których jedna rzekła:

- Zmieniła się po tym wyjeździe, prawda?

Musiałam wziąć się w garść, bo już dłużej nie potrafiłam trzymać nerwów na wodzy. Tego wieczoru zakończyłam spotkanie kółka czytelniczego nieco wcześniej niż zwykle, by wybrać się na samotną przejażdżkę po mieście. Nadejście wiosny sprawiło, że zawsze śliczne Longwood Falls wyglądało jeszcze piękniej. Miasteczko nie leżało nad morzem, ale, w przeciwieństwie do Harper, jako dziewczynka nigdy nie złościłam się, że ugrzęzłam na prowincji zabitej deskami. Wręcz odwrotnie, rodzinne strony dawały mi poczucie bezpieczeństwa, ponieważ znałam tu każdy skrawek ziemi, a żaden skwerek, alejka czy elegancki pawilon na placu przed ratuszem nie kryły przede mną tajemnic. Dopiero po rozstaniu z Davidem zaczęłam się czuć w Longwood Falls jak osaczona.

Po powrocie do pustego domu położyłam klucze na stoliku w holu, a następnie pomaszerowałam do kuchni. Światelko automatycznej sekretarki migało czerwono, więc włączyłam odtwarzanie wiadomości, których właściwie

wcale nie słuchałam. Jednak nagle kuchnię wypełnił dźwięk znajomego głosu. Głosu Davida. Wstrzymałam oddech.

- Cześć, Liz - mówił cicho, z wahaniem. - Jesteś tam? - zapytał, oczekując cierpliwie, czy sprawdzam wiadomości i podniosę słuchawkę. - Chyba cię nie ma - ciągnął po paru sekundach. - Wiesz, ostatnio znalazłem rolkę filmu, którą wypstrykaliśmy na Hawajach. Zupełnie o nim zapomniałem. Zaniósłem ją do wywołania i dziś odebrałem zdjęcia. - Zamilkł na moment. - Boże, wyglądasz na nich tak ślicznie - ciągnął. - Podróż była wspaniała, prawda? - Przerwał ponownie, ale zaraz dodał: - To wariactwo, że ze sobą nie rozmawiamy. Mam ci tyle do powiedzenia, a tamtej nocy nie dałaś mi szansy. Proszę - zaklikał - zadzwoń, gdy wrócisz do domu. Tęsknię za tobą. - Później usłyszałam już tylko głuchoe buczenie i odgłos odkładanej przez Davida słuchawki.

Z lekkim sercem usiadłam przy kuchennym stole. Mnie również bardzo brakowało Davida, ale kiedy przyszło do wykrecania numeru telefonu, przypomniałam sobie obraz z pracowni Harper i dojmujące wspomnienie obłudy ukochanego. Ja też nie obeszałam się z nim wówczas najlepiej, ale nie widziałam innego wyjścia. Ostatecznie nie zadzwoniłam.

Dwa dni później David zatelefonował ponownie, tym razem kiedy byłam w domu, ale zmusiłam się, by nie odbierać. Spróbował jeszcze trzeci raz, lecz znów nie podniosłam słuchawki. Więcej już nie zadzwonił.

Mimo że mijały kolejne tygodnie, chodziłam nieustannie podenerwowana, a co gorsza, zaczęłam cierpieć na bezsenność. Jeśli udało mi się zdrzemnąć, śniłam o Davidzie, jego kasztanowych włosach opadających na oczy, szerokich plecach, lotniczej kurtce, którą nosił zimą. Wspominałam naszą pierwszą kolację w Scotto, kiedy rozmawialiśmy w nieskończoność. Nie mogłam również zapomnieć, jak pochylał się nad teleskopem i przyciskając oko do lunety, obserwował niebo.

Pewnego wieczoru, po zamknięciu biblioteki, moi współpracownicy do-  
kądś się spieszyli, więc nikt nie miał ochoty na drinka w Wodnym Młynie, ja  
jednak wzdrygałam się na myśl o pustym domu. Jeździłam po Longwood Falls,  
rozważając, czyby nie pójść do kina, ale zrezygnowałam, gdyż i tak nie mogła-  
bym się skupić. Wreszcie, gdy zataczałam już drugie kółko dookoła miastecz-  
ka, nieodparty impuls kazał mi wrócić do ciemnego, opustoszałego gmachu bi-  
blioteki. Po zaparkowaniu samochodu na zwykłym miejscu otworzyłam obro-  
towe drzwi własnym kluczem i weszłam do środka, rozglądając się po głów-  
nym holu. Zawsze lubiłam przebywać w tym budynku nocą, gdy połyskiwał  
ciemnym blaskiem wzmagającym jeszcze atmosferę spokoju i pustki.

Dziś wieczór poszłam prosto na trzecie piętro do archiwum prasowego.  
Po nastawieniu jednego z czasowych wyłączników światła, który natychmiast  
zaczął cicho tykać, zabrałam się do przeglądania grubych, oprawnych wolumi-  
nów starych Kronik Longwood Falls. Wreszcie znalazłam to, czego szukałam -  
tom zawierający numery z sierpnia 1965 roku. Nie znałam dokładnej daty,  
kartkowałam więc każdy egzemplarz, czytając nekrologi, aż wreszcie trafiłam  
na właściwy.

Przede mną leżał duży nekrolog z nagłówkiem „Maggie Thorpe, pły-  
waczka olimpijska, lat 36”. Matka Davida była dokładnie w moim wieku, gdy  
utonąła. Przystudiowałam cały tekst, ale to fotografia poniżej przykuła moją  
uwagę. Mimowolnie wzięłam gwałtowny oddech.

Zdjęcie przedstawiało medalistkę z sześciolatkiem - Davidem.  
Stali razem, matka i syn. Podniosłam gazetę do oczu, by dokładniej przyjrzeć  
się fotografii w przyćmionym świetle jarzeniówek. Na tle wód cieśniny matka  
obejmowała drobnego chłopczyka o potarganych włosach, obydwójce byli w  
strojach kąpielowych. David miał chude nogi, ale szerokie, proste plecy i moc-  
ne ramiona zapowiadały jego przyszłą siłę. Uśmiechał się nieśmiało, lekko

mrużąc oczy, podobnie jak trzydzieści pięć lat później. Wyglądał tak dziecięco, tak niewinnie, że zaparło mi dech w piersiach. Przecież wkrótce po zrobieniu tego zdjęcia miał się rozsypać cały jego świat i odtąd, próbując go posklejać, będzie nieustannie lornetował horyzont, a potem niebo. Przesunęłam palcem po twarzy chłopca na zdjęciu. Bezpowrotnie straciłam go, jak on stracił matkę.

Jak można tak po prostu zniknąć? - zastanawiałam się. Ludzie odchodzą, umierają, tak jak Doe opuściła Harper, ale także z powodu miłości czy nieumiejętności wybaczenia. Nie tylko David czuł się zagubiony, w rzeczywistości obydwójce byliśmy samotnymi duszami, dwiema planetami, obracającymi się w różnym tempie. Gdy tak siedziałam w ciszy opustoszałej biblioteki, patrząc na stare zdjęcie ukochanego, poczułam, że łza skapuje na poszarzały papier, a za nią następna i jeszcze jedna.

Wytarłam delikatnie stronę wierzchem dłoni, ale w tym momencie światło w korytarzu zgasło, pozwalając, bym bezgłośnie pożegnała się ze znikającym w ciemnościach wizerunkiem nieszczęśliwego chłopca. Spędziłam w archiwum całą noc, kuląc się na podłodze z zimnych kafelków, z kolanami przyściśniętymi do piersi. Łkałam cicho, aż wreszcie musiałam chyba zasnąć z wyczerpania, gdyż nic więcej nie pamiętam aż do chwili, gdy rano, delikatnym potrząśnięciem, obudził mnie stary, poczciwy George, który sprzątał bibliotekę od czasu, gdy byłam małą dziewczynką. Zerknęłam zdumiona na mężczyznę w zielonym uniformie, który trzymał w ręce szczotkę, a obok ustawił duży kubek na kółkach. Przez wysokie okna na końcu korytarza wpadało światło wczesnego poranka.

- Dzień dobry, panno Mallory - przywitał się zatroskanym głosem.

- Och, dzień dobry, George - odparłam z udawaną nonszalancją. - Musiałam tu zasnąć wczoraj w nocy. - Podniosłam się, przeciągając, jakby kierow-

niczki wypożyczalni co dzień spotykano na korytarzu smacznie śpiące w ubra-  
niu.

Wyszłam z biblioteki obrotowymi drzwiami, by ogrzać się w słońcu, jed-  
nak przed oczami miałam buzię sześciolatniego Davida, a potem twarz doro-  
słego mężczyzny. Uświadomiłam sobie, że muszę go odzyskać, przeprosić za  
obcesowe zachowanie. Wytłumaczyć się z pospiesznego wyjazdu, który unie-  
możliwił mu wyjaśnienia; wyznać, że powodował mną kompleks niższości  
wobec Harper, który zatruł całe moje życie.

Nie zważając, że oczy łzawiły mi po nocy spędzonej w bibliotece, wsia-  
dłam do samochodu i pojechałam na stację zatankować benzynę, żeby przebyć  
całą drogę do Stone Point bez zatrzymywania się. Przekraczałam wszelkie  
ograniczenia prędkości, gdyż musiałam go zobaczyć jak najszybciej; przyrzec,  
że wróciłam na dobre. W czasie jazdy rozkoszowałam się świadomością, że  
naprawdę wracam do siebie. Podobne uczucie ogarnęło mnie już kiedyś, gdy  
zakochałam się w Davidzie. Włączyłam radio i śpiewałam do wtóru starą roc-  
kową piosenkę, wyobrażając sobie, że pewnego dnia zatańczymy w jej takt,  
czując wzajemny dotyk, leciutkie ocieranie się bioder, wymieniając porozu-  
miewawcze spojrzenia.

Gdy wjechałam do Stone Point późnym popołudniem, skierowałam się  
prosto do Różowych Wrzosowisk, do „Gwiezdnego Pyłu”. Po drodze minęłam  
„Strzechę”, zaczęłam się więc zastanawiać, czy Harper z Nickiem są w domu i  
co porabiają. Może grają w „Detektywa”. Na myśl o siostrzeńcu ogarnęło mnie  
wzruszenie, ponieważ bardzo chciałam go zobaczyć, ale postanowiłam, że  
udobrucham go innym razem. Teraz liczył się tylko David.

Jechałam powoli przez Różowe Wrzosowiska z uczuciem niewysłowio-  
nej ulgi. Musiałam zatrzymać na chwilę samochód, żeby wziąć się w garść.  
Drzewa rozkwitały, natura okazywała się w pełnej krasie. Jeśli David przyjmie

mnie z powrotem, zamieszkać tutaj zgodnie z naszymi wcześniejszymi planami i będę mogła spacerować z nim tą alejką pod baldachimem z gałęzi. A gdzie są różowe wrzosowiska? Jakoś zapomniałam zapytać o to Davida. Prawie nie znałam tej okolicy, ale będziemy mieć mnóstwo czasu, by zwiedzać ją razem. Jeśli mnie przyjmie - powtarzałam sobie, nie byłam bowiem pewna, czy wciąż mu na mnie zależy.

Nie spostrzegłam samochodu pod obserwatorium, co oznaczało, że David gdzieś wyszedł. Odczułam zawód, ale postanowiłam poczekać. Gdy zaparkowałam, podeszłam pod okna, by zerknąć na drogie sercu mieszkanie, jednak mimo popołudniowej pory okiennice były zamknięte. Pospieszyłam do frontowych drzwi, ale nikt nie odpowiedział na moje pukanie. Wówczas przypomniałam sobie o prezencie Davida.

Sięgnęłam do kieszeni, by wyjąć pęk kluczy do biblioteki, samochodu i mojego mieszkania. Pomędzy nimi krył się malutki złoty kluczyk, którego jeszcze nigdy nie miałam okazji użyć. Ostrożnie oddzieliłam go od reszty i włożyłam do zamka, a drzwi otwarły się gładko. Gdy weszłam do salonu, przeżyłam nieopisany wstrząs.

Wszystkie meble i rzeczy Davida zniknęły. Pokój był całkiem pusty, a podłogę pokrywała cienka warstwa kurzu i pyłu. Prawdziwego, a nie gwiazdowego. Nie wiem, jak długo rozglądałam się wokół z otwartymi ustami, dopiero dźwięk męskiego głosu wyrwał mnie z oszołomienia.

- David? - spytałam odruchowo, odwracając się czym prędzej.

Przede mną stał nieznajomy, starszy mężczyzna w kombinezonie, z parą ogrodowych nożyc opartą na ramieniu.

- Czy mogę pani w czymś pomóc? - zagadnął.

- Co się stało z Davidem? - spytałam z trudem trzymając nerwy na wodzy. - Davidem Fieldsem.

- Cóż - odrzekł, drapiąc się w podbródek utyłanymi palcami. - Jestem tylko ogrodnikiem, pani rozumie, ale jeśli chodzi o tego pana, który mieszkał w tym domku... - Zaczerpnął powietrza, próbując przypomnieć sobie szczegóły.

- Tak, o niego właśnie chodzi - naciskałam. - Wie pan, gdzie jest?

- Wyprowadził się - ciągnął ogrodnik. - Nie wiem dokąd. Pan Boyd wspominał coś o Europie, a na razie pozwolił mi przechowywać tu narzędzia. Pan Boyd zamierza wynająć domek nowym lokatorom - młodej parze aż z Teksasu. Świeżo po ślubie. Pewnie potrzebują go na miesiąc miodowy. Świetne miejsce dla nowożeńców, nie sądzi pani? Dość romantyczne, na swój sposób.

Półprzytomna przysiadłam na podłodze, nie wiedząc, co robić i co o tym wszystkim myśleć. Zbierało mi się na mdłości.

- Dobrze się pani czuje? - dopytywał się ogrodnik, ale nie mogłam wydobyć słowa. Potrząsnęłam głową, wstając powoli i wybiegłam z domku.

Mijały miesiące, a ja nikomu nie opowiedziałam o tamtej wizycie w Stone Point. Ukrywałam rozpaczliwą rezygnację, jaka ogarnęła mnie na wieść, że David odszedł na dobre. Im mocniej dusiłam w sobie smutek i rozgoryczenie, tym większy narastał we mnie niepokój. W Longwood Falls lato ustąpiło jesieni, w powietrzu czuło się chłód, który zapowiadał rychłe nadejście zimy. Niedługo samotność zacznie mi jeszcze bardziej doskwierać, jak zawsze, gdy przychodziły mrozy i ludzie szukali schronienia w ciepłe własnych domów.

Obawiałam się, że jeśli jeszcze jedną zimę spędzę jak pustelnica, to mogę zacząć kurczyć się, aż zniknę zupełnie, poszłam więc na niewyobrażalne ustępstwo: przyjąłam zaproszenie na kolację od Jeffa Hardesty'ego.

Od czasu, gdy wrócił do Longwood Falls, wpadł kilka razy do biblioteki. Ucinaliśmy sobie krótkie, serdeczne pogawędki o życiu. W Buffalo ożenił się z



koleżanką po fachu, a ich rozwód przebiegł w przyjacielskiej atmosferze, nie pozostawiając wzajemnej urazy. Nie mieli dzieci. Kiedy dopytywał się o moje przeżycia, wymigiwałam się, mówiąc głównie o pracy, aż wreszcie przyciśnięta do muru, opisałam pokrótce pobyt w Stone Point i związek z Davidem. Listopad dobiegał już końca, a David od dziewięciu miesięcy nie dawał znaku życia, więc uśmiechnęłam się zachęcająco, gdy Jeff wpadł do biblioteki w czasie przerwy obiadowej. David mieszkał gdzieś w Europie, może nawet zakochał się w jakiejś kobiecie. Zwiedzał świat, a ja tkwiłam tu, gdzie zawsze. Musiałam jakoś się od niego uwolnić, bo w przeciwnym razie przyjdzie mi spędzić resztę żywota na rozpamiętywaniu jedynej, prawdziwej miłości, którą utraciłam. Zgodziłam się zatem zjeść kolację z mężczyzną, z którym byłam w przeszłości związana i którego nigdy nie kochałam. Najwyraźniej go nie straciłam.

Pod koniec wieczoru, który upłynął niepostrzeżenie, ale też i niezbyt ekscytująco, Jeff zapytał, czy umówimy się ponownie. Wpatrywałam się w tego przyzwoitego, choć nieco nudnawego człowieka, stojącego przede mną w lekko pogniecionym brązowym garniturze i w krawacie, którego kiedyś znałam. Wspomnienia dawno się zatarły. Pomyślałam o wrażeniach po pierwszej randce z Davidem, który ożywił całe moje ciało. Teraz czułam się jedynie przyjemnie zmęczona. Odparłam Jeffowi, że z przyjemnością jeszcze się z nim spotkam, nie udawałam jednak, że ta perspektywa nadzwyczaj mnie podnieca. Jemu wszakże najwyraźniej to nie przeszkadzało.

- Dlaczego właściwie zerwaliśmy ze sobą? - zapytał, gdy staliśmy na oświetlonym ganku przed moim domem, a śmy latały nam nad głowami.

- Nie wiem - skłamałam, gdyż zdawałam sobie sprawę, że po prostu się nie kochaliśmy. Musiał o tym pamiętać, ale albo udawał, że to nieprawda, albo nie robiło mu to różnicy. Może z czasem Jeff nabrał bardziej praktycznego po-

dejszcia do związku z kobietą, uznając, że liczy się nie tylko pełne namiętności, głębokie uczucie, ale także wygoda.

Zaczełam regularnie widywać się z Jeffem. Jak dawniej, spotykaliśmy się pod koniec tygodnia, zazwyczaj w sobotę wieczór. Jedliśmy kolację w miejscowej restauracji, a potem szliśmy do kina, czasem gotowaliśmy coś w domu, żeby następnie oglądać filmy na wideo. Zawsze razem wybieraliśmy tytuły, stojąc obok siebie w jedynej wypożyczalni w Longwood Falls, by znaleźć kasety, która spodoba się nam obydwójgu. Wspólne wybieranie filmów wideo w sobotni wieczór stanowiło charakterystyczny rytuał par, przychodziły tu zarówno zakochane nastolatki i dwudziestoletni narzeczeni, jak i stare, dobre małżeństwa z długim stażem.

Ja i Jeff mogliśmy z łatwością się do nich upodobnić jako kolejna, nie najmłodsza już para, która postanowiła się ustatkować. Kobieta i mężczyzna, szukający w sobotni wieczór rozrywki, która zapełni trawiącą ich pustkę. Wypożyczyliśmy kasety, a po kolacji rozsiadaliśmy się na sofie, by obejrzeć film. Gdy zostawaliśmy u mnie, zdarzało się, że Jeff zasypiał na kanapie, a ja przykrywałam go wełnianym kocem i tak spędzał noc.

Pewnego wieczoru, gdy Jeff drzemał na dole, a ja leżałam już w sypialni, przebudziłam się, słysząc, że ktoś mnie woła. W mrocznym pokoju dojrzałam stojącego obok mojego łóżka Jeffa.

- Czy mogę do ciebie dołączyć? - wyszeptał w ciemnościach. - Tyle czasu minęło, Liz.

Zerknęłam na niego. Jeffowi zależało na mnie, nigdy nie zadałby mi takiego bólu jak David. Może nie był podniecający, nie miał w sobie takich pokładów namiętności i smutku, ale cóż dobrego mi one przyniosły?

Przytaknęłam bezgłośnie, na co Jeff wśliznął się do łóżka koło mnie, jak niegdyś. Pachniał snem i, co dziwne, bielizniarką, swojskim, domowym aro-

matem, niezbyt podniecającym, ale kojącym. To dobry człowiek, powtarzałam sobie, gdy objął mnie i zaczął całować twarz, kark, włosy.

- Liz - szepnął - nie masz pojęcia, jak bardzo tego pragnąłem. Odkąd się wyprowadziłem, nie przestałem o tobie myśleć.

Czy miało znaczenie, że ja o nim zapomniałam? Że z naszej dwójki jemu bardziej zależało na tym związku? Wmawiałam sobie, że możemy być razem, a rzadko miłość obydwójga partnerów jest obopólna, jak Davida i moja.

Rano obudziłam się w ramionach Jeffa. Gdy otworzył oczy, uświadamiając sobie, gdzie jest, twarz rozjaśnił mu uśmiech. Wyraźnie bardzo się cieszył, że znów jesteśmy razem. Jednak mnie szczęście jakoś ciągle wymykało się z rąk, wiedziałam bowiem, że nie znajdę go w ramionach tego wyrozumiałego prawnika. Zmarnowałam jednak swoją szansę, bez nadziei na nową, więc przytuliłam go, moszcząc się wygodniej w pościeli.

Tygodnie mijały, a mnie i Jeffa znowu zaczęto uważać za parę. Zapraszano nas razem na przyjęcia, wykupiliśmy nawet wspólny abonament w teatrze w Albany, godzinę jazdy stąd. Przyjaciele życzyli mi jak najlepiej, zachwyceni, że znów jesteśmy razem. Śmieszne, że ludzie cieszą się czyimś szczęściem, nawet jeśli ów człowiek nie jest znowu taki szczęśliwy. Wiedziałam, że nigdy nie pokocham Jeffa, ale byłam zadowolona, że znajomi mają mnie za wniebowziętą. Wmawiałam sobie, że może kiedyś złudzenie magicznym sposobem stanie się rzeczywistością.

Pewnego wieczoru, gdy po skromnej kolacyjce sadowiliśmy się przed telewizorem, by obejrzeć stary film z Katharine Hepburn, Jeff niespodziewanie ujął mnie za rękę, przybierając tak poważną minę, że poczułam się zaniepokojona. Wyświetlały się już tytułowe napisy, ale Jeff miał najwyraźniej coś ważnego do powiedzenia.

- Liz, posłuchaj - zaczął - jak ci już mówiłem, jestem bardzo rad, że dobrze się między nami układa. Jednak widzę, że boisz się bardziej zaangażować. Nie dziwię ci się, bo przecież już raz nam się nie udało. - Wziął głęboki oddech, wyraźnie to wyznanie nie przychodziło mu łatwo. - Prawie o tym nie rozmawialiśmy, ale wiem, że jeszcze nie doszłaś do siebie po rozstaniu z Daniłem, czy nie tak się nazywał?

- Davidem - poprawiłam łagodnie.

- Racja, Davidem - podjął Jeff. - Mam jednak nadzieję, że pewnego dnia zapomnisz o nim i zaczniesz poważnie myśleć o naszym związku. Chcę dla ciebie jak najlepiej.

- Jeff - odrzekłam - jesteś bardzo miłym człowiekiem.

- Nie chcę być miły - powiedział szybko. - Nikt by nie chciał. Oczywiście dobrze jest być miłym, ale liczę, że łączy nas coś więcej. Pragnę, żebyś cieszyła się na mój widok, gdy wieczorem wracam z pracy, z radością budziła się rano u mego boku. Marzy mi się, że kiedyś weźmiemy ślub i spędzimy razem resztę naszego życia. Myślisz, że to w ogóle możliwe?

Zerknęłam na niego. Czy to możliwe? Wszystko może się zdarzyć - pomyślałam.

- Tak - odparłam cicho, bezbarwnym głosem.

- No to wspaniale - powiedział.

Nagle dostrzegłam, że księżyc lśni wyjątkowo jasno tej nocy, a jego odbite światło dosłownie wlewa się przez okna pokoju. Była właśnie pełnia, więc wszystkie cienie, krater i doliny znaczące jego srebrną tarczę widać, było jak na dłoni. Cóż za oszałamiające zjawisko - pomyślałam, przyglądając się z zachwytem satelicie, który zsyłał swój blask na mnie i Jeffa, a także, gdzieś na innym kontynencie, na Davida. Gdyby David był tutaj, z pewnością stałby te-

raz wpatrzony w jego lśniące oblicze. Stalibyśmy razem, długo podziwiając bez słowa ten nieziemski widok.

- Spójrz na księżyc - nakazałam Jeffowi, który posłusznie obrócił głowę.

- O co chodzi?

- O co chodzi?

- Właśnie - odparł.

- Czyż nie jest cudowny? - spytałam. Zastanawiał się chwilę.

- Wygląda jak zwykle, Liz - odpowiedział, wzruszając ramionami. - Coś przeoczyłem? - spytał po chwili. - To znaczy jakąś anomalię czy coś takiego? Jakieś niezwykle zjawisko?

Potrząsnęłam głową.

- Nie - powiedziałam wreszcie, bardzo cicho. - Nic specjalnego, nieważne.

Odwrócił się od okna, patrząc w telewizor.

- Chodź do mnie - powiedział. - Mam już dość gwiazd. Film się zaczyna.

Usiedliśmy, by obejrzeć kasetę. Trzymaliśmy się za ręce.

## Rozdział 9

Od mojej bytności w Stone Point minął już ponad rok, złożony z długich miesięcy, może nie tak samotnych jak niegdyś, ale bardzo niespokojnych. Nie żyłam już jak pustelnica, związałam się na stałe z oddanym i troskliwym kochankiem. Odczuwałam jednak pewien niedosyt, ponieważ nie obdarzałam Jeffa uczuciem. Wszyscy szczerze pochwalali nasz związek, widząc w nim rozsądne wyjście dla dwojga ludzi, którzy długo byli sami, a teraz znaleźli towarzystwo na dalszą drogę życia.

Kiedy jednak siedziałam z Jeffem w jakiejś restauracji czy w teatrze lub czekałam na niego po pracy w bibliotece, czułam się samotna jak nigdy przedtem. Próbowałam sobie wtedy wyobrazić, że właśnie jestem z Davidem lub że to na niego czekam. David jednak dawno już odszedł z mojego świata.

Gdy nasz związek przetrwał już sześć miesięcy, Jeff uznał, że musimy uczcić tę rocznicę w barze „Pod Młynem Wodnym”. Nie miałam wielkiej ochoty na świętowanie, ale jemu najwyraźniej na tym zależało, więc siedzieliśmy z tyłu lokalu, przy chwiejącym się stoliku, wznosząc toasty szampanem.

- Za wspaniałe pół roku - powiedział Jeff, gdy unieśliśmy kieliszki, i zaraz dodał: - Cieszę się, że cię odzyskałem.

Stuknęliśmy się, a czysty dźwięk zabrzmiał jak dzwon, sygnalizujący otwarcie nowego rozdziału w moim życiu. Nagle nieprzyjemnie zakręciło mi się w głowie, odstawiłam więc kieliszek przed pociągnięciem obowiązkowego łyeczka. Ręka zaczęła mi drżeć tak mocno, że odrobina szampana się przelała. Bałam się, że zaraz wybuchnę płaczem.

- Dobrze się czujesz, Liz? - spytał Jeff, a gdy nie odpowiadałam, pochylił się, by ująć mnie za rękę.

W tej chwili zrozumiałam, że nie mogę się więcej z nim spotykać, gdyż to nie byłoby w porządku. Ostrożnie powiedziałam o tym Jeffowi, po wielokroć go przepraszając.

- Sądziłem, że dobrze się nam układa - rzekł, otrząsnąwszy się z szoku. Odstawił kieliszek.

- Tak, Jeff - odparłam - ale czy „dobrze” ci wystarcza? Podobnie było poprzednim razem, prawda? Tyle że wówczas byłeś tego samego zdania co ja, a teraz chyba nie.

- Nie wiem, co znaczy „wystarcza” - powiedział zdecydowanym tonem. - Wiem tylko, że potrafiliśmy się dogadać. Tym razem dobrze nam szło. Nie zapomnij, że nie stajemy się młodszy.

Próbowałam wyjaśnić mu, jak bardzo mi przykro, przekonać, że znajdzie sobie kogoś innego. Jeff jednak nie chciał dłużej o tym dyskutować, sięgnął po portfel, wyjął kilka banknotów i rzucił je na blat. Oświadczył, że musi już iść, odwrócił się i odszedł, zostawiając mnie przy stoliku z pełnym kieliszkiem musującego szampana.

Długo czułam się winna z powodu Jeffa; gdy mijaliśmy się na mieście, kiwał mi tylko głową na powitanie, ale nigdy nie przystanęliśmy, żeby pogawędzić. Któregoś dnia dostrzegłam go przez okno w restauracji, gdzie siedział z ciemnowłosą kobietą o pięknym uśmiechu, notariuszką z tej samej kancelarii. Chichotali nad wielkim talerzem grillowanej cukinii, wyglądając na bardzo szczęśliwych.

Myślami nieustannie wracałam do Davida, przywołując w pamięci wszystkie wspólne chwile. Wspominałam także Harper i Nicka, o których donosiła mi ciotka Leatrice, ale ploteczki nie mogły zastąpić bezpośredniego kontaktu z siostrą i jej synkiem.

Pobyty w Stone Point zdawał mi się częścią jakiegoś dawno minionego snu. Czy rzeczywiście mieszkałam w „Strzesze”? Czy naprawdę zakochałam się w Davidzie Fieldsie pod kopułą obserwatorium? Tak, to nie moje urojenia, a najprawdziwsza prawda. Przeszłość nie miała jednak już wpływu na moje życie w Longwood Falls.

Pewnego wrześniowego popołudnia, w piękny, słoneczny dzień, kiedy wróciłam do domu ze sklepu spożywczego, ujrzałam, że na podjeździe stoi czarna błyszcząca limuzyna. Tylne drzwi otwały się i z samochodu wysiadła Harper, co zdziwiło mnie tak bardzo, że omal nie upuściłam wszystkich zakupów.

Zmiany, jakie zaszły w niej od czasu, gdy widziałyśmy się po raz ostatni, osiemnaście miesięcy temu, były zadziwiające. Włosy jej urosły, tak że miałyśmy teraz podobne fryzury, twarz się zaokrągliła, nabrała rumieńców i zdrowego wyglądu. Na sukienkę w kolorze chabrowych narzuciła blezer, a całość uzupełniał prosty sznurek onyksowych paciorków.

- Harper - odezwałam się, próbując zachować spokój - co ty tu robisz?

- Przyjechałam, żeby ci wręczyć zaproszenie - odparła. Sięgnęła do kieszeni zakietu, z której wyciągnęła kopertę. Po rozłożeniu kartki ujrzałam rdzawy monogram wytłoczony na kremowym, czerpanym papierze.

SERDECZNIE ZAPRASZAM

NA WERNISAŻ

NAJNOWSZYCH PRAC HARPER MALLORY,

W NIEDZIELĘ, 18 WRZEŚNIA, GODZINA 16.

W PRACOWNI ARTYSTKI W „STRZESZE”,

STONE POINT, NOWY JORK

- To przecież jutro - odezwałam się zakłopotana. - Nie mogę tak wszystkiego zostawić i...



- Proszę cię - rzekła siostra - spróbuj. Proszę.

- Przejechałaś taki kawał drogi tylko po to, żeby mi wręczyć zaproszenie?

- spytałam.

- Bardzo mi zależy na tym, żebyś była. Nie wiesz, jak bardzo - nalegała.

Nie odpowiedziałam. Stałyśmy przez chwilę, aż Harper przerwała milczenie. -

Siedziałam w samochodzie przez wiele godzin. Mój kierowca również. Czy zaproponujesz nam chociaż coś zimnego do picia?

Skinęłam głową i poszłam przywitać się z kierowcą, którego już kiedyś spotkałam. Na moje zaproszenie odparł, że niczego nie potrzebuje i woli zostać w aucie. Otworzyłam zatem drzwi, by wpuścić do środka Harper, która pierwszy raz po wielu latach wstępowała w progi rodzinnego domu.

Stała przez chwilę, rozglądając się zdumiona.

- Zawsze mi się zdawało, że tu jest ciasno i pospolicie, a to uroczy dom.

Bardzo ładnie wszystko urządziłaś, Liz.

Weszłyśmy do kuchni, gdzie zaczęłam wypakowywać prowianty.

- Zrobiłam, co mogłam - odrzekłam. - Wprowadziłam niewiele zmian.

- Nie, naprawdę, włożyłaś w to serce - powiedziała półgłosem, a ja wiedziałam, że ma rację. Przez lata wkładałam serce w dom i pracę bibliotekarki, zamiast oddać je ukochanemu mężczyźnie.

Gdy umieściłam sprawunki w odpowiednich miejscach, usiadłyśmy na zalanej światłem werandzie. Było trochę chłodno. Nalałam Harper do kubka świeżego jabłecznika, a ona usadowiła się na wyściełanym krześle, pociągając kilka długich łyków, zanim zaczęła mówić.

- Są pewne sprawy, o któryś powinnaś wiedzieć - odezwała się wreszcie.

Czekałam na dalszy ciąg, nie mając pojęcia, do czego zmierza. - Jakoś nie było okazji, żeby ci wyjaśnić, czemu zerwałam z Davidem - rzekła.

- Mówiłaś, że odreagowywałaś rozwód - powiedziałam.

- Tak - przyznała - ale to nie wszystko. Przestałam się z nim widywać...  
bo to cudowny człowiek.

Spojrzałam na nią.

- Bzdury opowiadasz.

- Może tobie się tak wydaje - odrzekła - ale ja uznałam, że nie zasługuję na takiego mężczyznę jak David. Czułego i troskliwego, który naprawdę umie słuchać. Mówiłam ci już, że kiedy go poderwałam, chodziło mi tylko o seks, nic więcej.

- Nie muszę tego wysłuchiwać - próbowałam jej przerwać, jednak bez skutku.

- Owszem, musisz. Rzecz w tym, że gdy zaczęliśmy się widywać, poznałam go bliżej i zrozumiałam, jaki jest wyjątkowy, a to mnie przeraziło.

- Dlaczego? - spytałam, zdezorientowana.

- Jak pewnie zauważyłaś, moje poprzednie związki nie były zbyt udane - tłumaczyła Harper. Sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała zalać się łzami, ale nie widziałam powodu do tak gwałtownej reakcji. - To ty zawsze byłaś tą dobrą, Liz, nie ja - ciągnęła. - Przez całe dzieciństwo musiałam znosić uwagi rodziców, ciotki Leatrice, nauczycieli, właściwie wszystkich, jaka z ciebie odpowiedzialna, rozsądna i porządna dziewczyna. Wzór wszelkich cnót. Ty byłaś szlachetną bliźniaczką, więc ja, na zasadzie przeciwieństwa, musiałam być tą złą. - Odetchnęła głęboko, po czym dodała: - Uznałam, że nie zasługuję na dobrego mężczyznę. Osłupiałam.

- Nie przyszło mi do głowy, że w ogóle zwracałaś na mnie uwagę, Harper - rzekłam cicho.

- Nie mogłam się od ciebie uwolnić, Liz - odparła. - Wiedziałam, że ciągle nas porównują.

- Sądziłam, że kompleksy to mój problem - powiedziałam.

- To działało w obie strony - ciągnęła. - Musiałam wyrwać się z Longwood Falls, w liceum uchodziłaś za tak bystrą, ambitną i odpowiedzialną, że nawet nie próbowałam ci dorównać. Zawiodłam mamę i ojca, bo nie byłam taka jak ty.

- To nie tobą byli rozczarowani - protestowałam - tylko mną! Byli z ciebie dumni, Harper. Wiem to na pewno. - Zrozumiałam jednak, że można różnie interpretować przeszłość. Żadna z nas nie знаła całej prawdy, bo nie ma absolutnej prawdy, tylko wiele równouprawnionych punktów widzenia.

Harper odstawiła kubek.

- Wiem na pewno - odparła - że David nie był ze mną szczęśliwy.

- Przestań, miał obsesję na twoim punkcie - zachnęłam się. - Kiedy go zostawiłaś, czuł się zdruzgotany.

Harper potrząsnęła przecząco głową.

- Gdyby spojrział prawdzie w oczy, zrozumiałby, że odczuł ulgę, gdy z nim zerwałam. Rozsierdziło go, że został porzucony. Z powodu wypadku matki miał wrażenie, że historia się powtarza. Załamuje go rozstanie z każdą kobietą, tu nie chodziło akurat o mnie. - Pokiwała głową. - Zupełnie do siebie nie pasowaliśmy i on doskonale o tym wiedział. Różniliśmy się we wszystkim. Tak, myślę, że rzeczywiście jest mniej skomplikowany ode mnie, ale to nie zarzut. Po prostu on nie wymaga tak wiele od życia. - Uśmiechnęła się smutno. - Ja mierzę wysoko - wyznała. - Zawsze tak będzie.

Musiałam jej przytaknąć. Siedziałyśmy w milczeniu, a ja próbowałam ogarnąć sens słów siostry. Nie miałam pojęcia, że Harper nabawiła się kompleksu niższości wobec mnie. Nie znałam też prawdziwej przyczyny rozstania z Davidem. Byłam wstrząśnięta, lecz nie miało to żadnego znaczenia. To już przeszłość. Liczyło się, czy zdołam jej wybaczyć, czy potrafimy puścić w niepamięć złe wspomnienia i zostać przyjaciółkami. Kiedy tak siedziałyśmy,

uświadomiłam sobie, że odradza się pomiędzy nami więź. Przecież ja i Harper znałyśmy się od urodzenia, a nawet wcześniej.

- Jeśli chodzi o twój wernisaż - powiedziałam cicho - nie mam co na siebie włożyć.

- A więc będziesz? - zapytała, a ja potaknęłam.

Harper wyprowadziła mnie z równowagi, przyjeżdżając sobie w przeddzień wystawy przekonana, że rzucę wszystko, by wrócić z nią do Stone Point. Zirykowało mnie zwłaszcza to, że się nie pomyliła. Byłam przecież dobrą bliźniaczką, zgodziłam się więc wyruszyć do Stone Point dziś wieczorem, żebyśmy zdążyły na jutrzejsze otwarcie. Nie mogąc się już doczekać spotkania z Nickiem, przemyślałam, jak dojść z nim do porozumienia. Jeśli pogodzimy się z Harper, prędzej czy później i tak będę musiała odwiedzić Stone Point. Spróbuję więc zapomnieć o roli tego miasteczka w moim życiu, o nieuchronnych skojarzeniach z Davidem. Najlepiej zacząć od razu.

Gdy poszłam na górę spakować torbę podróżną, Harper kręciła się po domu, oglądając pokoje, w których spędziła dzieciństwo. Wkrótce usłyszałam jej pokrzykiwania.

- O Boże, Liz! - wołała. - Spójrz tylko na to.

Zeszłam do spiżarni, gdzie Harper wskazywała na wewnętrzną futrynę. Znalazła tam ledwo widoczne, stare znaki zrobione ołówkiem, którymi mama odkreślała, ile urosłyśmy. Przy każdej parze kreseczek pisała H, L i datę. Wiele lat temu zaznaczała na drzwiach miękkim grafitowym wkładem nasze dzieciństwo, naszą młodość. Zdumiałam się, jak szybko minął ten czas. Kiedy dorosłyśmy stąd - dotąd? Już nie byłyśmy dziewczynkami, które nie chciały mieć ze sobą nic wspólnego, córeczkami Mallorych, oddalającymi się od siebie z każdym centymetrem.

Harper złapała ołówek.

- Stań tutaj - zakomenderowała, a ja posłusznie wyprostowałam się, dotykając głową drzwi. Narysowała nowy znaczek, wyżej niż wszystkie pozostałe, a ja zrobiłam krok w bok, by się przyjrzeć. Później wzięłam ołówek od siostry, a ona stanęła na moim miejscu. Zazaczyłam na framudze króciutką kreskę, tuż nad czubkiem jej głowy, opatrując ją datą. Jak zawsze linie były dokładnie na tej samej wysokości. Potem wpatrywałyśmy się ze skupieniem w drzwi spiżarni, podziwiając, jak bardzo urosłyśmy.

Później, podróżując sześć godzin na tylnych siedzeniach limuzyny Harper, obgadywałyśmy wszelkie możliwe tematy, nadrabiając stracony czas. Wracałyśmy do starych historyjek, plotkowałyśmy o sąsiadach, wśród których dorastałyśmy, o naszych nauczycielach i ich dalszych losach. Wspominałyśmy rodziców - jak ojciec śpiewał nam na dobranoc kołysanki głębokim, dźwięcznym głosem.

Rozmawiałyśmy o życiowych rozczarowaniach, a także o chwilach triumfu. Skrętnie omijałyśmy jednak kwestię Davida, zamiast tego chichocząc z dawnych, bezpieczniejszych rzeczy. Ciotka Leatrice byłaby zachwycona, mogąc nas teraz zobaczyć. Gdy się uspokoiłyśmy, Harper zaczęła mi opowiadać o swojej tęsknocie za Doe, o tym, jaka była jej córeczka.

- Wydawała się miniaturową wersją mnie samej, ale pod niektórymi względami bardzo się różniłyśmy - rzekła. - Czasem, zupełnie jak Carlo, była nieobecna duchem. Dziecko zawsze ma coś z obydwójga rodziców, nigdy nie jest kopią tylko matki lub ojca. Przedtem sobie tego nie uświadamiałam, więc po rozwodzie uznałam, że Doe jest tylko moją córeczką. - Zamilkła na chwilę. - Co oznacza, że Nick jest synkiem Carla, tyle że jego przeważnie nie było, więc chłopiec radził sobie sam. Czuję wyrzuty sumienia i staram mu się zaniebdania wynagrodzić, ale to musi potrwać.

- Jak idzie Nickowi? - zapytałam.

- Dobrze - odparła. - Z trudem, bo z trudem, ale sobie radzi, jak to dziewięciolatek, który uważa, że musi pełnić w domu rolę mężczyzny.

Dziewięciolatek. Aż tak urósł?

- Miałaś na niego bardzo dobry wpływ - ciągnęła Harper. - Uwielbia czytać, wiesz o tym? Zamiast spać, siedzi w pokoju do późna z nosem w książce. Trzyma się całkiem nieźle - zawahała się. - Od wypadku Doe minęło półtora roku - wyjaśniła. - I mniej więcej tyle samo od twojego wyjazdu.

- Czy kiedyś mi przebaczy? - zapytałam.

- Życie bywa długie - odparła. - Niekiedy. - Zapadła przejmująca cisza. Harper sięgnęła do torebki, grzebiąc w niej przez dłuższą chwilę. Sądziłam, że wyjmie papierosa, gdyż w chwilach zdenerwowania zazwyczaj paliła. Jednak zamiast tego wyciągnęła landrynkę, którą rozpakowała z celofanu i włożyła sobie do ust.

- Nie palisz? - spytałam.

- Byłam ciekawa, kiedy zauważysz - odparła. - Rzuciłam siedem miesięcy temu pod wpływem nalegań Nicka.

- Zuch chłopak - powiedziałam.

- Przyszedł do mnie z bardzo poważną miną, oświadczając, że stracił już siostrę, właściwie nie ma ojca i nie chce, żebym ja też go zostawiła. - Głos drżał jej ze wzruszenia. - Wtedy paliłam po raz ostatni. Po prostu wyrzuciłam wszystkie papierosy do śmieci. Nie było mi łatwo - ciągnęła - ale musiałam. Synek bardzo mnie potrzebuje.

- To prawda - odparłam. Jechałyśmy jakiś czas w milczeniu. Wreszcie jednak przerwałam ciszę.

- Powiedz mi, Harper, czego tak naprawdę pragniesz?

- Ja? - odrzekła. - Może trudno w to uwierzyć, bo oświadczyłam ci, że mierzę wysoko, ale w gruncie rzeczy, przynajmniej w kwestiach uczuciowych, wystarczy mi niewiele. - Zapatrzyła się na mijane za oknem drzewa.

- Czy chcesz się jeszcze zakochać? - nalegałam. - Myślisz, że z kimś ci się ułoży? Z kimś właściwym?

Siostra uśmiechnęła się ze znużeniem.

- Może kiedyś - odparła. - Musi jednak minąć wiele czasu, zanim w ogóle zacznę się zastanawiać nad sprawami sercowymi. Na razie najważniejsza dla mnie jest pamięć o Doe, mojej malutkiej córeczce.

Głos jej się załamał, na moment ukryła twarz w dłoniach. Nie przytuliłam jej, bo chyba tego nie chciała. Harper przywykła do takich chwil, a miała ich przed sobą wiele.

Wyobraziłam sobie siostrę, jak idzie aleją prowadzącą na wzgórze w Stone Point, gdzie zginęła Doe. Teraz stoki przykryte są zwiędłymi liśćmi, w których codziennie turlają się dzieciaki. Wiele się zmieniło, odkąd odwiedziłam Stone Point półtora roku temu. Śniegi stopniały, znowu spadły i ponownie się rozpuściły. Liście opadły z drzew. Ludzie otwierali nowe rozdziały w swoim życiu. Ja też przeszłam metamorfozę, aby w końcu powrócić do dawnej osobowości. Wciąż byłam kierowniczką biblioteki w Longwood Falls, ograniczona egzystencją, którą wiodłam tyle lat. A może jednak nie byłam już taka sama jak dawniej? Czy intensywne przeżycia nie pozostawiają nieodwracalnych zmian? Spotkanie z Davidem przeobraziło mnie bezpowrotnie, dzięki niemu stałam się inną osobą.

Zapadł już zmierzch, gdy przybyliśmy do „Strzechy”, gdzie powitali mnie Tom i Jeannette. Służba nie zachowywała się już z pełną rezerwą sztywnością, a całe gospodarstwo zmieniło się, zyskując prawdziwie domową atmosferę.

- Czy mogę pójść na górę, żeby zobaczyć się z Nickiem? - spytałam, na co Harper przystała od razu. Szłam coraz szybciej, niemal biegnąc do pokoju chłopca. Przez uchylone drzwi dostrzegłam siostrzeńca siedzącego na dolnej pryczy piętrowego łóżka z nosem w jednej z tych kieszonkowych powieści z okropną okładką. Zbliżyłam się do niego bardzo ostrożnie, podobnie jak przy pierwszym spotkaniu.

- Cześć, Nick - zagadnęłam.

Gdy podniósł głowę, skoczył na równe nogi, zdumiony moim widokiem.

- Ciocia Liz? - spytał.

Chłopiec znacznie urósł i zeszcupłał. Jego twarz nabrała dojrzałości, zdradzając, że gdy dorośnie, będzie równie przystojny jak ojciec. Ze ścian zniknęły kolorowe obrazki dżungli, ich miejsce zajęły plakaty przedstawiające rajdowe samochody i koszykarzy. Na stoliku koło łóżka dostrzegłam kawałek lawy, o którą poprosił, gdy wyjeżdżałam z Davidem na Hawaje.

- Po co przyjechałaś? - zapytał, gdy otrząsnął się już z oszołomienia i przypomniał sobie, że jest na mnie wściekły.

- Twoja mama zaprosiła mnie na wernisaż.

- Aha, więc nie zostajesz - rzekł.

- Nie, mam swoje życie w Longwood Falls - wyjaśniłam. - Pracę, dom. Nietrudno o tym zapomnieć. - Zawahałam się. - Przytrafiło mi się to, gdy tutaj mieszkałam.

- Muszę jeszcze coś przeczytać - rzekł Nick, odwracając się ode mnie.

- Na litość boską! - krzyknęłam wyprowadzona z równowagi - natychmiast się uspokój.

Długo mierzył mnie wzrokiem.

- Wyjechałaś, ciociu Liz - odezwał się - a myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi.



- Bo jesteśmy - odparłam - i zawsze nimi będziemy. Przykro mi, że cię zawiodłam, Nicku, że wyjechałam w takim pośpiechu. Nie pożegnałam się, nie przygotowałam cię na rozłąkę. - Wzdrygnął się, słysząc moje słowa. - Podobnie jak Doe - dodałam półgłosem. - Odeszła tak nagle. Bawiłeś się z nią, a za chwilę zostałeś sam. Zraniłam cię, zachowując się podobnie.

Odwrócił wzrok, bo nie chciał pokazać po sobie smutku i zakłopotania.

- Chyba tak - odparł.

- Nicku, nie przemyślałam wtedy swojej decyzji, czego bardzo się wstydzę - tłumaczyłam. - Czy wybaczysz mi kiedyś ten błąd? To dawne dzieje, minęło już półtora roku. Proszę, bardzo chcę odzyskać mego ulubionego siostrzeńca.

- Jestem twoim jedynym siostrzeńcem, ciociu Liz - przypomniał.

- Racja - przyznałam. - Wiesz, co mam na myśli. Czy nie może być tak jak dawniej? Moglibyśmy znowu rozgrywać niezliczone partie „Detektywa” i „Monopolu”.

- Już się nimi nie bawię, ciociu Liz - odrzekł z pogardą. - Zniosłem pudełko do piwnicy. Teraz gram w szachy.

- Pewnie ci nie mówiłam, że jestem świetna w szachach? - zaryzykowałam. - Prawdziwy ze mnie arcymistrz.

Spojrzał z powątpiewaniem.

- Nieprawda - rzekł.

- Musisz sam się przekonać - powiedziałam, widząc, jak na jego twarzy pojawia się leciutki uśmiezek. - Och, Nicku, chodź do mnie - rzekłam, zbliżając się, by wziąć go w objęcia.

Niemal wbrew sobie podszedł ochoczo, jakby ulżyło mu, że już nie musi się na mnie złościć. Następnego dnia spacerowaliśmy we trójkę: Harper, Nick i ja, podziwiając uroki jesieni, która zabarwiła roślinność paletą połyskliwych

kolorów - złotem, rdzą i miedzią. Wróciłyśmy z Harper do naszej wczorajszej rozmowy, rozpoczętej w samochodzie, gdyż miałyśmy tak wiele do nadrobienia, że wydawało się, iż nigdy nie wyczerpiemy wspólnych tematów.

Po południu, niedługo przed czwartą, udałyśmy się do pracowni, by zdążyć przed pozostałymi gośćmi.

- Wejdz - rzekła Harper, otwierając drzwi, na których nie wisiała już kłódka. - Chciałabym, żebyś zobaczyła je pierwsza.

Niepewnie zaglądnęłam do środka, gdyż wciąż ściagały mnie koszmarne wspomnienia ostatniej wizyty i nie byłam pewna, co spotka mnie tym razem. Dzisiaj piękny, jasny pokój wypełniały obrazy, których nigdy wcześniej nie widziałam. Różniły się od poprzednich prac Harper, nie przypominały zjaw z potwornego snu, nie portretowały ludzi. Na tych cudownych płótnach widniały zwierzęta, martwe natury lub krajobrazy.

W pierwszej chwili nie pojęłam ich znaczenia, po prostu spacerowałam po rozległej wystawie, chłonąc jej piękno. Podziwiałam wizerunek konia skubiącego trawę albo obraz ukazujący kiosk z lodami, którego świecący neon w kształcie lodowego rożka rozjaśnia zmierzchające niebo. Na innych malowidłach widać było jacht, dziewczęcy kostium baletowy czy starą laleczkę w postrzępionej sukience w czerwoną kratkę. Stałam przed nią, uświadamiając sobie, że to wizerunek lalki, którą podarowałam Doe.

Na pogrzebie przyjaciółka mojej siostrzenicy, Caitlin, oznajmiła żalobnikom, że to prezent od Doe, która oddała jej ulubioną zabawkę na znak przyjaźni. Uświadomiłam sobie, że na wernisaż Harper składają się obrazy tego, co lubiła jej córeczka. Wystawa ma uczcić Doe, ale nie poprzez sentymentalny hołd dla zmarłego dziecka, a ukazanie rzeczy, które cieszyły i zajmowały dziewczynkę, nadając jej życiu sens.

Zwróciłam się ku Harper.

- Och, siostrzyczko - rzekłam - naprawdę tego dokonałaś.

Objęłam ją i obie zaczęłyśmy szlochać. Oplakiwałyśmy Doe, która przez osiem krótkich lat rozjaśniała świat swojej matki, a teraz opuściła ją na zawsze. Harper już nigdy nie ujrzy swojej ślicznej, małej córeczki, choćby szukała nie wiem jak długo.

- Wciąż śnię ten sam potworny sen - powiedziała. - Koszmar, który czasem nawiedza po śmierci bliskich. Patrzę na moją Doe, a ona woła do mnie: „Mamusiu, ja nie umarłam”. Ogarnia mnie nieopisana radość, całuję ją, przytulam, jestem wniebowzięta - Harper wzięła głęboki oddech - i wtedy się budzę - ciągnęła. - Spostrzegam, że to tylko sen, a jej nie ma pomiędzy żywymi i nigdy nie będzie. - Ze smutkiem pokręciła głową. - Wizje nachodzą mnie nie tylko w nocy - wyznała. - Marzę też na jawie. Zastanawiam się, jak wyglądałaby Doe, gdyby dane jej było dorosnąć. Oczyma duszy widzę ją jako siedemnastolatkę z długimi, rudymi włosami, tatuażem, a nawet kolczykiem w nosie, czy czymś podobnym, jak leży niedbale na łóżku, prowadząc nie kończące się rozmowy telefoniczne. A ja muszę nakazać jej, żeby wreszcie odłożyła słuchawkę. Wyobrażam sobie, jak później zaczyna własne życie, jak zabieram ją na uniwersytet, pomagam urządzić pokój w akademiku - zawahała się - a nawet, jak wychodzi za męża, uwierzyłabyś? - Wytarła oczy, ale łzy nie przestały płynąć, więc po prostu nie zwracała na nie uwagi i mówiła dalej: - Przyjemnie robi mi się na myśl, że spotkałaby mężczyznę, który by na nią chuchał.

- Na pewno tak by właśnie było - odrzekłam.

- Kogoś, kto bardzo by ją kochał, troszczył się przez całe wspólne życie - odetchnęła chrapliwie. - Rodzice muszą pogodzić się z faktem, że ich pociecha zaczyna dorastać - ciągnęła. - To najtrudniejsze, żmudne zadanie, gdyż dziecko codziennie, po troszeczkę usamodzielnia się coraz bardziej. Jeśli matka dobrze wywiązuje się ze swojej roli, pewnego dnia jej mała dziewczynka dojrzeje i

szaleńczo zakochuje się we wspaniałym mężczyźnie. Można wtedy przypatrywać się, jak ktoś inny skacze koło niej, jak obydwójce się o siebie troszczą.

Gdy Harper wyrzuciła z siebie to wszystko, łkałyśmy bez końca. Szlochałyśmy głośno, otwarcie, jak nigdy przedtem. Wspólnie wylane łzy oczyszczały, jak przewidział Carlo, który zaklinał mnie, żebym pomogła Harper wygadać się i wypłakać. Wreszcie spełniłam jego prośbę - pomyślałam, tak mocno przytulając siostrę w pracowni, jakbym nigdy nie chciała jej puścić.

Później siedziałyśmy długo na podłodze, pijąc z kieliszków białe wino, które naląła dla nas Harper, i pogryzając krakersy z plasterkami goudy.

- Zarzekałaś się, że już nigdy nie weźmiesz pędzla do ręki, pamiętasz? - zagadnęłam. - Oświadczyłaś to bardzo kategorycznie.

Harper potaknęła.

- Wówczas byłam o tym przekonana - odrzekła. - Nie zdawałam sobie sprawy, że tylko sztuka może mi pomóc. A tak było, dzięki malowaniu miałam zajęte ręce i myśli. Co najważniejsze, zdołałam stawić czoło przyszłości. Potrzebowałam jednak sporo czasu, właściwie nadal potrzebuję. Chyba nigdy do końca się nie otrząsnę.

Podczas naszej długiej rozmowy zerkałam kilka razy na zegarek, bo pokazywał już wpół do piątej, a żaden gość się nie pojawił.

- Kiedy przyjdą pozostali? - spytałam siostrę. - Czy nie zaprosiłaś na czwartą?

Harper uśmiechnęła się.

- Muszę ci coś wyznać. Nikt nie przyjdzie.

Jej słowa zbiły mnie z tropu.

- Wernisaż się nie odbędzie?

Potaknęła.

- Owszem - odparła - ale zaprosiłam tylko jedną osobę - ciebie. - Zawahała się. - Bardzo pragnęłam cię zobaczyć, a wiedziałam, że Nick też potajemnie o tym marzy, nawet jeśli się do tego nie przyznaje. Chciałam również pokazać ci moje prace. To jedyny sposób, jaki przyszedł mi do głowy, żeby cię tu zwaabić. - Nagle podniosła się. - Właściwie to powinnaś obejrzeć jeszcze jeden obraz - powiedziała - chociaż nie jest częścią tej kolekcji.

- Nie będę tego żałować? - spytałam.

Na wargach Harper pojawił się leciutki uśmiech.

- Nie - zapewniła.

Podeszłam za nią do sztalug stojących przy przeciwległej ścianie. Harper szybkim ruchem odwróciła nogi stojaka.

Ujrzałam portret kobiety inteligentnej, świadomej swego kobiecego uroku i powabu, tajemniczej damy o rudych włosach, która promieniała władcym wdziękiem.

- Namalowałaś autoportret! - wykrzyknęłam. - Jest cudowny.

Harper potrząsnęła głową.

- Nie - zaprzeczyła cicho. - To ty. Tak wyglądałaś dzięki znajomości z Davidem.

Wpatrywałam się w portret. Mogłabym przysiąc, że przedstawia moją siostrę, ale przecież ona się wypiera. Czy rzeczywiście tak się zmieniłam pod wpływem Davida? Czy naprawdę stałam się tak pewna siebie, jak ukazuje obraz? Może tak, ale byłam zszokowana namacalnym dowodem mojej metamorfozy. Płótno przedstawiało coś bardzo prostego i zwykłego, a zarazem nadzwyczajnego: zakochaną kobietę.

Poczułam, jak kolana się pode mną uginają. Osunęłam się gwałtownie na podłogę pracowni, jakby uszło ze mnie powietrze. Harper podeszła momentalnie i usiadła obok.

- Dobrze się czujesz, Liz? - spytała.

Potaknęłam słabo.

- Doznałam wstrząsu - rzekłam - na wspomnienie naszej miłości.

Wpatrywała się we mnie uważnie.

- Nie przyszło mi do głowy, że to tak cię dotknie - powiedziała. - W domu mówiłaś, że już ci na nim nie zależy.

Milczałam dłuższą chwilę, aż wreszcie zdobyłam się na wyznanie.

- Nie było w tym krzty prawdy. - Odwróciłam wzrok, zakłopotana, że siostra dostrzeże siłę mego uczucia. - To żalosne, prawda? - ciągnęłam. - To znaczy mam już trzydzieści osiem lat, a wciąż kocham się w mężczyźnie, który wyjechał gdzieś hen, do Europy.

- Tak sądzisz? - zapytała. Potaknęłam.

- Przyjechałam tu w zeszłym roku, żeby zobaczyć się z Davidem - wyjaśniłam i zaczęłam opowiadać, jak okazało się, że domek z obserwatorium opustoszał, a ogrodnik poinformował mnie, że David przeprowadził się do Europy.

- Pewnie już się ożenił, ma dziecko - ciągnęłam. - Całkiem o mnie zapomniał.

- Ależ Liz - przerwała Harper miękko - on wrócił.

- Nie żartuj sobie ze mnie.

- Nie żartuję - zapewniła. - Wyjechał tylko na rok, wziął urlop naukowy. Odstawił meble do magazynu, żeby można było wynająć domek. Wrócił kilka tygodni temu, na rozpoczęcie roku szkolnego.

Serce waliło mi jak młotem. Harper przysunęła się bliżej, ujmując mnie za rękę.

- Posłuchaj - rzekła cicho - możesz do niego pojechać. Jeszcze nie jest za późno.

- Właśnie, że jest - odparłam.

- Nigdy nie jest - przekonywała.

- Na pewno już nic do mnie nie czuje. Nasz związek był wspaniały, ale trwał krótko.

- David potrzebuje dużo czasu, żeby zapomnieć. Nie zauważyłaś?

Tego wieczoru, gdy zrobiło się całkiem ciemno, a Harper i Nick zasiedli w bawialni do partii szachów, wymknęłam się z domu, pożyczając jeden z samochodów siostry. Mocno zdenerwowana dojechałam lokalnymi drogami do Różowych Wrzosowisk. Gdy przejechałam przez wysoką, żelazną bramę osiedlową i minęłam willę Boyda, udało mi się dostrzec szczyt kopuły obserwatorium wystający ponad linię drzew, niczym czoło olbrzyma. Oto on, „Gwiezdny Pył”, w którym tym razem jednak paliły się światła.

Podjechałam pod domek, zaparkowałam samochód i wysiadłam. Trzęsłam się ze strachu, gdyż nie byłam gotowa na spotkanie z Davidem. Nie miałam pojęcia, co powinnam mu powiedzieć.

Nagle coś kazało mi się odwrócić, ale raczej wyczułam obecność Davida, niż go usłyszałam. Stał na wzgórzu, tuż koło obserwatorium, odwrócony tyłem do mnie, zupełnie jak za naszym pierwszym spotkaniem. Usłyszał, że wspinam się pod górę, więc odwrócił głowę. Patrzył na mnie, nie zdradzając żadnych uczuć, nie uśmiechnął się, nie skrzywił. Po prostu wbił we mnie nieruchomy wzrok.

- Obserwujesz Saturna? - usłyszałam własne słowa. David potrząsnął głową.

- Nie - odparł po chwili, nie wdając się w żadne wyjaśnienia.

Byłam kilkanaście metrów od niego, ale nawet z tej odległości dostrzegłam, że się zmienił. Wciąż miał na sobie znoszoną lotniczą kurtkę, a twarz mu zbrązowiała od słońca, wyglądał jednak na zmęczonego. Postarzał się, nie tracąc nic ze swego uroku, jakby wyczerpała go bardzo długa podróż.

- Po co przyszłaś, Liz? - zapytał, ale z tonu głosu jasno wynikało, że niezbyt interesuje go moja odpowiedź.

- Sama nie wiem - odparłam.

Majstrował przy pokrętlach teleskopu, zerkając przez okular na jakiś obiekt wysoko na niebie.

- Patrzysz na gwiazdę? - zagadnęłam.

- Dla zabicia czasu.

- Tak?

- Niedługo spadnie deszcz meteorów - wyjaśnił bezbarwnym głosem. -

Nie potrzeba teleskopu, żeby je dostrzec.

- Deszcz meteorów? - zapytałam, pamiętając niejasno podobną atrakcję z obozu letniego dla dziewcząt, na który mnie wysyłano, kiedy miałam osiem lat. Wyciągnięto nas z namiotów w środku nocy, kazać patrzeć na niebo. Byłam jednak zbyt zmęczona, żeby docenić oglądane zjawisko, nic więc dziwnego, że po trzydziestu latach zupełnie tego nie pamiętałam. - Co to takiego?

Odruchowo przybrał belferski wyraz twarzy.

- Raz albo dwa razy do roku Ziemia przecina tory lotu komet, które krążą wokół Słońca. Napotyka wtedy chmurę meteorów. Wpadając do atmosfery ziemskiej, meteoryty, czyli części meteorów, rozżarzają się, powodując zjawisko „spadającej gwiazdy”. Przeważnie można określić, która kometa spowodowała deszcz, ponieważ wszystkie meteory poruszają się w przestrzeni po torach równoległych. Tory rzutują na sferę niebieską, tworząc obszar, z którego pozornie rozbiegają się drogi meteorów. Punkt ten określa się mianem „radiantu”.

- Podoba mi się to słowo - odezwałam się. - „Radiant”. Brzmi radośnie.

- Ciała niebieskie - odrzekł sucho - nie są radosne czy smutne ani dobre lub złe. Po prostu są. - Zawahał się. - Chyba to mi się w nich podoba. - Pochylił



się do teleskopu, jakby jego przelotne, płytkie zainteresowanie moją osobą już uleciało.

- Nie możesz znieść mego widoku, tak? - wyszeptałam. Utkwił we mnie świdrujący wzrok.

- Proszę bardzo, patrzę na ciebie. Sam nie wiem po co. Zadałem sobie tyle trudu, błagałem, żebyś chociaż ze mną porozmawiała. Telefonowałem, zostawiając wiadomości na sekretarce, ale ty ani razu nie oddzwoniłaś. Zachowywałaś się, jakby nasz związek nic dla ciebie nie znaczył. - Gdy wyrzucił już z siebie potok słów, zamilkł na moment, a potem dodał przyciszonym głosem:

- Nie przypuszczałem, że możesz być tak okrutna.

Odczekałam chwilę, po czym powiedziałam:

- Wręcz przeciwnie. To jedyne, czego zawsze byłeś pewien.

- O co ci chodzi? - spytał.

- To twoje słowa - wyjaśniłam. - Czy to nie okrucieństwo zawsze śledziłeś w obserwatorium? Wszystko we wszechświecie porusza się po jednostkowych torach, nie troszcząc się o zniszczenie, jakie szerzy na swojej drodze.

Zamarzanie, pożary. Samotność planet. - Wzięłam głęboki oddech. - Urzekło cię to z powodu tragedii, którą przeżyłeś jako sześciolatek. Rzecz w tym, że nie można odwrócić tych straszliwych zjawisk, które zachodzą na niebie. - Zbliżyłam się do niego, tak że dostrzegłam żyłkę pulsującą nieregularnie na jego skroni. - Istnieje jednak różnica pomiędzy tym, co dzieje się tam, na niebie, i tu, na ziemi. - Przełknęłam ślinę, czując, że ściska mnie w gardle. - Ludzie mogą postępować wstrętne - ciągnęłam - popełniają fatalne błędy.

- Owszem - potwierdził.

- Jednak najważniejsze jest to, że próbują je naprawić - przekonywałam, a on tylko patrzył na mnie z kamienną twarzą. - Proszę cię o wybaczenie - powiedziałam. - Davidzie, proszę.

- Dlaczego zajęło ci to tyle czasu? - zapytał.

- Wróciłam tu w zeszłym roku, żeby cię przeprosić - odrzekłam. - Przejechałam taki kawał drogi, ale gdy weszłam do domku, był pusty. Ogrodnik powiedział mi, że się wyprowadziłeś. Nie potrafię opisać, co wówczas czułam. Całkiem się załamalam.

Nie spuszczał ze mnie wzroku, a wyraz jego twarzy łagodniał w oczach.

- Poleciałem do Europy - rzekł. - Wziąłem urlop naukowy, bo nie chciałem... nie mogłem tu zostać po twoim odejściu. Nie wiedziałem, co ze sobą począć, więc wyjechałem na cały rok, ze świadomością, że potem będę musiał wrócić. Najwyraźniej nie powiadomiono o tym ogrodnika. - Zachnął się. - Podróżowałem po całej Europie jak za studenckich czasów, próbując zatracić się w astronomii. Odwiedziłem Padwę, gdzie mieszkał Galileusz, pojechałem też do Anglii, do obserwatorium w Greenwich i do Stonehenge. Przenosiłem się z miasta do miasta, robiąc zdjęcia, spisując notatki. Nocowałem w małych hotelikach jak podczas wycieczki szlakiem atrakcji astronomicznych, odwiedzanych na chybił trafił, ale w sumie wyszło to fatalnie. Ogromnie dokuczała mi samotność.

W tym momencie nocne niebo przecięła jasna, płonąca smuga.

- Czy... - zaczął.

- Tak, tak, widziałam - przerwałam mu.

Zaczynał się deszcz meteorów, więc obydwójce odchyliłiśmy głowy, wyglądając pokazu. W chwilę potem nasze oczekiwanie zostało nagrodzone pojawieniem się następnego niezwykle pięknego, świetlnego łuku, który, ku naszemu rozgoryczeniu, zniknął w mgnieniu oka.

- Spójrz - rzekłam cicho - to przecież tylko ogień i lód.

Wysoko nad naszymi głowami zamrożone kawałki skały spalały się, mknąc w czasoprzestrzeni. Ogień - pomyślałam, przywołując nasze gorące no-

ce. Lód, gdyż, w pewnym sensie, obydwójce mieliśmy na sumieniu zdradę. Miłość nigdy nie jest albo jednym, albo drugim, kiedyś tego nie rozumiałam.

- Tak - odparł David - trzeba się cieszyć, póki trwa.

Przeniósł spojrzenie na mnie. Tym razem patrzył i patrzył bez końca.

Gdy postąpił krok do przodu, przytuliliśmy się, a ja oparłam mu głowę na pierś. Tak długo czekałam, żeby znów być z Davidem, wziąć go w ramiona, podać się jego uściskom. Moje pragnienie wydawało się proste do spełnienia, a jednak jego urzeczywistnienie zabrało tyle czasu. Oto jednak się stało: staliśmy razem pod rozgwieżdżonym niebem, kobieta i mężczyzna na półmetku życia.

